

EWA MARIA ŚLASKA

# DOCHODZENIE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1985





# DOCHODZENIE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 411

ISBN 2-7168-0074-X

IMPRIME EN FRANCE

---

**Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,  
91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE**



EWA MARIA ŚLASKA

# DOCHODZENIE

INSTYTUT  
PARYŻ



LITERACKI  
1985





1 stycznia 1982

Ostatni wyszli Andrzejowie. Franek stał na środku pokoju, spoglądając z niesmakiem na stół pełen brudnych talerzy, butelek, popielniczek. Przeciągnął się i zaczął rozpinać koszulę. Do pokoju weszła Anka w szlafroku i kapciach, ale jeszcze z odświeżonym makijażem. Trzymała w ręku tacę.

— Masz zamiar sprzątać?

— Oczywiście. Nie będziemy spać w chlewie.

— Nie chce mi się — mruknął.

— No, jak ktoś jest schlany...

— Daj mi kawy.

— Najpierw sprzątniemy — zdecydowała, wychodząc z pełną tacą do kuchni.

Stał, patrząc nieco mętym wzrokiem na trzymaną w ręku butelkę. Nowy Rok, pomyślał, aha, nowy rok... 1982... no...

— Wynieś śmiecie.

Wyszedł z mieszkania z czubatym kubłem. Ostrożnie poczłapał pół piętra w górę i nogą otworzył drzwi zsypu. Buchnął straszliwy fetor, sterta śmieci wysypała się na korytarz. Psia-krew. Jak przez mgłę przypomniał sobie, że od kilku dni Ania marudziła o zepsutym zsypie. Trzeba chodzić na zewnątrz. Idiota, zapomniałem. Popatrzył ponuro na kubeł i ponownie zaklął. Już ja z tym zrobię porządek.

W drzwiach wyjściowych dawno stłuczona szyba zastąpiona została wielką płytą sklejkę. Do niedawna traktowano ją jako tablicę ogłoszeniową i jeszcze teraz resztki z trudem zdartych plakatów przypominały, że Polska sprzed kilku tygodni była krajem plakatowym i przypominała niewielką Portugalię. Ośc — przeczytał — żąda. Ośc żąda...

Na zewnątrz było ciemno. Jakaś para przeszła obok, kierując się w stronę postoju taksówek.

— Szczęśliwego Nowego Roku — zawołała dziewczyna, podnosząc w górę rękę z palcami ułożonymi w kształt dystynkcji sierżanta.

— Stoczniowey Gdyni, stoczniowey Gdańska, idźcie do domu, skoń... — zaśpiewał nagle nieco schrypniętym głosem chłopak, a dziewczyna zatkała mu usta dłonią.

Franek otworzył drzwi zsypu. Pod ścianą siedziała z głową przechyloną na bok krótko ostrzyżona blondynka w różowych bufiastych spodniach i białej bluzce. Odstawił wiadro. Nie żyje czy śpi? — pomyślał, klękając przy niej. Podniósł rękę, była zimna. Nie żyje. A taka piękna, jakby przysła z innego świata, z kolorowych zdjęć, z filmów, a może nawet z bajek. Cofnęła go w dzieciństwo, do Lipuszki, do babci Marii, do jakichś nieuchwytnych obrazów. Dziwna i odmienna. Ciekawe skąd się wzięła? Wszystkie dziewczyny, z jakimi się stykał w swym dotychczasowym życiu, były inne niż ona. Pewnie weselsze, może prostsze, zwyczajne, niedoskonałe i przede wszystkim zrozumiałe. Żadnej z nich nie spotkałoby nic podobnego. Samotna śmierć na śmietniku.

Wstał. Starannie zamknął drzwi i powoli wrócił do domu.

— Gdzieś ty się włóczył? — spytała Anka niechętnym głosem.

Nie odpowiedział. Odsunął ją, wszedł do pokoju, machinalnie zapalił papierosa i podniósł słuchawkę. Słuchawka spadła na stół. Telefon nie działał.

— Do diabła — warknął. — Wychodzę.

— Co?! Najpierw cię nie ma pół godziny i muszę sama sprzątać po twoich zapijaczonych gościach, a potem wracasz i mówisz, że wychodzisz? W Nowy Rok? Rano? Po co?

Spoglądał na żonę absolutnie przytomnym wzrokiem. O sylwestrowym alkoholu zapomniał przed wiekami.

— Muszę.

Podszedł do szafy i zaczął się przebierać.

— Muszę, muszę — przedrzeźniała go. — Może mógłbyś to jaśniej powiedzieć.

— Potem, Aniu, przepraszam cię.

Włożył kurtkę i czapkę, zapiął pas.

— Po co się przebrałeś?

— Ot, tak — odpowiedział, sięgając do szafki licznikowej. Znalazł drut i kłódkę. Miał ją założyć w piwnicy, ale...



— Daj mi może koc — zażądał. — Ten w żółtą kratę.

Ania urażona pociągała nosem, ale koc przyniosła.

W zsypie przykrył ciało dziewczyny. Omotał drutem klamkę i otwór po wyrwanym zamku i zawiesił na nim kłódkę. Zabezpieczenie prowizoryczne, ale wystarczające na noworoczny poranek.

Na dworze było już jasno i nadal pusto. Na postoju, oczywiście, nie stała ani jedna taksówka. Musiał podjąć decyzję. Mógł czekać tu na taksówkę, samochód prywatny lub radiowóz. Autobusy nie kursowały ani nocą, ani w niedzielę, co praktycznie odcinało Osiedle od Miasta. Mógł też pójść na piechotę, przez osiedle Zbocze, w dół do centrum i zatelefonować z radiotelefonu w dyżurnej przychodni. Ruszył w dół przez cienką warstwę świeżego, sypkiego śniegu, który spadł ostatniej nocy. Próbował nie myśleć o umarłej, nie udawało mu się jednak odpędzić niespokojnych pytań. Zasnęła i zamarzła? Dlaczego? Skąd się wzięła sama w obskurnym zsypie? Czy ktoś zaprowadził ją tam na siłę? Umarła czy została zabita? Przypadek, samobójstwo czy morderstwo?

Drzwi przychodni były zamknięte. Zapukał, a po chwili zaczął walić pięściami. Otworzyła mu zaspana, przerażona kobieta.

— Telefon — powiedział.

Kobieta wskazała dyżurkę. Wystukał numer.

— Oficer dyżurny, słucham.

— Zgłaszam śmierć kobiety. Osiedle Wzgórze, ulica Kraju Rad 25 B. W zsypie.

— Kto przy telefonie?

— Kapral Franciszek Handa, WGO 21L.

Samochód milicyjny zahamował gwałtownie, gdy Franek był już w połowie drogi powrotnej na Wzgórze.

— To wy meldowaliście o... — zapytał kapitan z dużym mięsistym nosem i łysawym czołem mężczyzny przed pięćdziesiątką.

— Tak.

Nagle pytanie uświadomiło mu, że od tej chwili dziewczyna przestaje być jego prywatną myślą, staje się kolejnym numerkiem w kartotekach Wydziału do Walki z Przestępstwami Kryminalnymi.

— Kapitan Jerzy Kołacz, sekcja do walki z bandytyzmem. Opiszcie krótko okoliczności znalezienia ciała.

Ciała? — obruszył się. — Dziewczyny, a nie ciała. Też coś. Odpowiadał jednak posłusznie, starannie dobierając słowa, jak uczeń przed tablicą. Zaprzętała go właściwie jedna tylko myśl — by dopuszczono go do śledztwa. Zająknął się raz i drugi, wreszcie przerwał.

— O co chodzi? — spytał Kołacz.

— Bo ja chciałem prosić, nie wiem... — gwałtownie zaczerpnął powietrze — czy to możliwe, ale tak sobie myślałem... Mieszkam w tamtym bloku. To nowy budynek, zasiedlony od listopada, ale ja, no, znam trochę mieszkańców. Mógłbym się przydać... Oddaję mieszkanie do pana dyspozycji...

Czytelnik kryminałów, osądził Kołacz. Zwłaszcza angielskich, tam zawsze inspektor dostaje pokój do dyspozycji. Salon lub gabinet.

— Hmm. Nie ma takiego zwyczaju.

No i do diabła, przegrałem — pomyślał Franek. Ku swemu własnemu zdziwieniu brnął jednak dalej, tak jakby ktoś mówił za niego.

— Tak sądziłem, ale być może... Sytuacja jest teraz trochę... Po pierwsze — zima...

— Hmm — chrząknął znowu kapitan.

— Po drugie — ciągnął niezrażony i coraz bardziej sobą zdumiony — ostatnio ludzie patrzą wilkiem na...

— Na milicję, co?

— Chyba mam rację. Moja obecność...

Plątał się coraz bardziej. Wiedział doskonale, że mimo wszystko wojsko jest traktowane inaczej niż milicja. W trakcie służby kilkakrotnie pytano go, czy jest przebrany gliną i czy mógłby potwierdzić, że w pacyfikacji Stoczni nie brali udziału żołnierze. Gdyby umiał wyciągnąć wnioski natury ogólnej, mógłby stwierdzić, że naród uporeczywie broni jeszcze jednego nieprawdziwego mitu, po to by móc zachować bezpieczną strukturę świata. Wiedział tylko, że wojsko i gliny to jednak co innego. I powiedział to głośno.

— Taak — potwierdził Kołacz, przeciągając „a” niemal w nicłość.

— Ponadto — dodał Franek — jestem na przepustce do poniedziałku i mogę włożyć dzinsy.

— Zobaczmy.

W nysce siedziało kilku cywilów, techników dochodzeniowych, jak wyjaśnił Kołacz, i jeden mundurowy w stopniu porucznika. Jego twarz wydała się Frankowi znana.

— Porucznik Stanisław Janiak, dzielnicowy — powiedział tamten, przyglądając się Frankowi jak przestępcy.

— Zaczniemy od was — powiedział Kołacz — a potem pójdziecie spać.

Technicy wciąż jeszcze pracowali w zsypie i okolicy, wysoko ceniąc sobie fakt, że w noworoczny poranek większość ludzi śpi, a dzieci od dziewiątej oglądają telewizję. Jednakże dla tak bardzo wyczulonych ostatnio na niecodzienną mieszkanców fakt przyjazdu nyski z ekipą nie pozostał zupełnie tajemnicą. W kilku blokach tu i ówdzie zapaliło się światło. Franek był pewien, że w niektórych ciemnych mieszkaniach też ludzie stoją przy oknach.

Z pomieszczenia zsypu wyszedł doktor, niewysoki, nobliwie wyglądający, z siwą bródką.

— I jak? — spytał Kołacz.

— Są ślady iniekcji na rękach. Ale czy jest to istotne, trudno powiedzieć. Z pozoru wygląda jak zamrożenie. Było zimno, teraz jest minus osiem stopni, w nocy musiało być o kilka stopni mroźniej, a tu na Wzgórzu zawsze, nawet w dzień jest zimniej niż w mieście na dole, czyż nie? — zwrócił się do Franka.

— Tak jest.

I tak faktycznie było. Osiedle zbudowano na szczycie wzgórz górujących nad Miastem, wycinając w tym celu wielkie połacie lasu. Jego nędzne resztki przetrwały tylko na północnych stokach, nie dając żadnej ochrony przed hulającymi wiatrami od morza. Na Wzgórzu niemal zawsze było wietrznie i zimno, a wiatr obijał się z impetem o bloki, zmieniał kierunek i docierał wszędzie, niezależnie od tego, z której strony wiał. Udręczeni mieszkańcy przeklinali wiatr z duszy serca bądź wdychali z rozrzewnieniem na myśl o pozostawionych w Mieście dolinach cichych ulic.

— Tak czy owak — powiedział doktor — musiało być około 10 stopni. Śmierć nastąpiła szybko. Prawdopodobnie koło północy, raczej po niż przed. A więc już w tym roku.

— Czy...? — przerwał Franek.

— No — zachęcił doktor.

— Czy to była śmierć okrutna?

— Każda śmierć jest okrutna, młody człowieku, a jednocześnie każda jest częścią naturalnego procesu życia, trwania

i umierania. Ale rozumiem pytanie. Nie, z tego co my, naukowcy, możemy przypuszczać, śmierć przez zamrożenie jest raczej łagodna. Aczkolwiek nikt z nas, co widać, sam tego nie przeżył, a więc wyrokować dogłębnie nie możemy. Kto wie, co się dzieje w zamrażającym i z pozoru nieprzytomnym mózgu. Jakie ukryte zapadnie podświadomości, jakie niewykorzystane nigdy części i układy objawiają się umierającemu w postaci snów.

Nie kapuję, pomyślał Franek, ten to ci nawija.

— To znaczy, że nie cierpiała?

— Fizycznie nie. Była zresztą niezbyt przytomna, gdy znalazła się w tym ponurym miejscu.

— Narkotyki? — kapitan szukał tylko potwierdzenia.

— Na obu rękach od łokcia do nadgarstka wyraźne ślady, ostatnie zupełnie świeże.

— Była chora? — spytał Franek.

— Fachowo wstrzykiwany lek nie zostawia takich śladów. Zainfekowane strzykawki, nieczysty preparat, a skutek taki, że ślady iniekcji...

Franek spojrzał pytająco.

— Ślady zastrzyków są zgrubiałe, zakażone i zaczerwienione.

— I co to było? — spytał Kołacz.

— Dokładnie powiemy po sekcji.

Sekcja! Że też o tym nie pomyślał. Zabiorą jego dziewczynę, rozbiorą do naga i pokroją. Nie, to niemożliwe. Przypomniały mu się karpie, które patroszył przed Wigilią, kury, z których matka, tak dawno temu, jednym pewnym ruchem wyciągała wnętrzności i szary mdły odór wypełniający kuchnię, a potem z wyrazistą ostrością usłyszał przeraźliwy kwik. Czteroletni chłopiec obudzony tym kwikiem wyszedł z chałupy i z mdlącą fascynacją, schowany w kącie szopy, asystował przy patroszeniu świni. Zrobiło mu się, zupełnie jak wtedy, czarno przed oczyma...

Ocknął się w zimnym wnętrzu samochodu, przykryty kocem. Doktor siedział obok.

— Dostał pan zastrzyk cardiamidu z glukozą, zaraz będzie lepiej.

Był pewien, że kapitan odeśle go do domu, spisze jego relację i koniec. Oddzieli go od dziewczyny na zawsze i nawet się nie dowie, kim była i dlaczego umarła.

Kapitan zajrzał do samochodu.

— Doskonale. Widzę, że jesteście na chodzie. Doktor Podsiadłowski i umarłego postawiłby na nogi. Spójrzcie na to. —

Podał Frankowi świeżą, lekko wilgotną odbitkę. — Jak żywa, co?

— Jak żywa — potwierdził Franek, czując że głos mu drży. Zrobiło mu się wstyd. Kapitan jednak nie zwrócił na to uwagi.

— Dobre zdjęcie, co? Tamte co oni robią — machnął ręką w kierunku zsypu — zawsze mają milicyjną aurę, a to jest amatorska sprawa.

Było to dobre zdjęcie. Nie ukazywało ani śmieci, ani brudnych ścian. Na tle kraciatego koca (na coś się jednak przydał, pomyślał Franek) widniała uśmiechnięta jakby twarz młodej dziewczyny. Franek niechętnie oddał zdjęcie kapitanowi. Chciałby dostać taką odbitkę, bał się jednak poprosić. Kupię sobie taki aparat, postanowił.

— To oczywiście ona? — powiedział ni to pytająco, ni to twierdząco kapitan.

Franek spojrzał zdziwiony.

— Pytam, czy rozpoznajecie denatkę? Pytanie jest, rzecz jasna, retoryczne.

— Co? — zachnął się Franek. — To znaczy, tak jest, melduję, że rozpoznaję.

— Znaliście ją? Czy ona mieszka w waszym bloku lub na Wzgórzu?

— Nigdy jej nie widziałem. Chyba nie mieszka w naszym wieżowcu. Czy ma dokumenty?

— Zadnych. W torebce znaleziono szminkę, grzebień, lustro, paczkę Caro i kilka chusteczek ligninowych. Nie ma pieniędzy, notatek, dokumentów.

Przy drzwiach stał porucznik Stanisław Janiak, dzielnicowy.

— Nikt nie wychodził — zameldował. — Spią.

— Poproszę o spis lokatorów — powiedział Kołacz.

— Nie ma. To ostatnio nagminne.

Rzeczywiście oszklona gabłota była pusta. Kapitan patrzył obojętnie ponad głowę porucznika.

— Nnnno tak, postaram się.

— Każdego kto wychodzi legitymować, tych z górnych pięter zatrzymać. Proszę wydać odpowiednie dyspozycje, poruczniku, a potem zameldować się... — spojrzał na Franka.

— Mieszkanie numer jeden.

Dzielnicowy skinął głową. Nie był specjalnie rozmowny.

— On jej też nie rozpoznał? — spytał Franek, gdy wchodzili do mieszkania.

— Może być tu obca. Dziś w nocy nie było godziny milicyjnej, a zresztą...

Kapitan nie skończył, ale Franek wiedział doskonale. Mimo surowych zakazów, ostrej kontroli, bicia pojedynczych niesubordynowanych przechodniów przez patrole ZOMO, nocy spędzanych przez zatrzymanych w areszcie i wysokich kar pieniężnych, sporo ludzi chodziło jednak po Mieście. Po części dlatego, że zmuszały ich okoliczności życiowe, choroby, nagłe wypadki, po części zaś dla okazania sprzeciwu, dla podkreślenia, że nie zgadzają się z zakazami. Dla młodzieży ganiebanie po nocy było czymś w rodzaju niebezpiecznego sportu. Pijacy i narkomani wędrowali po ulicach z przyzwyczajenia, przeszkodę stanowił raczej mróz niż myśl o patrolach.

— W każdym razie mogła przybyć zewsząd i zniknąć. Nie wiadomo.

Anka spała. Przeszli do dużego pokoju. Po nocnej zabawie nie zostało śladu. W rogu pokoju stała wysoka bujna choinka, prezent od rodziców, z Lipuszki. Pod choinką Ania umieściła małą szopkę. Kołacz przyjrzał się gipsowym pomalowanym figurkom. Niemiecki styl, ocenił. Franek poczuł się nieswojo. Nie zastanawiał się przedtem nigdy, czy zawodowy żołnierz może mieć szopkę pod choinką, czy nie.

— Macie dzieci?

— Żona spodziewa się w maju. Ktoś nam kilka dni temu zrobił niespodziankę i położył na wycieracze karteczkę. Było napisane: „niech no trawa urośnie i zakwitną jabłonie”. To takie miłe, akurat na urodziny.

Dureń, pomyślał Kołacz. Ciekawe, czy cieszyłby się gdyby mu ktoś podrzucił karteczkę: „Zima wasza, wiosna nasza” lub coś w tym rodzaju. Pewnie by się najadł strachu, że mu wytną rodzinę w pień. Na każdego znajdzie się jakiś straszak.

Franek wyszedł do kuchni. Naczynia pozmywane, na blacie stał termos z kawą. Wziął szklanki, cukierniczkę i termos i na tacy zaniósł do pokoju. Kryształową miskę z czekoladkami przedstawił z oszklonej serwantki na stolik. Starannie podłożył serwetki pod naczynia. Kryształ, serwetki, stolik na wysoki połysk przyniosła ze sobą Ania. U niego w domu wszystko było prostsze, u Ani bardziej skomplikowane. Ale ładniejsze, jak sam przyznawał.

Kapitan pisał coś w czarno oprawionym notesie.

— Wasze zeznania, przeczytajcie i podpiszcie. A potem zro-

bimy szkie sytuacyjny. — Na czystej kartce papieru narysował duży prostokąt.

— Tu są windy, tak?

— Tak. Na prawo od wind korytarz skręca i są dwa mieszkania, po prawej M3, takie jak nasze, naprzeciwko M4. W lewo od wind to samo, ale na odwrót. M3 po drugiej stronie, M4 po naszej.

— Razem czterdzieści cztery.

— Nie. W tych tam na parterze po lewej zrobili klub dziecięcy, a w przybudówce jest zerówka, zamknięta od trzynastego, nie?

— Więc czterdzieści dwa.

— I pracownia. — Franek narysował mały prostokąt na dachu. — Tu suszarnie, a tu pracownia takiego artysty z telewizji. Wejście jest przez korytarz na jedenastym piętrze, ale winda dochodzi tylko do dziesiątego.

Kapitan wyjął radiotelefon.

— Czterech ludzi, Sosnowski, Szebel, Wiktor i Krefta.

— Dachy też trzeba pilnować? — zdziwił się Franek.

— Dzisiaj śledztwo to nie piknik. Wszystko może się zdarzyć. Wielu teraz ucieka.

— No to trzeba postawić kogoś pod loggiami, bo jak się człowiek uprze, może zejść na sam dół z balkonu na balkon.

— Taaak?

— Schodziłem na samym początku z piątego na czwarte, to wiem. Jedna roztargniona zostawiła kran otwarty, a wody w sam raz nie było. Jak znowu puścili, zalała wszystkie mieszkania pod spodem, aż do nas doleciało. A zostawiła drzwi balkonowe otwarte, więc zem przeszedł na dół i zamknąłem wodę. Ale wszystko było w porządku, komisyjnie.

— Cała komisja się fatygowała przez loggie?

— No nie, ja otwarłem drzwi. Potem się jej powiedziało. Nie miała pretensji.

— Urządzenia użytkowe nie są tu, zdaje się, najwyższej jakości, co?

— Sam pan zobaczy jak jest. Pleśń, mrówki, zimno, okna od ścian odchodzą, jak się pustak w suficie przedziurawi, do lampy czy co, to woda się leje.

Któs głośno zapukał do drzwi. Obudzi Anię, pomyślał Franek i poszedł otworzyć. Wszedł Janiak, Franek skierował go do pokoju, a sam postanowił się przebrać w łazience.

— Idziemy — oznajmił kapitan. — Zaczynamy od góry. Spis lokatorów poproszę.

— A ja? — zapytał Franek, wchodząc do pokoju.

— A pan? Co z panem?

Gdy Franek był w mundurze, kapitan nie mówił mu pan, ale Franek nie zwrócił na to uwagi.

— Bo ja mógłbym sam — zawahał się Franek. — To przecież sąsiedzi.

— To się nazywa szantaż.

W tym momencie do pokoju weszła zaspana Ania w długiej koszuli nocnej. Kapitan i Janiak ukłonili się sztywno.

— Co się tu dzieje? — spytała ostro.

Kapitan przedstawił się.

— Prowadzimy dochodzenie — wyjaśnił. — Co pani robiła dzisiejszej nocy?

Ania spojrzała przerażona na Franka.

— Coś ty narobił? — spytała.

— Więc? — powiedział Kołacz.

— Goście byli. Do piątej rano. Przecież to był Sylwester.

— A tę osobę pani zna? — spytał kapitan, podsuwając zdjęcie.

— Nie znam, w życiu tej zdziury na oczy nie widziałam — obróciła się w stronę męża i gniewnie spytała — gadaj, co to za jeden? Co ty masz z nią wspólnego?

Kapitan schował zdjęcie i obaj z Janiakiem wyszli.

— Jedziemy na górę, do pracowni — powiedział Kołacz.

Franek krótko opowiedział żonie zdarzenia noworocznego poranka. Wspomniat, że w domu znaleziono ciało, a on został poproszony o udział w dochodzeniu. Było to oczywiście przeinaczanie faktów, przedstawiał obojętną, formalną wersję. Za żadne skarby Anka nie mogła się dowiedzieć o jego osobistym zaangażowaniu. Ze wszystkiego, co mógłby jej powiedzieć, gdyby w ogóle umiał to właściwie sprecyzować, żona zrozumiałaby najwyżej, że spodobała mu się jakaś panna. Wyjaśnienie najprostsze i — co gorsze — prawdziwe. Atak przyszedł z najbardziej niespodziewanej strony. Anka spokojnie, choć odpowiednio wstrząśnięta, wysłuchała relacji o dziewczynie, natomiast cała jej wściekłość ujawniła się, gdy Franek tonem możliwie najbardziej chłodnym oznajmił, że oddał ich mieszkanie do dyspozycji ekipy dochodzeniowej, a sam z dwoma mundurowymi milicjantami będzie dziś, zapewne jutro, a może i pojutrze zbierał zeznania mieszkańców. Ni stąd ni zowąd zaczęła płakać i krzyżeć.

— Nie, nie, nie zgadzam się! Zamordują nas za to! Ciebie, mnie, dziecko. Nie zgadzam się!

Franek siedział oślepiały.



— Co ty wygadujesz?

— Zamordują nas — szlochała rozpaczliwie, bijąc pięściami w poręcz fotela. — Myślałam, że będzie spokój. Jesteś w wojsku, a nie u glin, tylko urzędnikiem, myślałam, że się uda, że nas zostawią w spokoju. Nikomu nie robimy nic złego, ale teraz... Jak naściągasz glin do domu, na pewno nas zabiją, a twoja milicja cię nawet nie osłoni, bo dla nich jesteś tylko pieprzony gówniarz.

— Uspokój się!

Anka przestała krzyczeć, nie szlochała już, tylko łzy spływały po zaczerwienionych, zapuchniętych policzkach.

— A teraz powiedz spokojnie, o co chodzi.

— Mają nas pozabijać! Wszystkich mundurowych! Podobno nawet drzwi poznaczyli.

— Zmiłuj się, kto?

— Oni! Ci z „Solidarności”.

— Puknij się w głowę, przecież ich już nie ma. Pozamykano ekstremę, a reszta będzie cicho. Kto cię zabije, taki Koliński? Ewaryst?

— Kłamiesz. Próbujesz mnie pocieszyć. Jola mi mówiła, w telewizji pokazywali. Oni mają broń, łańcuchy, pałki. Zemszczą się, wybiją nas wszystkich. Teraz jest spokój, tak, ale się może odwrócić, nie wiadomo i wtedy... Proszę cię, Franuś, w imię naszego dziecka, nie pokazuj się z milicją.

— Idiotka, skończona idiotka.

— Nie pójdziesz z nimi, prawda?

— Pójdę! Nie będę się przejmował babskimi histeriami. Ty i Jola dwie idiotki. Oni są za słabi, żeby nam cokolwiek zrobić. Kładź się spać, a potem przyszykuj obiad. Dla wszystkich.

— Jesteś bez serca!

— A ty bez piątej klepki!

Wyszedł z domu, trzaskając drzwiami. Usłyszał jeszcze dźwięk gwałtownie przekręcanego klucza w dolnym zamku. A ja — pomyślał — oczywiście nie mam klucza, dureń. Ale to nic, będziesz musiała mnie wpuścić, ty jędzo. Pogroził drzwicom zaciśniętą pięścią.

Takiej awantury jeszcze mu nigdy nie urządziła. I nigdy przedtem nie rozstali się w gniewie. Klamka zapadła. Franek poprawił sweter, przygładził włosy dłonią i podszedł do windy.

Kapitan spojrział na zegarek. 10:08. Późno. Czterdzieści trzy mieszkania, jeżeli w każdym spędzą choćby po dziesięć mi-

nut, to i tak przegląd całego wieżowca zajmie im siedem do ośmiu godzin. Nie miał jednak ochoty rozdzielać zadań. Wiedział z doświadczenia, że ten, kto prowadzi dochodzenie, powinien w miarę możliwości sam oceniać ważność udzielanych informacji i obserwacji. Od tych wstępnych rozmów z mieszkańcami zależeć mogło bardzo wiele i kapitan zamierzał przeprowadzać je osobiście. Porucznik Janiak również miał ochotę sam zajrzeć do wszystkich mieszkań. Nie żywił żadnych złudzeń co do natychmiastowego wykrycia sprawcy. Po prawdzie — nie miał w ogóle złudzeń. Był pewien, że ta sprawa, tak jak wiele innych, nigdy nie doczeka się rozwiązania. Przypadkowa śmierć w przypadkowym miejscu i tylko przypadek pomógłby ją rozwiązać. Ci młodzi narkomani poruszają się po Mieście swoimi własnymi ścieżkami, znikają i pojawiają się jak duchy, zapadają na całe dni w melinach, niekiedy samotni, niekiedy liczni i trudni do ujarznienia, póki żyją i są przytomni. Prawa, na podstawie których można by ich aresztować i skazać, są przestarzałe, a poza tym — czy to warto wyciągać na światło dzienne takie wstydlive sprawy, jak narkomania. Najlepsze co można zyskać na zbytnim babraniu się w problemie narkomanii — to nagana od zwierzchników. Narkomania może sobie być gdzie indziej, w Nowym Jorku albo w Warszawie, ezort z tym, ale znacznie lepiej nie udowodniać, że się ją ma we własnym rewirze.

Porucznik nie uważał jednak noworocznego rekonesansu za bezcelowy. Przeciwnie, taki przegląd całego bloku może przynieść wiele interesującego materiału. Wystarczy być czujnym. Nigdy nie wiadomo, gdzie się spotka przestępstwo lub wykroczenie. Ludzie bez przerwy łamią prawo, niekiedy groźnie, niekiedy w sposób błahy, a wiedza o tym potrzebna jest każdemu, kto ich pilnuje. Im więcej się o nich wie, tym lepiej. A ideałem jest mieć tzw. haka na każdego, nawet najbardziej uczciwego. Zwłaszcza na uczciwych, bo cicha woda brzegi rwie...

Był to oczywiście instrumentalny stosunek do społeczeństwa, które, mówiąc uczenie, z podmiotu stawało się przedmiotem. Porucznik Janiak nie miał jednak obiekcji. O ileż łatwiej pilnować przedmiotów.

Narcyza siadła gwałtownie, otaczając się i przecierając oczy.

— Antek, Antek, ktoś przyszedł! — szturchnęła ciemny chrapiący kształt pod kołdrą, bez skutku jednak.

— O Boże — westchnęła. Wstała i nacisnęła kontakt lampy. Nadal ciemno. Aha, przypomniała sobie, korki. Ktoś zrobił coś

z korkami. Dla draki. A Antek, Sławek i Buśka powiesili koce na oknach i zalepili je plastrem.

— Kompletny *black-out* — wrzeszczał triumfalnie Jacek. — Bum-łup-bum.

— Otwierać!

— Dobrze, dobrze — mruknęła Narcyza.

Na jasnym korytarzu stało trzech mężczyzn. Dwie gliny w mundurach, jedna po cywilu.

— Co się tu dzieje? — spytał mundurowy z twarzą okrągłą jak dynia.

— A co? — wzruszyła ramionami Narcyza. — Sylwester.

Franek patrzył na nią w kompletnym osłupieniu. Dziewczyna miała ufarbowane na seledynowo, kręcone włosy i była zupełnie naga. Franek w życiu nie widział gołej dziewczyny, która by tak obojętnie i beztrosko pokazywała się obcym. Zerknął w kierunku dwóch swoich towarzyszy, którzy jednak nie wydawali się poruszeni. Jak z kamienia, czy co?

— Pani tu mieszka? — spytał ostro Janiak.

— Skąd? Przyszłam z wizytą.

— Więc chyba miała pani na sobie jakąś sukienkę, co? — powiedział kapitan. — Proszę się ubrać i zapalić światło. Chcemy rozmawiać z... — rzut oka na kartkę — z Antonim Wołowiczem. Z panią zresztą też, ale chyba nie w tym stanie.

W stanie wojennym — pomyślała Narcyza — w stanie niewojennym, nie w tym stanie, w odmiennym stanie, przy nadziei, w głowie wciąż jeszcze czując rodzaj rozpędzonej karuzeli.

— W jakim stanie? — spytała lekko schrypniętym, gardłowym głosem — a w ogóle trzeba naprawić korki.

— Ja to zrobię — zerwał się ochoczo Franek. Narcyza wykonała ręką nieokreślony gest w stronę szafki licznikowej i przeszła do pokoju.

— Antek — szarpnęła mężczyznę — Antek, gliny przyszły, obudź się.

— Co? Coś ty powiedziała?

— Gliny. Po ciebie chyba. Mają na kartce długi spis, cholery, pewnie następna akcja.

— Jezus Maria!! — I co teraz?

— A co — spytała Narcyza, wkładając sukienkę — będziesz uciekał jak ten lokowaty?

— Jaki lokowaty, daj mi spokój!

— No, Lis czy jak mu tam, a może Borusewicz. Podobno drapnął do lasu, strzelali za nim, ale im zwiął. — Przyglądała

mu się przez dłuższą chwilę. — Ty byś nie dał rady uciec, już lepiej jedź do internatu, tylko włóż ciepłe gatki i podkoszulek.

— Spokojna jesteś, nie ma co, bo już pewnie wiesz, że nie o twoją skórę chodzi. Powiedzieli ci?

— Powiedzieli, że po ciebie, to po ciebie. Zresztą ja jestem niepełnoletnia.

— Jezus Maria, jeszcze tego brakowało. Ty niepełnoletnia, ja niemeldowany, ludzi pełno. Pobudziłaś ich?

— Zaraz, nie gorączkuj się tak. Jak już cię biorą, to nie wszystko ci jedno za co? Polityka czy zły meldunek, jeden pies.

W pokoju zabłysło światło.

— Budź ich, natychmiast — warknął mężczyzna, z trudem wciągając gruby narciarski golf. — Gdzie są moje wełniane skarpety?

— Obywatel Wołotowicz to pan? — spytał kapitan, wchodząc do pokoju.

— Ja. Już jestem gotowy, tylko może bym coś zjadł albo co?

— Nie ma potrzeby — powiedział Kołacz, wzruszając ramionami.

— Trudno.

— Straszny tu bałagan — skomentował obojętnie kapitan. Rozbebeszone łóżko i dwa legowiska pod oknem. Trzy osoby ubierały się pospiesznie, wyszukując części garderoby porzucane na podłodze. Okna były szczelnie zasłonięte kocami, na których ktoś białą farbą wymalował kościotrupy. Pośrodku stał ogromny stół, przykryty brystolem, pełen brudnej zastawy, popielniczek, butelek... Na ścianie naprzeciw okna wysokie metalowe regały pełne rulonów, farb i makiet.

W pracowni oprócz dziewczyny o seledynowych włosach, która włożyła wreszcie na siebie czarną, wydekoltowaną sukienkę mini, i Wołotowicza ubranego jak na wyprawę polarną, było jeszcze trzech mężczyzn, młodszych znacznie od pana domu, i jeszcze jedna dziewczyna, bardzo jasna, piegowata blondynka w srebrnym kombinezonie.

Janiak wyciągnął notes.

— Dokumenty proszę — powiedział ostro.

Zrobiło się zamieszanie, ktoś wyszedł na korytarz i Janiak zdecydowanym krokiem podążył za nim. Wreszcie wszyscy znaleźli dokumenty. Wołotowicz siedział na krześle w ponurym milczeniu. Chłopcy spoglądali na niego z wyraźnym podziwem i przerażeniem jednocześnie. Tęgi, nieco łysiejący Wołotowicz, człowiek, który dotąd nie zastrzyżił sobie na ich szacunek, chociaż bez skrupowania korzystali z jego przestrzeni życiowej i sta-

nowiska w telewizji, okazał się jednak kimś. Było im trochę wstyd za siebie, trochę wspaniale, trochę straszno.

Kapitan przez dłuższy czas nie odzywał się w ogóle. W notatniku naszkicował plan pracowni, zanotował charakterystyki i dane wszystkich obecnych. Janiak systematycznie przeglądał rulony i pudła na regale.

— Pan nie jest tu zameldowany — powiedział wreszcie kapitan — a obie panie są niepełnoletnie. Będziemy musieli wyciągnąć konsekwencje. Czy ktoś jeszcze brał udział we wczorajszym spotkaniu towarzyskim?

— Nie — mruknął Wołotowicz. — Pełen komplet gości na scenie.

— Dwie panie, czterech panów — czy tak? A nie było tu jeszcze jednej pani? — wyciągnął zdjęcie i podał je Narcyzie.

Obie dziewczyny, chichocząc nerwowo, oglądały uważnie zdjęcie.

— Nie — powiedziała Buśka — takiej tu nie było.

Pozostali obecni: Wołotowicz, Sławek, Jacek i Witold również nie znali dziewczyny. Fotografia wróciła do kapitana.

— Ta osoba — pokazał im jeszcze raz zdjęcie — nie żyje. Zamarzła na śmierć w zsypie tego budynku. Czy każdy z tu obecnych z czystym sumieniem potwierdzi swoją poprzednią odpowiedź?

W pokoju zapanowała cisza. Buśka i Narcyza przytuliły się do siebie. Mężczyźni z niewyraźnymi minami patrzyli w podłogę lub sufit. Wszyscy jednak przecząco pokręcili głowami.

— Mówię panom — powiedział Wołotowicz — że nikt z nas jej nie zna.

Kapitanowi wydało się, że słyszy ulgę w jego głosie. Stał się nieco łagodniejszy i mniej napięty. Obawiał się czegoś, ale nie tego, osądził.

— Oczywiście państwo nie macie nikogo, kto by potwierdził, że nocą nie było tu innych osób?

— I owszem — powiedział Wołotowicz — mamy. Około jedenastej przyszła z dołu jakaś wścicka baba w papilotach. Powiedziała, że hałasy jej przeszkadzają. Chcieliśmy ją zaprosić do kompanii, ale uciekła.

— Nazwisko — powiedział Janiak.

— Panie, skąd mogę wiedzieć. Taka mała, gruba, stara, z dołu... Powiedziała, że to — machnęła ręką, obejmując tym gestem cały pokój i wszystkich obecnych — grzech, rozpusta i obraza boska.

— A czy działo się coś, co by, hmm, usprawiedliwiało tę opinię?

— Ależ skąd, ależ skąd? Zwykła towarzyska zabawa.

— Rozumiem. Na razie wystarczy. Być może będę jeszcze rozmawiał z państwem. Proszę przebywać w miejscu zameldowania. Pan też — zwrócił się do Wołotowicza. — Do widzenia.

Gdy kapitan i reszta ekipy śledczej opuściła pracownię, Wołotowicz z westchnieniem ulgi ściągnął sweter i skarpety.

— Udało się — powiedział radośnie.

Chłopcy przyglądali mu się z lekką pogardą. Stary, głupi buc, pomyślał Sławek, i jeszcze mu się chciało zgrywać bohatera.

Zeszli na dziesiąte piętro.

— Wesoła gromadka — powiedział kapitan.

Janiak nie odpowiedział, bo notował coś pilnie w notesie.

— Ta wściekła baba — zastanowił się Kołacz, spoglądając w spis.

— W korytarzu, w prawo — powiedział Franek.

— Jelis albo Wakulska. Idziemy najpierw do Wakulskich...

Przez drzwi mieszkania 41 słychać było grający na cały głos telewizor.

— Ci przynajmniej nie śpią — skomentował Janiak. Nie było to jednak prawdą. Otworzyło im dziecko.

— Po tatusia?

— A dlaczego? — odpowiedział pytaniem Janiak.

— Bo mamusia zawsze mówi, że tego pijaka kiedyś znowu zamkną.

— Rodzice są? — przerwał kapitan.

— Tatusz poszedł chlać — poinformowało obojętnie dziecko — a mamusia śpi i nie pozwoliła się budzić. Powiedziała, że mnie palnie jak ją obudzę. Bo ja już ją raz obudziłem. Chciałem jej dać śniadanie, ale nie chciała.

Janiak podszedł do drzwi po prawej.

— Tu śpi twoja matka? — zapytał.

— Mhm. Ona pana zabije. Bardzo nie lubi, żeby ją budzić.

Janiak energicznie zapukał.

— Odwal się — dobiegł zza drzwi kobiecy wrzask.

— Milicja!

Po chwili na korytarzu pojawiła się niska, monstrualnie tęga kobieta w satynowym szlafroku. Na głowie miała wątki, okryte szaroróżową, nieco podartą siatką. Nie była chyba stara, kapitan ocenił ją na nie więcej niż trzydzieści lat.

— O co chodzi? Jeśli o tego złodzieja, ja nie wiem, zresztą nie ma go.

— Kogo?

— No, Wakulskiego Henryka. Nie ma go, mówię.

— No, ale wiecie jednak, że złodziej — powiedział Janiak.

— To już wy się z nim liczcie, jakeście przyszli po niego.

— A co on robi?

— Tatuś jest stolarzem. Ma takie maszyny, brrrrtrach i już jest listewka. Jak pan chce zobaczyć, to trzeba poczekać na tatusia, bo on zamyka swój pokój na klucz.

— Prywatny warsztat, co? — spytał Janiak. — Bez papierów.

Wakulski, zanotował w pamięci Franek. Żeby tylko nie zapomniał. Może uda się zamówić u niego szafę na rzeczy dla dziecka, bo kupić nie sposób.

Kobieta wzruszyła ramionami.

— Na górze były hałasy, tak? — spytał kapitan.

— A jakże. Toż tam dzień w dzień istna sodomaigomora.

— I pani chodziła na górę interweniować?

— A ja. Jak bym mogła, to bym im milicję na łeb sprowadziła. Szczeście, że się za niego bierzecie...

— O której pani tam była?

— Tak jakoś... no nie wiem... film się już skończył, to na pewno, ale północy jeszcze nie było. Czy ja wiem, jedenasta może...

— I co?

— No poszłam, bo już mnie dusiło. Takich wrzasków jeszcze nie słyszała, bawili się psiekrwie, jakby na całe życie... Poszłam tam i wałę w drzwi. Otworzył mi taki jakiś, nie ten cały artysta, tylko blondyn. Spodnie sobie zapinał — dodała szeptem.

— I co dalej?

— Tom go odepchnęła, o tak — kobieta pchnęła Janiaka tak mocno, że zatrzymał się na szafie. Spojrzała przerażona.

— Ja przepraszam — wyjąkała, a potem nagle wrzasnęła na syna — Tomek, wynocha stąd, telewizję oglądać. A was już nie mam gdzie prosić — powiedziała — duży pokój mi ten złodziej ukradł, w małym ja i dziecko, a w kuchni obrócić się nie ma jak.

— Nie szkodzi — powiedział kapitan, a Janiak poszedł do pokoju za chłopcem.

— Więcem weszła do tego ichniego pokoju, a tam koniec świata. Jacyś siedzieli pod stołem i się ściskali, a taka dziewczucha z jasnymi kłakami, całkiem goła i ten artysta, bez niczego zupełnie też tam stał, a ona polewała mu szampanem... i... i... i... I on się zaczął śmiać i zapytał, napije się pani, tak zapytał jezusiemaryjo, myślałam, że zemdleję, ale powiedziałam, co o tym myślę, o milicji też powiedziałam, że ich skarże, bo to rozpusta i sodomaigomora. I zakłócenie, no czy nie prawda?

— Rozumiem — skinął głową Kołacz — czy był tam ktoś jeszcze?

— Jeszcze był jeden, spał z głową na stole.

— I nikogo więcej? Może w łazience?

— Nikogusienko, panie władzo. Tam się nie ma gdzie ukryć. Jeden pokój, pusty, ani szafy, ani nic. Wszystko widać, a łazienka była otwarta i światło zapalone. Nie oszczędzają prądu, psiekrwie, takim to panbóg na wszystko daje pieniądze. Ale się potem z nimi policzy.

— No dobrze, dziękuję. Jeszcze jedno pytanie. Czy zna pani tę kobietę?

— Nie. — Wakulska oddała zdjęcie kapitanowi.

— Jest pani pewna, że nie widziała pani takiej dziewczyny, na przykład tam na górze u pana Wołotowicza?

— Nie. A co to za jedna?

— Umarła dziś rano. To wszystko. Kiedy będzie można zastać męża?

— Jaki on tam mąż. My już po rozwodzie od roku, ale mieszkanie dostaliśmy wspólne i tak mieszkamy razem, aż się coś odmieni albo aż go cholera trzaśnie z przepicia. To straszny człowiek, panie, nerwowy taki, aż strach. Ja się przed nim na łańcuch zamykam, żeby nam we śnie gardeł nie popodrzywał. Jakby co, pan władza będzie wiedział, kogo zamknąć i na szubienicę wysłać.

— Jakby były kłopoty, my w dzielnicy się nim zajmiemy — oznajmił służbistym tonem Janiak.

— No, on, znaczy się Wakulski, będzie wieczorem. Tera zawsze na noc wraca, jakeście go przed świętami złapali po nocy i przez dwa dni dworzec odśnieżał.

Mieszkanie 42 należało do Edwardy Jelis. Po naciśnięciu



dzwonka — zamiast gongu odezwał się melodyjny ptasi tryl.

— Co to? — zdziwił się Franek.

— Nowa moda — powiedział obojętnie kapitan. W jego domu dzwonek z ptasią muzyczką został zainstalowany z rok temu.

— Kto tam? — zapytał niski, przyjemny kobiecy głos.

Kapitan zauważył, że wizjer był zasłonięty czymś od zewnątrz. Kolejna nowa moda, pomyślał, pewnie sensowniejsza niż świergot kanarków.

— Milicja.

Edwarda Jelis stała nieruchomo przed drzwiami, patrząc bezmyślnie w zasłaniającą wizjer mosiężną plakietkę.

Z dużego pokoju wyszła jasnowłosa, młoda kobieta z butelczką mleka w dłoni.

— Co się stało, mamó?

— Milicja — wyszeptała Edwarda.

— Czy ty...

— Nie, córcia, ja nie, oprócz tego, że żyję i myślę, jak wszystkim. Tyle, że w pracy...

Edwarda Jelis była kierowniczką dużego sklepu mięsnego w centrum Miasta. Jej stanowisko po prostu zmuszało do przekupstwa. Rozliczne interesy z konwojentami i szantaż przez nich stosowany zmuszały z kolei kierowników do opłacania się i przymykania oczu na niezgodne z fakturą dostawy. Ajenci restauracji przyjeżdżali po pozakartkowe przydziały z przekupionymi milicjantami. Protekcjonizm mafijny rozkwitał na ogromną skalę. A z drugiej strony zdesperowani klienci stosowali wszystkie możliwe środki kuszenia i namowy, które ułatwiłyby im nabycie przyzwoitego mięsa i wędlin zamiast ochłapów. Część z nich zapewne nie miała ochoty na popełnianie żadnych wykroczeń przeciw przepisom. Stateczni ludzie, poważni, na dobrych stanowiskach nie mieli czasu albo ochoty, aby stać w wielogodzinnych kolejkach, wykłócać się i walczyć o przypadającą na nich dolę mięsnych szczątków. Wielu uważało to po prostu za poniżające.

Do tego dołączała się rodzina, której nie sposób przecież odmówić pomocy. Naturalne i zrozumiałe samo przez się, a przecież niezgodne z prawem. Edwarda Jelis nie była specjalnie wykształcona, znajomość filozofii nie wspomagała jej więc w borykaniu się z problemami codzienności. Instynktownie raczej niż na podstawie wiedzy, po to, aby zachować jaki taki spokój sumienia, wypracowała sobie swoisty system etyczny. System ten funkcjonował dość prosto i wprowadzał konieczne dla zdro-

wia psychicznego rozróżnienie pomiędzy grzechem naprawdę a grzechem na niby. Łapówki, prezenty, przekupywanie konwojentów, opłacanie się kontrolerom należało do kategorii grzechów nieprawdziwych, socjalistycznych, które nie miały nic wspólnego z dekalogiem i grzechami kościelnymi. W normalnym świecie nie ma przecież kłopotów z mięsem i kartek na masło ani kilometrowych kolejek przed sklepami; nie ma również wszystkich wynikających z nienormalnej sytuacji konfliktów i kłopotów. W zgodzie z sumieniem Edwarda Jelis nie czuła się więc złodziejką, łapowniczką czy spekulantką. Wykonywała swe funkcje możliwie uczciwie. Miała jednak pełną świadomość, że podwójna etyka, choćby nie wiem jak usprawiedliwiona, nie pomoże jej, gdy stanie twarzą w twarz z przedstawicielami prawa. Edwarda Jelis nie wyrażała zgody, by prawo działało tak, jak działa i by przepisy ważniejsze były i od Konstytucji, i od dziesięciu przykazań. To jednak nie zmieniało faktu, że prawo istniało i mogło być egzekwowane. Przez wiele lat stanowiło potencjalne zagrożenie, teraz zaś zagrożenie okazało się faktem.

Dzwonek zaćwierkał po raz drugi, jednocześnie ktoś załomotał w drzwi.

— Może ja otworzę, mam — powiedziała szeptem córka. — Powiem, że cię nie ma.

— Cóż to pomoże, córca? Przecież nie będę uciekać, jak zwierz w lesie.

Pogłaskała córkę po policzku.

— Nie martw się, Marta, wam nie grozi.

Tego akurat Marta była pewna. Matka gładko i niezauważalnie załatwiała wszystkie problemy, które przynosiło życie. Marta nie stała w kolejkach, nie biegała po urzędach, z nikim się nie wyklócała i nikomu nie tłumaczyła. Wszystko to robiła jej sprawna, efektywna, przystojna i energiczna matka. Marta nie miała ani potrzeby, ani okazji robić cokolwiek, co było wprawdzie normalne i powszechne, ale nielegalne. Nie, o siebie Marta się nie bała. Ale nie była egoistką. Wiedziała doskonale, że to matce zawdzięcza życie spokojne, wygodne i bez przeszkód. Potrafiła to docenić. Teraz nie myślała w ogóle o sobie. Oczyma duszy ujrzała matkę przed sądem, w celi więziennej, być może na ekranie telewizora. Z każdej sprawy da się zrobić pokazówkę. Zwłaszcza teraz, gdy czepiają się każdego uczciwego człowieka.

Edwarda Jelis otworzyła wreszcie drzwi.

— Proszę — powiedziała uprzejmie i spokojnie.

Marta przyglądała się jej z podziwem. Wspaniała, opanowana mama. Naprawdę wspaniała. Wiedziała jednak, że matka jest zdenerwowana. Głos miała spokojny, ale mówiła cicho i bardzo powoli.

Z pokoju wyszedł Adam Bartysz, mąż Marty.

— Co się stało? — zapytał ostro.

Och dobrze, pomyślała Marta. Już Adam poradzi sobie z nimi.

— Pani nazywa się Edwarda Jelis, tak? — zapytał kapitan. — A państwo?

Adam odpowiedział.

— Zameldowani tutaj?

Marta skinęła głową. Kiedy, u diabła, powiedzą wreszcie, po co przyszli. Ale im się nie spieszy. Bawią się ich zdenerwowaniem. Czuła, jak rośnie w niej głucha wściekłość. Miała ochotę krzyknąć na nich, na tych trzech chamów, którzy w sam Nowy Rok zakłócają spokój ich życia. Wynoście się, powtarzała w duchu, wynoście się, ale już!

Franek przyglądał się jej z zainteresowaniem. Ale zła, ocenił. Jak kocica.

— Nikogo więcej nie ma w mieszkaniu? — pytał właśnie Janiak.

— Nie.

— Co państwo robili dzisiejszej nocy?

— No cóż — westchnęła Edwarda — może usiądziemy?

Mój Boże, ona im zaraz zaproponuje kawę, przeraziła się Marta. Matka jednak milczała.

Przeszli do pokoju. Edwarda wskazała im krzesła, sama też usiadła. Marta przycupnęła z boku na kanapie, Adam stał w drzwiach z ponurą miną.

— Córka z zięciem byli u przyjaciół. Ja pilnowałam małego.

— Aha, to tu jeszcze jest dziecko — powiedział oskarżycielskim tonem Janiak.

— Ma cztery miesiące.

Czego oni chcą? Dlaczego kołują, zamiast powiedzieć od razu, co i jak.

— I o której państwo wrócili? — zapytał kapitan.

— Po czwartej. Przyjechaliśmy taksówką.

— Czy nie zauważyli państwo kogoś w okolicy bloku?

— Nie — pokręciła głową Marta — jakiś prywatny samochód ruszał z parkingu. Fiat 125.

— Kolor.

Marta wzruszyła ramionami.

— Nie mam pojęcia. Jakis ciemny. Numeru też nie widziałam — dodała sarkastycznie.

— A pani? — kapitan zwrócił się do Edwardy.

— Co ja?

— Czy pani czegoś nie słyszała?

— Na dziesiątym piętrze? Z dołu nie przecież nie słysząc.

Ta ma dobrze, pomyślał Franek. W swoim mieszkaniu słyszał wrzaski dzieci z całego osiedla, ujadanie wszystkich psów i niezliczone trzaski drzwi wind.

— Czy panowie mogliby nam powiedzieć, jaki jest cel tej wizyty?

Kapitan wyjął zdjęcie. Krótco opowiedział o porannym odkryciu Franka. Nikt nie znał jednak tej dziewczyny, ani jej nie widział.

Co za szczęście, pomyślała Marta, że nie będą się czepiać mamy. Marta z całą pewnością nie była egoistką i myślała również o innych, a nie tylko o sobie.

Do mieszkania 43 Anka odnosiła rajstopy z puszczoneymi oczkami. Franek przyjrzał się drzwiom — czarna metalowa plakietka — T. A. Wróbel. Żadnej kartki, żadnej informacji o repasacji — godzinach przyjęć. Anka jednak trafiła tu bez najmniejszego trudu.

Za drzwiami czekał pies. Wizjer był zasłonięty. Franek przypomniał sobie niedawną rozmowę z Ewarystem. Podobno, jeśli do wizjera przytknie się od zewnątrz szkło powiększające, można sprawdzić, czy ktoś jest za drzwiami. Ewaryst radził wymontować lub zasłonić wizjer, w obronie przed złodziejami.

Wprawdzie, powiedział, własność prywatna jest czymś w rodzaju kradzieży i jako filozof mam tego pełną świadomość, ale w naszym ustroju i w naszych czasach to, co posiadamy, jest dla nas cenne. Zresztą według filozofii ludowej przede wszystkim okazja czyni złodzieja, jest więc czynem niezbożnym narażanie duszy bliźniego naszego, który przez nadmierną łatwość z człowieka uczciwego przekształca się w złodzieja.

Franek zgubił się nieco w tych wywodach, na szczęście rozmowa szybko zesłała na tory bardziej konkretne; pozostali goście świąteczni na wyprzódki poczęli opowiadać o różnych bezczelnych, zuchwałych lub beznadziejnie prostych kradzieżach. Nadmiar dozoru w innych dziedzinach nie gwarantuje, jak widać, zwykłego codziennego bezpieczeństwa. Opowiadano o mie-

się do Joli, żony Andrzeja, a pan, panie Andrzeju? Ja nie jestem złodziejem, zaprotestowałam Andrzeju, wypraszam sobie. Tak się nam tylko wydaje, odpowiedział niezachwiany Ewaryst, albowiem system kradzieży jest już tak wszechogarniający, że niezauważalny. Kradzieżą jest kupienie dolara na lewo, jest to okradanie skarbu państwa; kradzieżą jest kupienie mięsa od pokątnego handlarza i opon do malucha na giełdzie. Wszystko, czego nie kupujemy w sklepie, lecz załatwiamy po znajomości, zostało przez nas po prostu ukradzione. I ty jesteś złodziejem, i pan, i pani, i ja też, oczywiście. Pan sobie może być złodziejem, odpowiedziała Jola, ale ja sobie nie życzę. Co innego opowiadać o pospolitych złodziejstwach, włamaniach i zbójach, a co innego oskarżać uczciwych ludzi. Oczywiście, zgodził się Ewaryst, pozornie co innego, my nie kradniemy bezpośrednio, płacimy złodziejom, którzy zrobili to za nas. Nie sądzimy, abyśmy nie byli sądzeni, westchnął. Ale zabezpieczmy się należycie. Należy, można by tak rzec, do złodziei drugiego stopnia, złodzieje stopnia pierwszego, czyli tzw. złodzieje bezpośredni, są naszymi wrogami. Więc, zasłonić wizjer, to pierwsze...

Klapka wizjera odskoczyła. Po drugiej stronie jakies oko, wielkie i uważne, oglądało teraz trzy wypukło-wklęsłe, zniekształcone postacie.

— Teresa — rozległ się za drzwiami gardłowy szept. — Teresa. — Milicja.

— O Jezu, pokaż, Alfek. — Następne oko, wielkie i uważne.

— O, niech to, wiesz ty, Alf, ta w ciąży, z dołu, jej mąż tu jest, po cywilu, niech ją cholera.

No, niech ją cholera, taka zawsze miła, przymilna, on też grzeczniutki; pani Teresko kochana, te rajstopki, żona by prosiła na dziś, bo to imieniny, a tu dla pani żarówka, wprawdzie tylko sześćdziesiątki... Wspaniale, lepsze sześćdziesiątki niż być w ogóle bez światła, bardzo pan miły, rajstopki zaraz tu na miejscu, niech pan chwilę spocznie; a teraz, gnojek jeden, to już koniec, trudno.

— No tak, to już koniec, trudno — mówi Alfred. — Ty się Teresa nie bój, za to twoje repasowanie do więzienia nie pakują. Więzienia to oni mają dla ważniejszych niż ty.

— Otwierać!

Więzienia mają dla ważniejszych niż ty, Teresko, może dla mnie, może dla twojego brata. Niech ich szlag trafi, ciekawe, kto im doniósł, diabły jedne, wszystko wywęszą. Ale żeby tak szybko, ile to, niecałe trzy tygodnie, jak obaj ze szwa-

szkaniach ogołoconych do cna w biały dzień, na co nie zwrócił uwagi żaden z sąsiadów. Nie znamy się przecież, powiedział wtedy Franek i pomyślał o Lipuszcze, gdzie wszyscy znali wszystkich, czasem aż za dobrze.

Czasy były istotnie niespokojne. Zupełnie bez powodu, zdaniem Franka, rozprzestrzeniły się złodziejstwo i bandytyzm. Opowiadano historie o skórzanych płaszczach zdejmowanych w windzie pod groźbą żyletki. O łańcuszkach złotych, bransoletkach i pierścionkach zabieranych na ulicy. O koleczykach wrywanych razem z uchem. Ewaryst wspomniiał również o kradzieżach, które miały miejsce podczas rewizji w domach podejrzanych politycznie. Wśród świątecznych gości powiało mroźnym milczeniem. No cóż, powiedział Ewaryst, symbol czasu. Każda sytuacja nienormalna powoduje pojawianie się zwiększonej liczby zjawisk społecznie patologicznych. Odstępstwa od normy moralnej i prawnej są tym liczniejsze, im więcej takich odstępstw daje się zauważyć w oficjalnym życiu społeczno-politycznym. Działania rządu są więc pośrednią przyczyną działań złodziei. Nieprawda, oburzył się Franek, rząd wcale nie popiera złodziejstwa, to jest wroga propaganda. Właśnie „Solidarność” robiła wszystko, żeby zniszczyć kraj, na pewno oni podpuszczali złodziejasków... Ach, nie sądzę, powiedział Ewaryst. Inna rzecz, że ludzie z „Solidarności” równie łatwo oskarżali rząd. Wydaje się jednak, że po prostu niepewna sytuacja i zachwianie kryteriów... Franek nie zrozumiał, co to znaczy zachwianie kryteriów; przez strajki jest kryzys, a przez kryzys ludzie kradną, bo im brakuje na życie, powiedział. Raczej strajki były wynikiem kryzysu, poprawił Ewaryst. Franek jednak nie chciał się wdawać w podobne subtelnosci. Ania, która pracowała jako sekretarka w Technikum, powiedziała, że podczas włamania złodzieje nie ruszyli cennej aparatury elektronicznej, magnetofonów i telewizorów, kolorowych, podkreśliła, ale zabrali z chłodni balię pełną mięsa. I zostawili na biurku Ani list napisany na jej własnej maszynie: „Przepraszamy, wesele w rodzinie. Wzięliśmy też papier i koperty. Proszę życzyć szczęścia młodej parze”. O tak, ucieszył się Ewaryst, czyż nie jest to najdoskonalszy przykład melancholii kryzysu? Złodziej jest zawsze sumą i uosobieniem niedomagań społeczeństwa, na którym żeruje. Tym razem zrobił to dosłownie. Ci złodzieje, ludzie zapewne na poziomie, kulturalni, inteligentni, dlaczego więc kradli. Nie ma sensu tragizować tego pytania — kradli, bo nie zdołali kupić w sklepie. Każdy z nas to robi, ergo każdy z nas jest złodziejem. Co ukradłeś, Franek? A pani — zwrócił

grem pomogli schować powielacz, dwie maszyny do pisania i skrzynkę matryc. Zaraz po Nowym Roku miało się zacząć pracę, no i się nie zaczęło. Trudno, bywa i tak. Biedna ta Teresa, sama z dziećmi zostanie. Może trzeba jej było powiedzieć, ale szwagier nie pozwolił, a to on decydował, jego głowa we wszystkim...

Alfred Wróbel otworzył drzwi.

— Coś niespiesznie szło otwieranie, co? — dogaduje Janiak.

— Łańcuch się zaplątał. Zawsze tak w zdenerwowaniu. Gdy się człowiek spieszy, to się diabeł cieszy, jak to mówią.

— A czemu pan zdenerwowany? — Janiak podejrzliwie patrzy na Alfreda.

— No, milicja... W Nowy Rok... Jak się tu nie denerwować. Czy to się coś stało, że tak w sam Nowy Rok?

Franek uśmiecha się do pani Teresy, ale ona patrzy na niego ponuro. Donosiciel, służalec, łajdak, myśli Teresa. Od razu wiedziałam, że mu źle z oczu patrzy. Rajstopki dla żony gotowe, pani Teresko? Przymilny taki. Rajstopki, żonka, ach ty świnió!

Już kto jak kto, ale jeśli dziewczyna w ogóle tu mieszkała, to Wróblowa musi ją znać. Przychodzą do niej chyba baby z całego domu. A Janiak już w pokoju, proszę, i już po półkach szuka. Na pewno ich o coś podejrzewa, ten facet taki zdenerwowany. Zresztą Janiak wszędzie węszy. Nawet kapitanowi zwracał uwagę, że tak trzeba i że czujność obowiązuje zawsze. Jasne, w końcu wcale nie wiadomo, co ci wszyscy ludzie sobie myślą.

— Nie — odpowiada tymczasem Alfred Wróbel — nigdy jej nie widziałem, a ty, Teresko?

— Ja też nie.

— No cóż, trudno, dziękuję — kłania się kapitan.

Franek kiwa głową Wróblowi, a pani Teresie podaje rękę i całuje ją w dłoń.

— Wszystkiego najlepszego, pani Teresko, od żony też.

Drzwi zamykają się cicho.

— Miły chłopak — mówił Alfred Wróbel.

— Miły i dobrze wychowany — zgadza się Teresa. — Dobry sąsiad, a to jest najważniejsze. Jezu, Alfek, muszę zawiadomić Baškę, gotowa poronić.

Teresa wyjmuje z szuflady drewnianą łyżkę i podchodzi do okna.

— Bum, bum, bum — dzwoni rura kaloryfera, niosąc w dół przesłanie.

— No — powiedziała wysoka starsza kobieta, ubrana elegancko i ekstrawagancko, w spodnie i długą wiśniową tunikę.

— Pani Smętowicz? Dokumenty proszę.

Kobieta spojrzała na nich ze zdziwieniem, unosząc cienkie brwi.

— Myślę, że to panowie powinni się najpierw przedstawić i okazać dokumenty, czyż nie? Zgodnie z tym, co kilkakrotnie podawała telewizja, zdarzają się wypadki włamań pod pretekstem wizyty funkcjonariuszy.

Janiak mruknął coś niewyraźnie, ale ponieważ kapitan bez oporów podał kobiecie legitymację służbową, Janiak poszedł w jego ślady. Franek wyjął dowód z kieszeni spodni. Kobieta przeczytała starannie nazwiska, porównała zdjęcia i twarze.

— Emerytka? — upewnił się kapitan.

— Rencistka.

Kobieta usiadła w szerokim, wygodnym fotelu o złocistym rypсовym obiciu. Gestem dłoni wskazała kanapę i drugi fotel. Z mosiężnej szkatułki wyjęła paczkę Pall Mall'i i poczęstowała milicjantów. Franek i kapitan zapalili, Janiak odmówił. Ale elegancja, ocenił Franek, przyglądając się pokojowi, wszystko jak ze złota, w tym samym kolorze, piękny. Janiakowi pokój wyraźnie nie przypadł do gustu, rozglądał się z dezaprobatą, aż wreszcie zatrzymał wzrok na kąciku za drzwiami. Od sufitu w dół splezała ogromna, szara, spuchnięta plama pleśni. Kobieta również popatrzyła w tamten róg z niesmakiem.

— Podobnie jest w kuchni i łazience — powiedziała. U nas, u sąsiadów piętro niżej, wszędzie pleśń. Nie można jej odkrobać, bo narasta znowu. Herbata w kuchni pleśniej, chleb, makaron. Od dołu atakują nasz dom mrówki faraona, od góry — pleśń. Wygląda jak złośliwy dowcip lub nawet metafora.

Metafora, spróbował przypomnieć sobie Franek, co to jest?

— Ach tak — powiedział kapitan — metafora. No cóż, wymowny przykład, ale czy nie za łatwy?

Janiak chrząknął znacząco.

— Jesteśmy bezradni — poinformowała Smętowiczowa. — Zgłaszaliśmy w administracji, ale bez skutku. Zima jest za ciężka, by dekarze mogli pracować. Woda się leje cały czas.



Dzieci od miesiąca mają bez przerwy zapalenie oskrzeli, kaszel, katar i Bóg wie co jeszcze.

— Pani tu mieszka sama?

— Nie, z synem, synową i dwójką wnuków. Wysłałam ich na wieś na kilka dni. W tym domu jest nie do wytrzymania. Córka i zięć mają fermę i domek w Skokowie. Syn z rodziną pojechali do nich już w poniedziałek, wrócą za dwa dni.

— Co to za ferma?

— Hodowla lisów.

Ach tak, tu więc leży źródło tego eleganckiego dostatku, beztrósko pożeranego teraz przez pleśń.

— Samochód państwo macie? — spytał Janiak i natychmiast dodał — jaki?

— Volkswagen Golf.

Franek gwizdnął cichutko przez zęby i aż się sam siebie zawstydził. Pani spojrzała na niego, ale twarz miała spokojną, obojętną. Dopiero teraz Franek uświadomił sobie, że kobieta w ogóle się nie uśmiecha.

Przecież nie można nigdy się nie uśmiechać, choćby odruchowo.

— Wyjeżdża pani za granicę? — zapytał nagle Janiak.

— Teraz? — brwi kobiety znowu powędrowały w górę. — Pan raczej żartować.

— Pytam, czy w ogóle?

— W ogóle tak, owszem.

— Często?

— Dwa, trzy razy do roku — kobieta lekko wzruszyła ramionami.

— Dzieci pani, syn, córka, zięć, synowa, też jeżdżą?

— Tak, najczęściej raz na rok, latem na wakacje.

— Aha — mruknął Janiak — jakieś kłopoty z cłem były? Tu ją ma, pomyślał Franek.

— Nie zapali pan? — usłyszał nagle łagodny głos. Franek ocknął się zawstydzony. Ze zdumieniem zauważył, że papierosa, którym przed chwilą poczęstowała go pani Smętowicz, obraca niezapalonego w palcach.

— Przepraszam — powiedział — całą noc nie spałem, a teraz zamysliłem się o niej.

— O kim? — zdziwiła się kobieta, chętnie korzystając z możliwości przerwania rozmowy z Janiakiem na temat cła, lisów i waluty.

— O niej. Pan kapitan chyba mówił, to ja ją znalazłem.

— Pan kapitan, jak dotąd, nic jeszcze nie mówił oprócz

dzień dobry, jak mi się zdaje. Nie uzyskałam również wyjaśnień, czemu mogę zawdzięczać tak niespodziewaną wizytę. Wydawało mi się, że pan kapitan reprezentuje Wydział Walki z Bandytyzmem, gdy tymczasem rozmowa wyraźnie zmierza w kierunku zainteresowań wydziału Przystępstw Gospodarczych, zresztą zupełnie niepotrzebnie, bo księgowość firmy mojego zięcia jest przede wszystkim jego sprawą, a nie moją, a poza tym jest w najzupełniejszym porządku.

— To się jeszcze okaże — powiedział Janiak, a Franek pomyślał, że chyba już słyszał takie zdanie tego ranka.

— Czy moglibyśmy poprosić o pokazanie zdjęć rodziny? — spytał kapitan.

Pani Śmętowicz wyjęła z półki oprawny w czerwoną skórę album.

— Nie, nie — szybko zaprotestował kapitan. — Miałem na myśli aktualne zdjęcia.

Zdjęcia były kolorowe, a córka ani synowa nie przypominały dziewczyny ze zsypu. Kapitan obejrzał je pobieżnie, Janiak długo i troskliwie. Kapitan zaczął wyjaśniać poranne wydarzenia. Janiak nachylił się do Franka: twarda sztuka, szepnął, nie daje po sobie poznać. Muszą przecież kombinować coś z tymi lisami. Do Erefenu albo do Austrii. Dlaczego muszą? — zapytał również szeptem Franek. Inaczej w ogóle się nie opłaca, odparł Janiak, po czym wstał i poszedł do półek. Przejrzał pobieżnie książki, wyjął broszurowe wydanie „Sagi rodu Korzeniowskich”.

— To zatrzymamy — powiedział. — Rozejrzę się trochę po mieszkaniu. — I wyszedł. Po chwili z kuchni dał się słyszeć jego głos. — Obywatelu kapitanie, proszę tu przyjść.

Wszyscy przeszli więc do kuchni i na korytarz.

— Co to jest? — zapytał kapitan, patrząc na stół zavalony paczkami kawy, kakao, czekolady w proszku, herbaty, puszkami szynki, bekonu, ananasów i innych delikatesów. — Z kościoła?

— Z paczek. Wczoraj przysły dwie paczki, do syna i do mnie. Rozpakowałam, ale nie chowałam niczego. Czekam na synową, ona tu jest panią domu.

Janiak systematycznie otwierał drzwi szafek kuchennych. Półki uginały się od dziesiątków puszek i paczek. Spekulacja albo do dalszego rozprowadzania między potrzebujących. Obie sprawy naganne, ciekawe do czego się przyzna, pomyślał kapitan. A raczej ciekawe, co to faktycznie jest, bo do czego się przyzna — to już zupełnie inna sprawa. A może w ogóle tylko

dla siebie to wszystko gromadzi, to chyba najbardziej prawdopodobne. Pisze za granicę, prosi przyjaciół o pomoc, bo w Polsce jest bieda, tylko zapomina dodać, że sama biedna nie jest i że tacy jak ona, zamożni, wszystko mogą kupić na hali lub u prywaciarzy.

— Kwity są? — spytał Janiak.

— Są — powiedziała — w koszu na śmieci. Może pan poszukać pod zlewozmywakiem. I czy mogłabym wreszcie prosić o wyjaśnienie, o co jestem oskarżona?

— Pani? — zdziwił się kapitan. — O nic pani nie podejrzewamy. Rutynowe zachowanie powoduje niekiedy, że ludzie o mniej czystym sumieniu czują się niepewnie. Chcieliśmy tylko zadać kilka pytań. Czy pani była sama dzisiejszej nocy?

— Sama? Oczywiście, że nie. Graliśmy w kanastę z przyjaciółmi. Proszę do pokoju, mogę pokazać zapis.

— Nazwisko przyjaciół.

— Aniela i Szczeban Deja. Odjechali samochodem około godziny drugiej.

— Czy widziała pani może tę dziewczynę? — kapitan wyjął zdjęcie.

— Nie — powiedziała Elżbieta Smętowicz. — Nigdy jej nie widziałam. Ani wczoraj, ani nigdy przedtem, aczkolwiek twarz jest mi znana.

— Tak?

— Podobna do Mii Farrow.

— Kto to jest? — spytał Janiak.

— Aktorka. Amerykańska. Grała w filmie „Wielki Gatsby”.

— I w „Johnie i Mary” — dodał kapitan. — Absolutnie poza podejrzeniami.

— Wiele dziewcząt obecnie naśladuje ten wygląd — powiedziała Smętowiczowa — i stają się bardziej podobne do siebie nawzajem niż do rodziców. Dziewczyny o urodzie elfów.

Jakie ładne słowo, pomyślał Franek. Elfy. Muszę się dowiedzieć, co to znaczy. Zapytam Ewarysta.

Ewaryst był kolegą Franka ze szkoły podstawowej w Lipuszcze. Dojeżdżał z sąsiedniej wsi; jego ojciec, kolejarz, przywoził go niekiedy drezyną, małym, rozklekotanym marzeniem wszystkich chłopaków z okolicy. Franek siedział z Ewarystem w jednej szkolnej ławce, co było przyczyną i skutkiem przyjaźni. Niekiedy Franek tłukł Ewarysta, niekiedy zaś, rzadziej

jednak, Ewaryst tłuł Franka. Byli równi sobie i oprócz drezyny i ewarystowych okularów nie ich nie różniło. Aż okazało się nagle, gdy byli w ósmej klasie, że Ewaryst jedzie do Starogardu do liceum. I tak się rozstali na równe dziesięć lat, co Ewaryst później określił jako symboliczne. Nie widzieliśmy się przez całą dekadę sukcesu, powiedział. Po wyjeździe Franek zapomniał o Ewaryście. Zapewne również Ewaryst zapomniał o Franku. Spotkali się ponownie w okolicznościach zgoła niecodziennych. Gdy wojskowy gazik wjechał na dziedziniec Pomorskiej Spółdzielni Budowlanej, młody, brodaty człowiek w okularach wskazał kierowcy miejsce parkowania. Był trzaskający mróz. Brodacz w walonkach i pikowanej granatowej kurtce tupał nogami.

— Nazwisko — zażądał major Kukuła, szef grupy operacyjnej.

— Ewaryst Lachowski.

— Zawód?

— Filozof.

Wśród stojących na podwórzu żołnierzy zapanowała konsternacja. Major otworzył usta, by zapytać jeszcze o coś, po czym nagle zmienił zamiar.

— Proszę nas zaprowadzić do dyrektora.

— Do prezesa — poprawił Ewaryst. Przyglądał się żołnierzom obojętnie. Nie poznał Franka, tak jak Franek nie poznałby jego, gdyby Ewaryst nie podał majorowi imienia i nazwiska.

— Warek — powiedział — to ja, Franek, pamiętasz mnie?

— Franek! — zawołał radośnie Ewaryst. — O rany, Franek, co ty tu...

— Poszłem — Franek zająknął się, Ania wielokrotnie zwracała mu uwagę, że tak nie należy mówić, wciąż jeszcze zapominał — poszedłem na zawodowca. Za dużo nas było z Wickiem na jedną gospodarkę.

Franek zaprosił Ewarysta do siebie.

— Przyjdź proszę, Ania się ucieszy. Opowiadałem jej o tobie.

Ewaryst był w znakomitej formie.

— Proszę, Aniu — przeszli od razu na ty, bo zażądał tego Franek — czy to nie zabawne? Rolnik w mundurze i filozof w robociarskim kombinezonie. Eh, kto by pomyślał w Lipuszcze, że tak się stanie.

Ewaryst studiował filozofię w Krakowie. Ożenił się z dziewczyną ze swojego roku, która pochodziła z Miasta i zaraz po studiach przeprowadził się do teściów. Przyjechał w czerwcu z wa-

lizką pełną książek, doskonałym dyplomem i pustymi kieszeniami. Uniwersytet płacił mu 3 i pół tysiąca, żonie — drugie tyle. Do życia dokładali teściowie. Do dziecka też.

— Filozof — powiedział Ewaryst, skubiąc w roztargnieniu brodę — musi być biedny. To tradycja, a trzeba się trzymać tradycji, skoro nie nam nie pozostało.

— Ale ty nie pracujesz przecież jako filozof — zauważył Franek.

Ania, zdaniem Franka, musiała się nieprzyjemnie czuć w towarzystwie Ewarysta. Ania była głupiotka i Franek miał pewność, że podobnie jak on nie rozumie słowa filozof. Tymczasem Ania wiedziała doskonale. Filozof znaczy mądrała, a Ewaryst to taki mądrała, któremu nie pozwalają teraz mędrkować. Nareszcie nie pozwalają. No i bardzo dobrze. Zdaniem Ani, stanowczo za późno zabroniono pyskować tym wszystkim brodatym mądrałom. Życie powinno być normalne, a normalność wyznaczana jest przez to, do czego Anię przyzwyczajono w dzieciństwie oraz przez to, czego w młodości nauczyła się chcieć. Cała reszta jest nienormalna. Normalna jest więc chęć posiadania, a nienormalne — podskakiwanie i ten Ewaryst jest też nienormalny. Filozof-dozorca, akurat odpowiednie miejsce dla świrów, którzy nie umieją szanować ładu, porządku i spokoju.

Tak więc, wbrew niepokojom Franka, Ania czuła się w towarzystwie Ewarysta dobrze i słusznie, silna własną normalnością. Franek, który przyjaźnił się przecież kiedyś z Ewarystem, myślał raczej ze smutkiem o nędznym losie przyjaciela. Ewaryst jesienią zrezygnował z pracy na Uniwersytecie i pisywał artykuły socjologiczno-filozoficzne dla wydawnictw związkowych.

— A teraz zostałem na lodzie, i to dosłownie. Co dzień rano odrąbuję lód na podwórzu mojej firmy.

— Nie mogłeś znaleźć lepszej pracy?

— Lepszej pracy? To jest przecież doskonała praca, w której w pełni mogę wykorzystać siedemnaście lat nauki. A zresztą — machnął ręką — nie było nic innego, a ja musiałem się spieszyć. Praca lekka, nie męcząca, na świeżym powietrzu.

Franek czuł się bezradny. Nie rozumiał tego wszystkiego; nie rozumiał, dlaczego Ewaryst, skoro jest taki mądry, że aż studiował filozofię, musi pracować jako dozorca, a przede wszystkim nie rozumiał, dlaczego Ewaryst tak lekko to traktuje. W każdym razie Ewaryst był mądry i to się Frankowi w nim podobało. Wtedy, w czasie świąt, gdy mówił o kradzieży i złodziejstwie, no tak, wtedy Ewaryst miał rację. Bez Ewarysta

Frankowi nigdy by nie przyszło do głowy, że tak właśnie jest w Polsce, że wszyscy kradną. Są nieuczciwi, mówi się teraz — żeby było grzeczniej, albo nawet, że są w niezgodzie z obowiązującym prawem, poprawił Franka Ewaryst. A prawo jest powszechną tajemnicą. Ty, Franek, niewiele więcej wiesz o prawie, niż ciemny chłop sprzed tysięcy lat. Wiesz, że nie wolno kraść, zabijać, kłamać i cudzołożyć, a pojęcie kary jest dla ciebie czymś równie strasznym i tajemniczym, jak dla tamtego chłopca. Dlatego, na wszelki wypadek, wszyscy się boją prawa i jego przedstawicieli. Bo skoro nie wiadomo, jakie jest prawo i jaka jest kara, to być może wolno robić wszystko bezkarnie, ale być może za wszystko grozi kara śmierci lub co najmniej ciężkiego więzienia. I taki mały prosty człowiek, którego największym przewinieniem jest to, że kupił ubitą bez zezwolenia świnię, boi się w równym stopniu, jak wielokrotny gwałcieciel. A może nawet jeszcze bardziej.

Państwo Ponarowscy z mieszkania numer 40 na IX piętrze nie znali wywodów Ewarysta. Gdyby jednak znali — zgodziliby się z nimi w całej rozciągłości. Prawo jest bowiem powszechną tajemnicą, ale z drugiej strony nieznanomość prawa nie zwalnia ani od winy, ani od kary. Podobnie jak ów ciemny chłop sprzed tysięcy lat, państwo Ponarowscy również wiedzieli, że nie wolno kraść, zabijać ani cudzołożyć, trzeba natomiast czcić ojca swego i matkę swoją, święcić dzień święty i nie mieć cudzych bogów. Na bieżący użytek taki zasób prawnej świadomości wydawał się im wystarczający. Natomiast w obliczu milicji uświadomili sobie, że istnieje, a ktoś kiedyś próbował ich o tym informować, między innymi w telewizji, cały gąszcz przepisów, paragrafów i aktów prawnych, regulujących życie obywateli, o których nie mają najmniejszego pojęcia.

Pani Ponarowska płaciła pewnemu niezamożnemu renciście, który stał za nią w kolejkach po mięso i inne trudno dostępne artykuły. Czy jest to zgodne z prawem, tego nie wiedziała. Pan Ponarowski od czasu do czasu pomagał różnym ludziom upłynnić kilka dolarów lub parę paczek kawy i miał poczucie, że działanie takie nie jest zgodne z przepisami. Ale czy aż tak dalece, żeby milicja nachodziła jego dom w dzień Nowego Roku? A może teraz, w stanie wojennym, jak już powsadzali wszystkich uczciwych ludzi, którzy odważali się cokolwiek mówić na głos, biorą się teraz za uczciwych ludzi, którzy milczą? A może ja nie jestem uczciwy i za to mnie wsadzą, a

może jestem i właśnie to jest niedobrze, a może... Pan Ponarowski poczuł się absolutnie bezradny. To jego żona musiała za siebie i za niego odpowiedzieć, że nie, nie znają tej dziewczyny ze zdjęcia i nigdy jej nie widzieli. Dzieci państwa Ponarowskich, dwa i dziesięć lat, były za małe, by je o cokolwiek pytać. Tym niemniej kapitan pokazał zdjęcie Agnieszce, która orzekła, że jest to Piotruś Pan i że rok temu, na święta, widziała go w telewizji.

— Nie denerwuj się — powiedziała Barbara Jurzycowa do męża. — W bloku jest milicja...

— Matko Boska — jęknął Jurzyca.

— Mówię ci przecież, żebyś się nie denerwował. Oni tu nie przyszedli sprawdzać twoich zarobków, kontaktów ani nie.

Samuel odetchnął głęboko. Był kierowcą w Fabryce Domów w Kokoszkach, a jak powszechnie wiadomo, pensje kierowców są nędzne i bez poprawiania kart drogowych oraz sztuczek z licznikiem i sprzedawania benzyny nie sposób byłoby wyżyć. Ponadto Samuel w ostatnich tygodniach, kiedy ceny zaopatrzeniowe były jeszcze niskie, pomógł kilku znajomym, a także kilku nieznanym w załatwieniu cementu, drewna i rur. Nauczył się już, że czy pomoże, czy nie, i tak będzie niedobrze. „W mojej firmie człowiek może być albo świnią, albo złodziejem, innej drogi nie ma, zwykł był mawiać, gdy dokuczało mu niejasne poczucie winy. Jak pomogę — jestem złodziej. Jak nie pomogę — świnią”. Ponieważ złodziejstwo należało do kompetencji prawa i religii, z czym Samuel Jurzyca miał kontakt niewielki lub zgoła żaden, natomiast świństwo przekreślało go towarzysko, Samuel bez większych wahań moralnych wybrał kiedyś, mniej więcej po trzech miesiącach pracy, bycie złodziejem. Przez pierwszy kwartał starał się tego unikać. Bóg mu świadkiem, że się starał. Koledzy wyśmiewali go i udzielali rad. Majster powiedział nawet — „wuj Sam, nie martw się, każdy przez to przechodzi”. I rzeczywiście, każdy przez to przechodzi. Najpierw się zżyma i oburza. Samek chciał nawet iść do dyrektora, w końcu jednak dał spokój. Następny, który przyszedł do pracy już po Samuelu, zamierzał pisać do prasy. Miał znajomego dziennikarza i okropnie się odgrażał, że mu doniesie, a ten wszystko przedstawi opinii publicznej i społeczeństwo nie daruje takiego złodziejstwa. Na szczęście majster, stary fachura, nie dał się wziąć na strach. „A jak się nazywa ten twój dziennikarz?” — spytał. „Marek Kosmolka” — odpowiedział tamten

i majster huknął radośnie, a za nim cała brygada, bo redaktor Kosmolka, młody, rzutki reportażysta, dwukrotnie pisał artykuły o Fabryce Domów. Raz, „przy okazji, jak by się dało”, załatwił cement, drugi raz „po starej znajomości” i „wypijemy” — drzwi oraz framugi okienne. Nie on jeden zresztą. Majster twierdził, że dziennikarze to najbardziej cwane bestie pod słońcem i nikt im nie poradzi. Od Marka Kosmolki majster dla całej brygady zażądał kiedyś biletów na żużel, „Pan redaktor wie... po starej znajomości, jak by się dało”. No i dostali. O, majster to jest fachura.

Był też taki, za rok przed „Solidarnością”, który zaczął straszyc NIK-iem, prokuratorem, kryminałem. Z grubej rury zaczął. Tak ostro nikt dotąd nie próbował. Bo ludzie są jednak uczciwi. Owszem, chcieliby coś naprawić, nawet ich można zrozumieć, ale takie świny, żeby zaraz donos, jednak rzadko się zdarzają. Nawet majstra zezłościł. Niech mi ten gówniarz nie podskakuje, powiedział chłopakom. I tak każdy wie, że wszystko się jebie przez ustrój, a on ustrojowych będzie skarżył, łachudra. Samek myślał już, że trzeba będzie nowego stuknąć, ale wystarczyła drobna rozmowa, ot, takie sobie polityczne uświadomienie. I był spokój. Porozmawiali z nim wieczorem, po drugiej zmianie. Bez świadków bo jak rozmawiają ze sobą chłopcy z Kokoszek, nigdy nie ma świadków. Lekko się porozmawiało, po co krzywdzić kolegę. To jeszcze może być całkiem dobry kompan, tylko czy się powoli. Pomóc trzeba. No i wcale nie był taki niepojętny, jak się z początku wydawało. Uczciwy był. Nie naskarżył, przyszedł do roboty nazajutrz, jakby się nic nie zdarzyło. Porządny facet. Za „Solidarności” zrobili go przewodniczącym. Majster mówił coś, że trza by naprawdę uczciwego, ale skąd wziąć, skąd? No i wybrali jego. „Wałęsiak” na niego mówili, nawet wacha miał, koniunkturalnie, jak powiedział majster. Może ten wach zaważył na wyborze, kto teraz dojdzie. Majster jak miał humor, opowiadał, że za Gomułki sekretarz musowo był łysy, za Gierka — siwy i na jeża. Ot, jak to jest. A „Wałęsiak” — z wąsami. No i dobrze. „Wałęsiak” był przejmujący się. Zrobił zebranie i powiedział, że należy przeanalizować, tak powiedział, trzeba przeanalizować sposób pracy i zrobić, żeby nie było lewych numerów. „Teraz jest 'Solidarność' — mówił — i trza być uczciwym”. Niby mówił to, co przedtem, zanim z nim porozmawiali, a jakoś inaczej. Nawet się nad tym zamyślili, trochę popróbowali, ale w końcu trzeba żyć. Baby w chałupach marudziły, czego człowiek nie tknął — i tak się rozłaziło; „Wałęsiak” w końcu też zre-



zygnował, powiedział, że najlepiej wszystko rozpieprzyć siłą i zacząć od nowa, bo z łataniny i tak nie porządnego nie wyjdzie. Z góry na dół zmienić, a przede wszystkim system. Politycznie mówił. Może aż za politycznie, bo go wzięli i internowali. Tak to jest. Raz na wozie, raz pod wozem.

Barbara postawiła na stoliku kawę i kawałek ciasta.

— Coś taki zamysłony?

— Ano tak, to jakoś daje do myślenia, jak się gliny po chałupie kręcą. Za czym oni szukają, za następnymi biedakami do ciupy? Nic ino by wsadzali i wsadzali, nienasytce.

— Umarła jakaś, ponoć u nas w zsypie.

— Też ci sprawa, nu. A ty skąd wiesz?

— Wróblowa pukała w kaloryfer, żebym przyszła, no i powiedziała, że się nie mam denerwować, bo gliny chodzą, ale za czym innym, nie za naszymi sprawami. Ale po chałupie parzą. Nie masz ty czego, Samek?

— Eee, w chałupie? Kto by teraz po chałupie trzymał. Po coś mi to słodkie postawiła, zagrzej lepiej bigosu.

Dzwonek. Dzyń-dong-dong.

Basia wypadła z kuchni ze świecznikiem w dłoni.

— Świeca, Samuś, schowaj ją, szybko.

— A co to — świecy palić nie wolno?

— Schowaj i nie gadaj, tej nie wolno. Radio przestaw, mi-giem.

Wczoraj palili świecę w oknie od jedenastej do północy. Podobno „Solidarność” kazała. Dlaczego nie mieli palić?

Dzyń-dong-dong.

— Chwileczkę.

Samuel stanął bezradnie ze świecą w ręku. Wreszcie wepchnął ją pomiędzy poduszki kanapy. Radio. Zwariowała baba, nie ma co, ale może rzeczywiście lepiej przestawić.

— Dziwnie wolno wszystkim idzie otwieranie — zauważył z przekąsem Janiak.

— Do milicji nikomu się nie spieszy — odparł Kołacz — bo i po co?

— Co tu pachnie? — zapytał Janiak natychmiast po wejściu do mieszkania Jurzyców — pali się coś?

— Bigos, Jezus Maria — jęknęła Basia, ruszając w stronę kuchni.

— Bigos, proszę pani? A nie papiery czasem?

— Proszę — Basia podetknęła przypalony garnek pod sam nos Janiaka — przypalony, prawda? I tyle. A tej umarłej nie

znamy, bo przecież o to chodzi, a nie o mój bigos, więc nie znamy...

— Skąd pani wie? — zapytał Kołacz.

— Panie, już wszyscy wiedzą, że szukacie po chałupie.

— Skąd pani wie, że jej nie znacie? — kapitan wyjął zdjęcie. — Można? — spytał, gestem wskazując pokój.

— Można — powiedziała Basia bez entuzjazmu.

Dzyń-dong-dong.

— Panie kapitanie — zameldował młody chłopak w uszance i niebieskiej panterce — ludzie idą do kościoła. Wypuszczać?

Kapitan zawahał się. Jeżeli nie wypuści, zrobi się skandal. Jest Nowy Rok, ludzie mają prawo iść na mszę św. Jeżeli wypuści... — Wypuszczać — powiedział. — Tylko mieszkańców dziewiątego i ósmego piętra zatrzymać do dyspozycji. Spisać personalia, numery mieszkań i ilość osób. Należy prosić, uprzejmie — podkreślił z naciskiem — o jak najszybszy powrót, ewentualnie przypominać, że jest stan wojenny i za utrudnianie działań milicji grozi kara do pięciu lat więzienia.

Lekko wam idzie szastanie tymi karami za byle co, pomyślał Jurzyca. Dziesięć lat, dwadzieścia, dożywocie, kara śmierci, niech was jasna cholera pokręci, diabły rogate.

— Dwóch ludzi wysłać do kościoła i mieć oko na to, co się dzieje. Ale nie wy, ktoś w cywilu, niech Szebel zadecyduje.

Chłopak zasalutował i wyszedł. Kapitan wszedł do pokoju. Kiedy siadał na kanapie, spomiędzy poduszek wypadła świeca i potoczyła się na dywan...

W mieszkaniu było schludnie i czysto, ale nieuchwytnie inaczej. Nie Franek jednak rozpoznał tę różnicę, tylko Janiak.

— Co tu pachnie? — zapytał, ledwie weszli do mieszkania Łakomnych.

Ten ma nosa, ocenił Franek, przyglądając się kartoflowatej twarzy dzielnicowego.

Andrzej Łakomny chował właśnie dowód osobisty do kieszeni kurtki.

— Farba drukarska — powiedział, otwierając drzwi do największego pokoju. Stała tam wielka metalowa konstrukcja z drewnianymi wałkami. Młoda dziewczyna w chustce na głowie i granatowym kitlu pochylała się nad cynkową płytą pokrytą płachtą czarnego sukna. Na widok wchodzących podniosła głowę i przez chwilę stała zupełnie bez ruchu.

— Zaraz będę gotowa — powiedziała wreszcie i pochyliła

się z powrotem nad płytą. Podniosła sukno, jeszcze jakiś kawałek tkaniny, kilka warstw grubej, niebieskiej tektury. Kapitan, porucznik i Franek podeszli bliżej maszyny. Dziewczyna delikatnie zdejmowała właśnie cienki, półprzejrzysty arkusik bibułki, pokrytej czarną farbą. Położyła ją ostrożnie na stole. Z białego tła bibułki wyłaniały się ukryte w mroku, zamglone i niezbyt wyraźne sylwetki trzech krzyży.

— Co to jest? — spytał Janiak.

— Linoryt.

— Ale co to przedstawia?

— To chyba widać, Golgotę — odpowiedziała dziewczyna.

Kapitan pomyślał, że równie dobrze te trzy krzyże mogą być Pomnikiem Poległych Stoczniovców, ale nie podjął tematu.

— Pani pracuje w święto? — spytał.

A juści, pomyślał Franek, niedzielną pracą w gówny się obraca — przypomniał sobie dosadne powiedzonko ojca.

— Muszę. Wczoraj nie miałam czasu, a to jest prezent dla Mieczysława, więc musi być dziś gotowy.

Dziwaczny prezent, pomyślał Franek. I niepotrzebny. Prezent to jest kryształ albo obrus, a nie świstek papieru.

Dziewczyna wytarła dłonie w kitel, po czym zdjęła fartuch i chusteczkę.

— Nazwisko — powiedział Janiak. — Dokumenty proszę.

— Anna Łakomny.

— Drukarz? — spytał Janiak.

— Grafik.

— A to? — Janiak pokazał palcem maszynę.

— Magiel...

— Bez żartów, co to jest?

— No cóż — westchnęła — jest to magiel...

— Zostanie obywatelka ukarana za przeszkadzanie w dochodzeniu — warknął Janiak, wyraźnie już zły.

— Nie mam zamiaru niczego utrudniać. Gdyby mi pan pozwolił skończyć, wyjaśniłabym panu, że jest to magiel bardzo antycznego typu, od lat służący do wykonywania odbitek graficznych. Należał przedtem do mojego ojca.

— Więc tu się drukuje ulotki, tak? — powiedział Janiak.

— Nie, tu się odbija odbitki graficzne.

— Ale ulotki też można.

Można, można, pomyślała dziewczyna, ale tobie chacie nie do tego.

— Chce pan spróbować? — spytała. — To zobaczy pan, jak to trudno.

— Ja się na tym nie znam.

— Nigdy nie jest za późno, żeby coś poznać. Ale to marny surowiec na ulotki, a proces produkcyjny jest zbyt długi, by cała zabawa miała sens.

— Ale przy pomocy tych urządzeń można drukować ulotki.

— Oczywiście, proszę pana, ponieważ na upartego można je robić, odbijając z ciasta drewnianym wałkiem na papierze toaletowym. Wszystko można, ale taki jest zwyczaj, by działać skutecznie, a drukowanie ulotek przy pomocy tego magła byłoby z gruntu nieefektywne.

— Panie kapitanie, proszę o pozwolenie przeprowadzenia rewizji — powiedział Janiak.

— Do pokoju wszedł Andrzej Łakomny z córką i synem.

— A ja wczoraj piłam szampana — powiedziała dziewczynka.

— To ładnie — odparł Franek — a właściwie nie, wcale nieładnie.

— Ładnie. — Paulina wzięła go za rękę. — Chcesz zobaczyć Sylwię?

— Mogę.

Paulina zaprowadziła go do drugiego pokoju.

— Sylwia jest tam — dziewczynka pokazała mały dziecięcy regalik. Tylko cicho, bo ona śpi i nie wolno jej budzić.

W słoiku spał zwinięty chomik. Na oknie stała świeczka w drewnianym lichtarzu.

— Paliłeś w nocy świeczkę? — spytała Paulina.

— Nie. Ja mam na choince lampki.

— Nie na choince. Na oknie.

— Panie Handa — zawołał kapitan z korytarza — idziemy.

— Do widzenia, Paulinko.

— A po co idziesz? Zostań. Pobawisz się z Sylwią, jak się obudzi.

— Muszę — powiedział, wychodząc z dziewczynką na korytarz.

— Nie idź. Jak oni będą cię chcieli zabrać, to wyjdiesz przez balkon. Wujek Daniel tak wyszedł, zanim oni przyszli.

W przedpokoju zapanowała cisza.

— Chyba nie skończyliśmy jeszcze rozmowy — przerwał wreszcie kapitan. — Panie poruczniku, proszę jednak zarządzić rewizję. Szebel powinien mieć do dyspozycji ze trzech ludzi.

Łakomny wzruszył ramionami.

— Skoro już się sypnęło, to możemy przyprowadzić Daniela z powrotem.

— A gdzie on jest? — spytał Janiak.

— U państwa Jurzyców, jak sądzę, chyba, że poszedł gdzieś dalej. Pójdę go poszukać.

— Pójdziemy razem, obywatelu.

Po chwili Janiak i Łakomny wrócili z młodym ciemnowłosym mężczyzną, uderzająco podobnym do pani domu i jej śniadych dzieci.

— Daniel Smokowski, brat bliźniak.

— Dlaczego pan uciekał? Zna pan tę dziewczynę? Siostra i szwagier twierdzą, że nigdy jej nie widzieli.

— Ładna — ocenił Daniel — szkoda, ale nie znam.

— Więc czemu pan uciekał?

— Bo jestem niemeldowany.

Pięć tysięcy, pomyślał kapitan, kolegium, ewentualnie wysiedlenie.

— Ale pan w ogóle nie jest zameldowany — powiedziała zdumionym głosem, przeglądając dowód Smokowskiego.

— No właśnie — Daniel pokiwiał głową z udanym smutkiem.

— Ostatnio mieszkał pan w Kartuzach. I co?

— I nic. W Kartuzach buda się spaliła, odbudować nie ma czego, bo to naprawdę była buda. Drewniany barak bez wody, zimną herbata w szklance zamarzała, latem wszystko parzyło. Miałem mały biznesik, napełnianie naboju do syfonów, wszystko poszło z dymem.

— A odszkodowanie?

Chłopak wzruszył ramionami.

— Firma była nielegalna, tak? — zapytał Janiak.

— Jaka firma! Nic tam nie było. Można sprawdzić, jeśli pan władza sobie życzy. Wszędzie powiedzą, że tam nic nie było, w finansowym, lokalowym, przemysłowym.

— W PZU również — dodał kapitan. — I kiedy miał miejsce pożar, który strawił ów tajemniczy biznesik?

— Trzynastego grudnia nad ranem. Pańscy ludzie przyszli po kolegę. Dobrze wiedzieli, że mieszkał u mnie, chociaż też nie meldowany. Wyłamali drzwi...

— Widać pan nie otworzył.

— Ja mam mocny sen. Zresztą było to po imieninach. Jakby pan władza chciał widzieć, to dwunastego w sobotę były imieniny Aleksandra.

— Jak się nazywał kolega?

— Mam nadzieję, że wciąż się jeszcze nazywa. Aleksander Łapiński, na pobycie czasowym w...

— Sprawdzimy. Co było z tym pożarem?

— Paliło się w kozie. Zimno było, nie wiem, czy pan włada pamięcią. Trochę się przekomarzaliśmy z waszymi kolegami, piecyk upadł.

Franek spojrzął na Annę Łakomny. Była smutna i zalekciona. Wyraźnie powstrzymywała się od płaczu. Wpakują go do pudła jak nic, pomyślał, należy mu się, fireykowi. Ale szkoda tej Anny, co ona winna, że ma brata stukniętego, przecież go kocha, toć brat.

Janiak wyszedł i po chwili wrócił, a za nim trzech innych ludzi, dwóch w mundurach, jeden po cywilnemu.

— Muszę państwa powiadomić — powiedział kapitan — że zgodnie z obowiązującym aktualnie prawem do przeprowadzenia rewizji nie jest wymagany podpisany przez prokuratora nakaz. Natomiast możecie państwo zaprosić kogoś na świadka.

Janiak spojrzął na kapitana z bezbrzeżną pogardą. Typowy urzędniczy mięczak, pomyślał.

Łakomny wzruszył ramionami.

— Może być sąsiad? — spytał. — Może Jurzyca? Albo Griszner?

— Poruczniku Szebel, proszę pójść po obywatela Grisznera. To obok.

W M3 naprzeciwko mieszkania Łakomnych mieszkał dziadek Griszner z dwoma dorosłymi wnukami. Jeden z nich, młodszy bodaj, pracował w remontówce, drugi chodził gdzieś strojami, gdzie — tego nikt nie wiedział. Dość na tym, że nigdy ani dziadka, ani wnuków nie było. Z PZU i administracji kilkakrotnie zaglądali, zostawiali nawet wiadomość, że należy czekać tego i tego dnia, od tej do tej godziny, czego wszyscy raczej posłusznie przestrzegali, tylko dziadek Griszner nie, chociaż był pewnie rencistą lub emerytem, bo wygląd miał już zaiste dziadkowaty. Ot, łysy, przygarbiony, w czarnym płaszczu i czarnej barankowej czapce, bez wąsa czy okularów — nic, co by go wyróżniało. Chłopcy Grisznerowie byli jeden wysoki, drugi niski, obaj blondyni, nosili podług ostatniej mody workowate dżinsy i pikowane kurtki. Tyle o Grisznerach umiała powiedzieć Anna Łakomny, gdy Szebel wrócił z Samuelem Jurzycą i zameldował, że u Grisznerów nikogo nie ma.

— Jak zwykle — skomentowała.

Szebel i jego ludzie rozpoczęli systematyczną rewizję. Kapitan tymczasem kontynuował przesłuchanie.

— Pan nigdzie nie pracował?

— Jakby to powiedzieć — mruknął Daniel — wszystko jest względne, jak twierdził Einstein.

— Rozumiem. Po pożarze przyjechał pan do siostry. Bez pozwolenia, oczywiście.

— Oczywiście.

— Jak?

— Auto-stopem. Nikt mnie nie kontrolował.

— I co pan teraz zamierza robić?

— Siedzieć, jak sądzę. Co mi pozostało po tych rewelacjach?

— Albo pracować.

— Żuławy piękny kraj — mruknął Smokowski — szkoda, że taki mokry.

— Pojedzie pan z porucznikiem Szeblem do Komendy. Trzeba będzie podpisać zeznania, a co potem — to się okaże.

Porucznik Szebel siedział w głębokim fotelu, wypełniając jakiś formularz.

— My idziemy dalej — powiedział Kołacz. — Proszę zameldować o wynikach przeszukania, a raport i tego obywatela — pokazać na Smokowskiego — dostarczyć do Komendy.

— Tak jest.

Zajrzeli jeszcze raz do Grisznerów. Nadal nikogo tam nie było. Postali chwilę pod drzwiami, połamotali, po czym poszli w stronę windy i zjechali piętro niżej.

Dopiero gdy winda definitywnie odjechała, z mieszkania numer 3 wyjrzał ostrożnie starszy, łysy człowiek.

— Jasne — powiedział starszy z wnuków — ale mamy fart.

— Nie ciesz się za wcześnie — burknął dziadek Griszner. — Oni tu jeszcze wrócą. Do roboty...

Czekała ich ogromna praca. Wylać do ubikacji pięćdziesiąt litrów zacieru, nie robiąc przy tym hałasu. Potem rozmontować chłodnicę, wymyć bańkę po mleku i napełnić — dla niepoznaki — wodą. (Na zapas, jakby zabrakło lub jakby hydrofor wysiadł, panie władzo — tak miał odpowiadać dziadek, gdyby władza interesowała się, po co im dwudziestopięciolitrowy baniak). Do balonów przygotowane były długie suche bukiety. Butelki, firmowo zamknięte, poutykane zostały między odzieżą. (Jak w jednym domu mieszka trzech pijaków, to i mają zapasy poukrywane po kątach. Tak miał mówić dziadek. Chłopcy nie mieli się wcale odzywać, bo są durnie).

— Do roboty — powtórzył dziadek — tylko cicho i szybko, pierony.

Na ósmym, przed drzwiami Sternów, Franek przeprosił na chwilę i pojechał do Ani.

— Muszę sprawdzić, jak się czuje żona.

Kapitan skinął głową.

— Jeżeli wyjdziemy już z 39, będziemy naprzeciwko — spojrzął na drzwi, a potem na listę lokatorów. Na drzwiach nie było tabliczki — U Wiesiołkowskich, w M3.

Franek zjechał na dół ciemną windą. Żarówka ktoś wykręcił i właściwie trudno mu się dziwić, osądził. Sam bym zabrał, gdyby mi zabrakło. Żarówek nie było w sklepach od wielu miesięcy, chociaż w telewizji zapewniano, że produkuje się ich tyle samo, co w ubiegłym roku. Franek uprzytomnił sobie, że od co najmniej kilku godzin dziewczyna w różowych spodniach leży na stole w prosektorium, a lekarz sądowy kroi jej wnętrzności ostrymi skalpelami, a potem ogląda pod mikroskopem płuca, wątrobę, żółądek... Franek wzdrygnął się. Winda dojechała na parter.

— Coś ty taki blady? — spytała złym głosem Anka. Franek próbował się uśmiechnąć.

— Wszystkiego najlepszego w Nowym Roku, kochanie.

Odepchnęła go, zła i naburmuszona. Przez chwilę zastanawiał się, jaką wybrać taktykę i w końcu zdecydował nic nie robić. Ustalił w myślach sam ze sobą, że jest przecież, do cholery, mężczyzną, ma prawo robić to, co chce, zwłaszcza że nie jest to nic zdrożnego, bo co innego, gdyby na przykład pił...

— Zrób obiad na pierwszą dla wszystkich, dla kapitana i porucznika też i przestań grymasić, stało się co czy jak?

Anka przysiadła obok niego na kanapie, pomilczeli chwilę razem. Babcia Maria zawsze mówiła, że nie ma nic lepszego na gniewy ludzkie niż pomilczeć wspólnie. Wreszcie Anka uśmiechnęła się i powiedziała, że na obiad może być pieczeń, bigos i kompot.

Ku niezadowoleniu Janiaka — kapitan wciąż jeszcze był u Sternów. W mieszkaniu unosił się niewyraźny swąd spalenizny.

— Tu też coś przypalili, może to jakaś zaraza? — szepnął Franek.



— Mówią, że cebula do rosółu. Nawet pokazywali taką mocno przypieczoną cebulę. — Ale — Janiak też zniżył głos do szeptu — garnka z zupą nie ma na kuchence, zresztą kto gotuje rosół w Nowy Rok?

— Zła gospodyni — uśmiechnął się Franek.

Mogli spokojnie rozmawiać, bo kapitan zabawiał rozmową najstarszą córkę Sternów.

— E tam — machnął ręką Janiak — ja im za grosz nie wierzę. W zlewie stoi garnek. I jakby osmalony od wewnątrz i na chybcika umyty.

— Aha — zaciekawiał się Franek, któremu osmalony od wewnątrz garnek nie nasuwał żadnych skojarzeń.

— Palili papiery — powiedział przejmującym szeptem Janiak.

— Jakie papiery?

— Na pewno ulotki. Ale kapitan to zlekceważył.

— Jak spalili, to i tak już nic nie ma, i nie się im nie udowodni.

— Coś by się może jeszcze znalazło.

I co, u nich też rewizję?

— Ja bym zrobił, ale kapitan powiedział, że nie widzi powodów.

Przez chwilę milczeli.

— Ona jest studentką — oznajmił oskarżycielsko Janiak, wskazując wysoką, kudłatą dziewczynę, która stała obok kapitana.

— Tak? — zapytał grzecznie Franek. Nie wiedział wprawdzie, jakie to ma znaczenie, ale Janiak wyraźnie upatrywał w tym dowodu na coś, a Franek mu wierzył.

— I poetką — dodał Janiak — kapitan czytał jej wiersze. Ewa Stern, słyszał pan o takiej?

— Nie — powiedział Franek — ja się tam nie znam na poezji.

— Ja też nie słyszałem. A kapitan, powiem w zaufaniu, po prostu lekceważy obowiązki służbowe.

— Nie rozmawiał o śledztwie?

— Rozmawiał — przyznał niechętnie Janiak. — Ale nie zwraca uwagi na dodatkowe szczegóły.

— Może nie mają znaczenia dla sprawy.

— Janiak wzruszył ramionami. Ten młodzik, zupełnie jak kapitan, nie uświadamia sobie, jakie naprawdę ciężą na nich obowiązki.

— Ciekawe — powiedział Janiak — na początku w ogóle nie chcieli mówić. Byli bardzo podejrzliwi, a ta Ewa patrzyła jak zbój.

— Dlaczego? Znali tę dziewczynę?

— Nie, w każdym razie nie konkretnego. Ale to dopiero wyszło potem. Ta Stern przyznała się, że widywała denatkę w barze studenckim na Uniwersytecie.

— Nareszcie jest jakiś ślad.

— Kto wie — powiedział Janiak — jak się sprawdzi, to będzie wiadomo.

— A czemu ona nie chciała mówić?

— Podejrzana osoba — oznajmił Janiak. — I bezczelna. Powiedziała, jak ją zacząłem naciskać, że nie będzie odpowiadać na żadne pytania. „Nie mam zamiaru pomóc wam w pakowaniu kogoś do pudła, chyba że pokażecie wezwanie”. Ja bym jej, na miejscu kapitana, przysłał wezwanie, profilaktycznie. Dopiero jak kapitan powiedział, że denatka nie żyje, Stern zmiękła i zaczęła mówić.

Kapitan zęgnął się właśnie ze Sternami i wraz z Ewą podeszli do Janiaka i Franka.

— Czy to tajniak? — spytała Ewa Stern. Kapitan wyjaśnił rolę Franka w dochodzeniu.

Ewa Stern patrzyła na nich wszystkich spode łba.

— Zastanawiam się — powiedziała — dlaczego nawet umrzeć nie można prywatnie.

Franek spojrzał na nią zaskoczony. Dziwaczka. Poetka.

— To bardzo piękne — mówiła dalej Ewa — po prostu umrzeć, zanim życie stanie się nie do zniesienia.

I nagle, ku własnemu swojemu zawstydzeniu, Franek powiedział:

— Czy pani... czy ja mógłbym pożyczyć jakieś pani wiersze? Jutro odniosę. Bo my jesteśmy sąsiadami, więc tak chciałbym jakoś...

Jak dotąd nigdy jeszcze Franciszek Handa, lat dwadzieścia pięć, nie czytał żadnych wierszy, które nie były lekturą szkolną.

— Widzę, że interesuje się pan poezją — powiedział kapitan na korytarzu i nie czekając na odpowiedź Franka, dodał: — Rozmowa z Ewą Stern powinna nas skłonić do zmiany taktyki. Trzeba od razu mówić, że dziewczyna umarła. Ludzie nie chcą odpowiadać, bo sądzą, że mamy zamiar kogoś aresztować. Cie-

kawe, jak szybko ogół nabiera nowych przyzwyczajęń. Do niedawna tego nie było, a teraz nagle...

Stali wciąż na wycieraczce Sternów i Franek uprzytomnił sobie, że takie same wycieraczki widział już dziś kilkakrotnie. Były to grube plecionki z dwubarwnego sizalu, sprzedawano je zapewne, chodząc od mieszkania do mieszkania. U Wiesiołkowskich wycieraczka była jednak zwyczajna, gumowa. Franek też kupił podobną. Widać ani Wiesiołkowskich, ani Handów nie było w domu, gdy domokrążca z wycieraczkami sprzedawał swoje towary.

U Wiesiołkowskich był natomiast telefon, rzecz dość rzadka, jak zauważył Franek, w ich bloku. Jemu założono telefon, na polecenie majora Kukuły, dopiero niedawno, bo w listopadzie. Niedługo się nim nacieszył. Po kilku tygodniach telefony wyłączono i nie wiadomo kto i kiedy włączy je z powrotem.

Albin Wiesiołkowski, emerytowany pułkownik WP, przyjął ich w pokoju nie tyle dużym, ile większym, bo oba pokoiki w M3 były po prostu małe. Siedziało tam trzech mężczyzn, kolegów pułkownika.

— Graliśmy w brydza do czwartej — wyjaśnił Wiesiołkowski — potem się przespaliśmy...

— Gdzie?

— Służba nie drużba, panie kapitanie — jowialnie oznajmił jeden z panów. — A na służbie śpi się byle jak, aby było o co głowę oprzeć.

— Ale o co konkretnie? — nalegał kapitan.

— To niezbyt skomplikowane — powiedział Wiesiołkowski — dwóch na kanapie tutaj, a dwóch u syna.

— A syn gdzie?

— W morzu.

— Kiedy wróci?

— Za tydzień. Pracuje w Petrobalticu — dwa tygodnie w morzu, dwa na lądzie.

— Aha. Można zajrzeć do pokoju syna?

— Czemuż by nie.

— A czy ja mógłbym wrócić do swoich obowiązków, panie kapitanie? — zapytał jeden z gości. — Zaraz przygotujemy obiadzik, że paluszki lizać i zapraszamy miłych gości.

W pokoju Macieja Wiesiołkowskiego panował nieład, ostro kontrastujący z nudnym, ale schludnym wyglądem pokoju pułkownika. Pod ścianami leżały sterty papierów, książek, gazet,

zdjęć. Nad stołem ogromne zdjęcie Wałęsy z tubą w dłoni. Kapitan znał to zdjęcie. W swoim czasie, po strajkach '80, fotografia Wałęsy na Bramie Stoczni obiegała cały świat.

Kapitan pobieżnie przejrzał materiały leżące na podłodze.

— Zdaje się, panie pułkowniku — powiedział wstając — że na razie jest pan jedynym mieszkańcem tego bloku, który nie popadł w panikę na widok milicji. Wiele osób w sposób nagły pozbywało się takich rzeczy — wskazał ręką na podłogę — na widok lub informację, że jesteśmy w bloku. Zabezpieczymy to, oczywiście.

Albin Wiesiołkowski wzruszył ramionami.

— To nie moje, to syna.

Franek przyjrzał mu się ze zdumieniem. Jego własny ojciec prędzej dałby się porąbać, niż oskarżył syna o cokolwiek przed ludźmi, a zwłaszcza przed milicją. Ojciec był twardy i wcale niepobłażliwy, nawet teraz, gdy Franek już dorósł. Nie dalej jak kilka miesięcy temu wziął się ojciec do bicia, gdy przyjechał na urodziny Franka, jak raz 13 września, i zobaczył w nowym Frankowym mieszkaniu Anię żyjącą z jego synem bez ślubu. Ojciec po pas sięgnął, ten sam, który był w użyciu przez całe dzieciństwo... Chciał go obić, ale przecież nigdzie by na Franka z donosem nie poszedł, a każdego obcego tym samym pasem przepędził, gdyby coś zamierzał przeciw Frankowi... Jednak miasto się rządzi innymi prawami, co do tego nie ma dwóch zdań. Dziwna rodzina ci Wiesiołkowscy — ojciec pułkownik, syn w „Solidarności”.

Pułkownik tymczasem mówił, że nie ma z synem nie wspólnego, że syn to warchoł i bałaganiarz, a on, Albin Wiesiołkowski, zawsze był, jest i będzie za porządkiem, praworządnością i spokojem. Trzeba ukręcić łeb anarchii, mówił, i dobrze się stało, że ktoś się wreszcie za to wziął i zamierza zaprowadzić ład i on, pułkownik, pochwała, wszystko pochwała.

Przywołany przez kapitana pojawił się znowu młodzik z ekipy i zaczął spisywać protokół zabezpieczenia dowodów.

— Jak tam na górze — spytał kapitan — jest coś?

— Pojedyncze sztuki, nie specjalnego, głównie książki.

— I długo tam jeszcze zabawicie?

— No jeszcze. Ci Łakomni mają dużo rzeczy, gazet, zabawek, papierów, jest sporo roboty.

— Bywa — mruknął kapitan, a młodzik zostawił kopię protokołu, załadował papiery Wiesiołkowskiego do kartonu, zaśladował i wyszedł.

Kapitan wrócił do dużego pokoju. Żaden z panów nie znał

dziewczyny i nikt nie zwrócił uwagi na jakieś specjalne zdarzenia, które zakłóciłyby spokojny tok nocy sylwestrowej?

— Oczywiście, przed północą było wiele świeczek w oknach; jeśli to ma znaczenie — doniósł pułkownik — mam tu narysowane, w których.

Wyjął kartkę, na której starannie wyrysował widoczne z jego okien bloki, w miejscach inkryminowanych widniały krzyżyki. Kapitan wziął kartkę i bez słowa schował ją do notesu.

— No i ta piosenka — powiedział Wiesiołkowski — kto to ją śpiewa, Władek, przypomnij mi, jak się ten cyrkowiec nazywa?

— Aaa... Jan Pietrzak — powiedział Władek, który na chwilę wyszedł z kuchni i wciąż jeszcze miał na sobie duży pasiasty fartuch. — Pietrzak. Pan kapitan wie, ta piosenka: „Żeby Polska była Polską”. Całkiem głośno było słychać.

— A z którego mieszkania? — spytał Janiak.

— Trudno powiedzieć, gdzie w okolicy na pewno. Magnefon stał na balkonie i głos dobrze niósł.

Pożegnali się. Tylko Władek był niepokieszony.

— Naprawdę idziecie już? A obiad?

— Może byśmy jednak zjedli obiad — zaproponował Frank na korytarzu. — Serdecznie zapraszam. Żona obiecała na pierwszą coś przygotować.

Nagle całe znużenie poprzedniego dnia, nieprzespanej nocy i dzisiejszych wrażeń spłynęło na Franka z przemożną siłą.

Janiak, który spał smacznie całą noc sylwestrową, lekceważąc obyczaj i tradycję, miał jednak inne zdanie.

— Idźcie, skoro jesteście zmęczeni — powiedział — my z kapitanem nie będziemy przerywać pracy. Nie ma czasu na zabawy.

O dziwo jednak, kapitan przystał na propozycję Franka. Pojechali na dół i Kołacz z lubością zasiadł w fotelu. Stół był już nakryty. Janiak sztywno zajął miejsce na kanapie, wyraźnie zdecydowany nie poddawać się nastrojowi odpoczynku.

— Trzeba przyspieszyć tok działań — oznajmił. — W tym tempie do jutra nie skończymy.

Ania podała obiad.

— Zapewne nie. Dziękujemy bardzo — zwrócił się do Ani.

Kobieta, która otworzyła drzwi mieszkania 34, była apetyczną blondynką. Leciutko pachniała koniakiem, ale naprawdę leciutko.

— Celina Bininowicz — przeczytał kapitan półgłosem, przeglądając dowód. — Zawód?

— Lekarz.

Kapitan spojrział czujnie. Narkotyki często pochodziły od lekarzy, którzy bezmyślnie wystawiali recepty, pozwalali się okradać albo zostawiali bloczki recepturowe w miejscach łatwo dostępnych.

Gestem wskazała im drzwi dużego pokoju, a sama zniknęła w małym, wyraźnie dziecięcym. W dużym pokoju siedział przystojny, szerokokościsty blondyn.

— Pan Bininowicz? — spytał kapitan.

— Nie, znajomy.

— A gdzie jest pan Bininowicz?

— Za granicą — odpowiedziała Bininowiczowa, wchodząc do pokoju.

— Co mąż robi za granicą? — spytał Janiak.

— Pływa.

— Na jakim statku?

— O co chodzi — zdenerwowała się nagle Bininowiczowa — pływać nie wolno?

— Wolno. Pytam na jakim statku.

— „Thessaya”. To grecki statek.

— Kontrakt przez Polserwis?

— Nie — westchnęła Bininowiczowa — kontrakt przez armatora.

Kapitan wziął dowód mężczyzny.

— Adam Łaput, lekarz, znajomy z pracy, tak? Pan tu nocował?

Adam Łaput spojrział niepewnie na panią domu.

— Tak — powiedziała obojętnie — a bo co?

Dejman, pomyślał Kołacz. Senny koszmar nieobecnych mężów.

Dolary, dolary na mieszkanie, na tapety, na dzieci i żonę, i dolary na dejmana żony, na koniaczek, sardynki dla dejmana, a może nawet na spodnie i sweter dla dejmana, spojrział taksującym wzrokiem na elegancki pewexowski sweter w szaro-białą kratę.

Przez chwilę rozmawiali o dziewczynie ze zsyphu. Bininowiczowa i Łaput wykazali zawodowe zainteresowanie sprawą, podyskutowali o narkotykach i ich skutkach w połączeniu z relanium bądź alkoholem, o szybkości śmierci przez zamarznięcie i o innych fachowych szczegółach. Niestety, nie mogli w niczym

pomóc. Dziewczyny nie znają. Nic nie słyszeli. Spać położyli się wcześniej.

Wizyta była krótka i Bininowiczowa wyraźnie nie wyglądała na przejętą faktem, że została nieomal przyłapaną *in flagranti* przez przedstawicieli władzy.

— To śmieszne — powiedziała do Łaputa, gdy ekipa dochodzeniowa wyszła — nie mam się czego bać, a jednak na ich widok ogarnia mnie lęk. A może nie śmieszne, tylko tragiczne, jak sądzisz?

Adam Łaput milczał.

— Nie denerwuj się — powiedziała — stary się o niczym nie dowie.

Adam jednak siedział zgaszony i nieruchomy. Nie obchodziło go wcale, czy stary Celiny dowie się o jej zdradzie, czy nie; była to sprawa samej Celiny. Dawno minęły czasy, gdy zdradzony mąż dla ratowania honoru zabijał w afekcie żonę, kochankę i siebie. Nie minęły natomiast jeszcze czasy, w których lekarz musi, we własnym sumieniu, dokonywać wyboru. Wyboru między prawem a litością, wyboru między sumieniem lekarza a sumieniem człowieka. Trzy lata temu Adam Łaput pomógł młodej matce zabić dziecko-potworka. Miało wielką głowę i wielki, rozdęty, owłosiony kadłubek. Być może zmarłoby samo, być może... Ale Adam Łaput widział podczas swej praktyki podobne potworki, które żyły wiele lat. Widział też takie, które lata całe pozostawały pod opieką rodziny, ponieważ nie było dla nich miejsca w zakładach zamkniętych. Widział też kiedyś kobietę, którą wraz z dzieckiem potworkiem ukamieniowali mieszkańcy jej rodzinnej wsi. Widział, bo była to również jego wieś. Było to wiele, wiele lat temu, ale Adam do dziś pamięta przeraźliwy, zwierzęcy krzyk tamtej kobiety.

Adam Łaput nie wahał się więc, gdy młoda i przerażona, zapłakana matka poprosiła go o pomoc, ale wiedział też, że do końca życia na widok milicji będzie mu się robiło niewyraźnie. Kiedyś przecież może się zdarzyć, że przyjdą po niego. Po niego i po jego ciężar.

Bininowiczowa nalała w dwa kieliszki po odrobinie koniaku.

— Hej, Adaś — powiedziała. — Nie martw się, no proszę.

Matylda i Stefan Kościeleccy byli starzy, chyba najstarsi w całym bloku. Starość, zdaniem Stefana Kościeleckiego, dzieli się na dwa tylko rodzaje — jest albo tchórzliwa, albo odważna.

Stefan Kościelecki wołał starość odważną, a Matylda nie miała wyboru, więc gdy na starość jej Stefek postanowił być odważny, Matylda przyjęła to z godnością. Mężczyźni są nieobliczalni, ale skoro dobry Bóg ustanowił, że mężczyzna jest panem, a kobieta poddanym, Matylda wyciągnęła z tego wniosek, że dobry Bóg weale nie żąda od ludzi zbyt dużego rozumu. Oczywiście nie było zbyt rozumne ze strony Stefka brać do domu Mateusza Żandala, ale widać i Stefek musiał mieć w życiu swoją wielką chwilę.

Mateusz Żandal uciekł. Kiedy pamiętnej nocy, trzynastego grudnia, przyszedł do niego, otworzył okno i wałąc ciupagą w patelnię zwołał pod swój dom znaczną gromadę zaciekawionych sąsiadów. Krzyczał przez okno o zamachu stanu, o śmierci demokracji, o wolnościach człowieka i obywatela, o łamaniu prawa. Tłum słuchał przejęty i groźny, bo nieświadomy niczego, i stale pewien, że wolność, prawo i demokracja są niezbywalne. Kilka godzin później wiedza tłumu odmieniła się. Zniknęło przekonanie, że abstrakcje komukolwiek należą się bezwzględnie. Zmalała też znacznie odwaga. Nim jednak do tego doszło, gliniarze, którzy przyszedli po Mateusza, wycofali się, żeby wezwać posiłki, a wtedy Mateusz zniknął. Pospiesznie zgolił brodę, na młodo łysiejącą głowę włożył perukę swojej żony Agnieszki i przez ogródek umknął do piwnicy w sąsiednim domku. Przez okienko słyszał, jak wysiada duża ekipa i rozpędza tłum. ZOMO obstawiło dom, pięciu weszło na górę, dzwonili, pukali, krzyczeli, aż wreszcie wywalili drzwi.

Agnieszka jest w ciąży. Dzielna dziewczyna, naprawdę dzielna. Kazała zniknąć Mateuszowi, sama została. Mnie nic nie zrobią, powiedziała, idź już. A kiedy się wahał, pchnęła go lekko i powiedziała: idź już wreszcie, bo cię wsadzą. Ja nie działałam, nie jestem niebezpieczna i spodziewam się dziecka. Nic mi nie zrobią.

Tak też było. Agnieszka w długiej nocnej koszuli chodziła po mieszkaniu jak zjawą, podczas gdy pięciu zomowców przeszukiwało łazienkę, ubikację i balkon w pogoni za Mateuszem. Potem usiadła na krześle i zaczęła płakać, łoży kapały na koszulę i na brzuch Agnieszki, kiedy powtarzała — nie wiem, nie wiem. Wreszcie wyszli, a Agnieszka wytarła oczy, spakowała siatkę, ubrała się i zasiadła w oknie na posterunku. Świtało już, gdy ostatnia grupa ZOMO odjechała. Agnieszka wyprowadziła na spacer psa sąsiadów, postawiła siatkę koło śmietnika i wróciła do domu. Na ulicy i podwórkach było pusto. Po dzięsiątej wstrząśnięty i nieszczęśliwy tłum ruszył do kościoła, ukrywając w ten sposób Mateusza i jego siatkę, którą zabrał



spod śmietnika. W siatce znalazł pilśniowy kapelusz dziadka, okulary Agnieszki i kurtkę teścia. Okulary i kapelusz włożył od razu na ulicy, kurtkę — pod pretekstem, że w kościele jest gorąco — zmienił w ustronnym kącie koło konfesjonau. Po skończonej mszy zrzucił swoją okryjbidę za ławkę, wyjął z siatki kurtkę teścia, klepinięciem sprawdził, że Agnieszka włożyła portfel i dokumenty do wewnętrznej kieszeni i wyszedł na plac. Chłopczyk sąsiadów bawił się z psem, rzucając mu kijek. Mateusz podniósł kijek i odszedł, opierając się na lasce, a chłopiec wrócił do domu i powiedział Agnieszce, że pana Tadeusza nie było w kościele, ale laskę zabrał jakiś pan i czy to dobrze? I tak Mateusz odjechał autobusem z Miasta na Wzgórze, gdzie mieszkała jego była dziewczyna, Joasia Antczak, po mężu Kościelecka i mąż Joasi, Jacek, odprowadził Mateusza do swoich dziadków.

W ten sposób Mateusz Żandal znalazł się u Matyldy i Stefana Kościeleckich. I w ten również sposób Stefan Kościelecki stanął w obliczu wyboru i nie wahając się, wybrał starość odważną, bo wydawało mu się to zgodne z tradycją Polaka, katolika i członka starego rodu Kościeleckich.

Mateusz Żandal był miły, rozmowny i pomocny. Wieczorami gawędził ze Stefkiem o polityce, a z Matyldą o prawnikach. W ciągu dnia zmywał, cicho słuchał radia lub pisał coś. Niekiedy przychodzili Joasia i Jacek, przynosząc siatki z jedzeniem i wiadomości z Miasta. Tak dowiedzieli się, że milicja dwukrotnie spacyfikowała Stocznnię, że aresztowano cały regionalny i krajowy komitet strajkowy, ale nie złapali ani Lisa, ani Borsuka, że broni się jeszcze Rafineria i walczą chłopcy z ZNTK. W końcu nad Miastem przeleciały eskadry helikopterów, że Wzgórze było widać dokładnie, jak krążą tam i z powrotem między Rafinerią a Stocznnią; podobno gliny wyrzuciły desant na Rafinerię i Rafineria padła, a strajkujących pobito do nieprzytomności. Matylda płakała, Stefek kłął, a Mateusz spokojnie i rozważnie tłumaczył, że niezbędną ceną musi zostać zapłacona, byśmy jako naród nie poczuli się niewolnikami, byśmy mogli żyć godnie, mieć siły do oporu i możliwości podźwignięcia się w przyszłości. Ale kiedy, kiedy Mateuszku? spytała Matylda. Nie wiem, powiedział Mateusz, może za tydzień, może na wiosnę, a może za dziesięć lat. Ale gdybyśmy się teraz poddali bez jakiegokolwiek walki, nawet tej beznadziejnej, mogłoby się zdarzyć, że „kiedys” nie nadeszłoby nigdy.

Życie płynęło więc nad podziw spokojnie. Nad podziw, bo strach nie opuszczał Matyldy ani przez chwilę. Bała się głodu,

ognia i wojny, donosiciele, milicji, wojska, tajniaków, Rosjan przebranych w polskie mundury i wszystkich plag egipskich. Bała się o Joasię i Jacka, o ich dzieci, o Mateusza, Agnieszkę i o nienarodzone jeszcze dziecko, bała się zsyłki, gułagów, kibitek, nahajek i czarnej sotni. Wszystkie strachy całej historii sprzysięgły się, by ją przerazić. Gestapowcy i czereszczajka, Hitler, Stalin, Jaruzelski, ZOMO i SS, wszystko wydawało się jej okrutną rzeczywistością dnia dzisiejszego. Życie tymczasem płynęło spokojnie. Mateusz czekał na wieści, na wiosnę, na odmianę, Stefek pławił się w szlachetnym poczuciu, że czyni dobro, a Matylda zaczęła robić Mateuszowi nową, wełnianą czapkę. Na wszelki wypadek Stefek założył łańcuch w drzwiach, a wizjer zasłonił. Powiesił też grube zasłony w oknach (Agnieszka dostarczyła materiał), no i tak się żyło — ostrożnie, uważnie, ale przecież, jak uważał Stefek, bez lęku. Starzy jesteśmy oboje, matka — mówi Stefek, co nam kto teraz robi, kiedy jesteśmy tacy starzy. Łatwo tak chłopu mówić. To się przecież wie, jak w każdą wojnę bywało, że ktoś kogoś ukrywał i była za to rozwałka. Kto wie, co mogą zrobić, mogą zastrzelić, pewnie, że mogą.

W Nowy Rok Matylda przygotowała pyszny obiad — pieróg z kapustą, grzybową i małdrzyki. Właśnie Mateusz zmywał naczynia, gdy usłyszeł dzwonek u drzwi. Mateusz umknął do siebie, gdzie miał przykazane siedzieć cichutko na kanapie za szafą, jak tylko kto przychodzi, a Matylda poszła otworzyć. Przez wizjer zobaczyła jakiegoś młodego, pewnie sąsiad — pomysłała, ale drzwi całkiem nie otwarła, tylko na łańcuch uchyliła.

— Co tam? — spytała.

— Milicja, proszę otworzyć — powiedział kapitan.

Cóż to jednak jest starość, ręce się trzęsą, łańcuch jak na złość ciężko chodzi.

— Stefek — woła Matylda. — Stefek, a chodźże, otwórz, bo ja nie mogę, pan milicja do nas.

I tak już są w środku, zaraz zabiorą wszystkich, a już na pewno Mateusza, ale co robić, już się nie poradzi, mój Boże, przyszli, to ich ani nie wygoni, ani nie ukryje niczego, nie da się odwrócić nieszczęścia, jeśli ono pisane. Stefek stary, serce u niego słabe, tury nie przeżyje. A Mateusz, a Agnieszka, a dziecko... I Matylda zaczyna pochlipywać.

— Cichaj, matka, cichaj — mówi Stefek — czegoż to beczeć przy ludziach.

— Dlaczego pani płacze? — zdziwił się kapitan.

— A bo... — i już Matylda chce powiedzieć, że jej żal i Mateusza, i Stefka, i siebie, i Agnieszki, i..., ale Stefek przerywa to jej mówienie.

— Jak to z babami — mówi pogardliwie — trzydzieści dwa lata, jak nam w Nowy Rok syn zginął od niewypału. Sakramencki Nowy Rok. A czym można służyć panom, bo my niezwyczajni takich wizyt? Może do kuchni wejść?

Wchodzą, a tam na suszarce trzy talerze płaskie, trzy głębokie, łyżki trzy i widelce. Jezus Maria! Ten jeden mundurowy, milczący, tylko oczkami wypatruje i już policzył. Och, ludzka głupota, wzdycha Stefan Kościelecki, po coś ich do kuchni prosił?

— Państwo tu we dwoje mieszkają? — pyta ten spozierliwy, patrząc w ich dowody.

— We dwoje — mówi chlapiąc Matylda.

— A ten trzeci talerz?

— Aaaa — zająkuje się Matylda.

— To na pamiątkę — wtrąca gwałtownie Stefan Kościelecki — dla niego stawiamy...

— Ach tak — mówi kapitan — my tu w innej sprawie. Czy nie znacie państwo takiej osoby?

Matylda nabożnie bierze zdjęcie do ręki, ogląda, patrzy, jakie to śliczne, kolorowe.

— Nie znam, a ty, Stefek?

— Niczego dziewczuszka, ale nie znam.

— No to dziękujemy i do widzenia — żegna się kapitan i wychodzą.

— Do widzenia panom, do widzenia — mówi Matylda.

— A co? — pyta z tryumfem Stefan Kościelecki — grunt to się nie bać!

O, bo bardzo jest dzielny, ten jej mąż, bardzo dzielny, chociaż taki strasznie stary.

Dochodziła piąta. Na dworze było już zupełnie ciemno. Zeszli na siódme piętro. Z dołu, z szóstego, dobiegł ogłuszający trzask kopniętych drzwi.

— Wesoło się bawią — mruknął Janiak — powinno się zakazać takich wrzasków.

— Wszystkiego nie można zakazać — powiedział kapitan.

Ulińscy, przeczytał Franek. B.Z. Wycieraczka gumowa, brudno-różowa. Tabliczka prosta, czarna. Szare monotonne drzwi z białymi oczkami wizjerów — dojmujący obraz nudy

i nijakości życia w blokach. Powtarzalność mebli, lamp, wycieraczek, makatek, reprodukcji. Nawet identyczny obrazek z papierem w co drugim mieszkaniu. Domokrążca ozdobił wszystkim życie w ten sam sposób.

Na szczycie schodów stanęła niska, tęga kobieta o starannie ułożonej ciemnej fryzurze. Miała podkrążone oczy, płakała, przyciskając mokrą chusteczkę do ust.

— Proszę... proszę... — wyjąkała błagalnym głosem.

Franek podszedł do niej i przytrzymał za ramię, wydawało się, że kobieta lada moment upadnie.

— Co się stało, pani Podlaska?

— Ela, proszę pana, niech mi pan powie, czy to Ela?

Przecież ja nie wiem, czy to Ela. Usiłował przypomnieć sobie Elę, odróżnić ją w pamięci od wszystkich innych dziewczyn. Irenę Podlaską znał, bo szyła Ani sukienkę ciężową. Ania dogadała się z nią w Samie. Podlaska była rozwiedziona, mieszkała na trzecim pod czternastką. Miała trzy córki, wszystkie blondynki, bardzo podobne do siebie. Franek ich nie odróżniał i nie zwracał na nie uwagi.

— Czy Ela...? — zaczął, ale przerwał mu kapitan.

— Sądzi pani, że to może być córka, tak?

Nie pytał się, skąd Podlaska wie, co się stało. W bloku, mimo pozornej dezintegracji, obecność milicji i temat ich dochodzeń nie mogły pozostać dla wszystkich tajemnicą. Oczywiście sporo ludzi nie miało o niczym pojęcia. Tych zaskakiwał, a może nawet — jak podejrzewał kapitan — przerażał nagły a niespodziewany widok milicji. Część lokatorów wiedziała jednak wystarczająco wiele, by odpowiednio się przygotować na przyjęcie władzy.

Podlaska chlipnęła i kurczowo chwyciła Franka za rękę.

— Pójdziemy do pani — zaproponował kapitan.

Zjechali na dół. W windzie Podlaska urywanym głosem tłumaczyła, że wczoraj po południu Ela pojechała z dwoma koleżkami i koleżanką na wieś, mieli dziś wrócić przed południem, a wciąż ich nie ma.

Wprowadziła ich do dużego pokoju. Kapitan notował. Nazwiska kolegów i koleżanek, wiek, samochód.

— Numeru rejestracyjnego pani nie zna?

Kobieta pokręciła głową.

— Dokąd pojechali?

— Do ośrodka w Owczarni, na imieniny Sylwestra.

Kapitan kiwnął głową. Znał Owczarnię, a jeszcze lepiej znał kierownika ośrodka, Sylwestra Wieszyńskiego. Był to człowiek

towarzyski, o dużym kręgu znajomych, a zwłaszcza kobiet i dziewcząt. Lokalna kopia czerwonych utracjuszy ze stolicy. Ostatnio musiał ograniczyć swoje hulanki. Kołacz nie wątpił jednak, że Wieszyński nadal żyje znakomicie i nie musi się martwić, czy starczy mu do pierwszego. Owczarnia nie była zwykłym ośrodkiem czasowym. Powstała dla pracowników Radiokomitetu i cieszyła się zasłużoną sławą burdelu z odskocznią na telewizyjny ekran. To wystarczyło, by imponować złotej młodzieży z Miasta i ładnym pannom, które marzyły o karierze, a kończyły w łóżku Sylwka.

— Czy pani zna solenizanta? — spytał oględnie kapitan.

— Nie.

Kapitan wyjął zdjęcie z notesu.

— Czy rozpoznaje pani tę osobę?

Zdjęcie spadło na podłogę.

— To nie Ela — wyszłochała Podlaska.

— Jest pani najzupełniej pewna, oczywiście.

— Najzupełniej. Ela... Ela jest inna... Porządna, schludna... Zawsze ładnie ubrana.

Kapitan pokiwał głową. Matki niewiele wiedzą o swych dorastających córkach.

— To dobrze — powiedział. — Proszę się nie niepokoić. Sprawdzimy, czy córka jest jeszcze w Owczarni. Panie poruczniku — zwrócił się do Janiaka — proszę skontaktować się z roгатką łostowicką, sprawdzić wypadki, zatrzymania i tak dalej.

Po wyjściu od Podlaskiej pojechali ponownie do Grisznerów. Wciąż jeszcze nikogo tam nie było, chociaż mieli wrażenie, że coś się tam w środku dzieje, jeżeliwie skrzypnęły drzwi, brzęknął odłamek szkła. Odległe, dalekie dźwięki.

— Może wyważyć — zaproponował Franek.

— Nie warto.

Weszli też do Łakomnych. Szebel kończył właśnie przeszukiwanie, wpisywał ostatnie zdania do protokołu. Jurzyca, Łakomny i Smokowski siedzieli w kuchni i pili herbatę, Anna Łakomny kładła dzieci spać. Była smutna i zapłakana i nie odpowiedziała na uprzejme dobrej wieczór kapitana.

— I co? — spytał Kołacz.

— Tyle — Szebel pokazał stertkę na stoliku — dwie, nie, trzy pozycje z *Kultury* paryskiej, kilkanaście z Nowej, sama literatura piękna, pojedyncze egzemplarze, *Punkt* nr 12, album

o Pomniku, trzy zagraniczne książki o papieżu, kilkadziesiąt numerów *Osservatore Romano* po polsku. Zatrzymam do wyjaśnienia.

Kapitan przejrzał pobieżnie listę tytułów.

— Nie warto — powiedział — i tak trzeba będzie oddać, zwracanie głowy. Typowo intelektualna kolekcja.

— Więc co? — spytał Szebel.

— Matryc, papieru, ulotek itp. nie było?

— Nie, panie kapitanie.

— No to zostawić to wszystko, przeprosić, zabierać tego młodego i koniec. A to co? — spytał, pokazując walające się po dywanie papiery, pudełka i części garderoby.

— Jak to podczas przeszukania, panie kapitanie.

— Słoiki z dżemem w kuchni też się potłukły?

— Nie, panie kapitanie, nie otwieraliśmy. Nie było rozkazu.

— No dobra, kończymy.

Ekipa Szebla zjechała windą, kapitan i Franek zeszli piechotą na szóste piętro, paląc po drodze papierosy.

— Piękny widok — powiedział kapitan, spoglądając przez okno.

Gdzieś daleko po ulicach miasta jechała kolumna czołgów, ale z góry, z Osiedla, nie było jej widać. Pasma czerwonych świateł wieńczących dźwigi było martwe i nieruchome. Przez poprzednie półtora roku o podjęciu strajku i zaprzestaniu pracy na Stoczni decydowała „Solidarność”. Teraz Stocznia stała na rozkaz generała z Gdańska, a może z Warszawy, a może jeszcze skądś. Za jeden dzień pracy Stoczni można podobno wybudować w pełni wyposażony szpital, oburzała się w tzw. czasach „Solidarności” oficjalna prasa. Szpital na osiedlu na Wydmie budowano już pięć lat i nie nie wróżyło rychłego zakończenia inwestycji. A Stocznia stała już trzeci tydzień...

Elżbieta Smętowicz powiedziała o dziewczynie ze zsypu, że przypomina elfa. Frankowi podobał się ten wyraz, chociaż go nie rozumiał. Piękna jak elf, pomyślał, gdy tak stali obok siebie z kapitanem i patrzyli na odległe Miasto. Nie wiedział wprawdzie kim były elfy, miał jednak niejasne wrażenie, że są to istoty z bajki, tak mało jednak słyszał w życiu bajek. W opowieściach babci Marii nie było elfów. A może ich nie pamiętał...

— W jakich bajkach występują elfy? — spytał teraz kapita-  
tana.

— W baśniach Andersena, jak mi się zdaje.

Ponownie stanęli przed drzwiami Ulińskich. Otworzyła błada i mizerna dziewczyna o kasztanowych włosach. Patrzyła na nich z jawnym przerażeniem, półotwarte usta z trudem łąpały powietrze, szare oczy, rozszerzone, niemal okrągłe, wpatrywały się ni to błagalnie, ni to rozpaczliwie. Kapitan miał wrażenie, że dziewczyna w ogóle ich nie widzi.

— Pani Ulińska?

— Tak — powiedziała i głośno przełknęła ślinę. — To znaczy... nie... nie, ja...

— Pani jest sama w domu? — spytał kapitan, przyglądając się jej uważnie.

— Tak... nie, jest mąż. I dziecko. Spią.

— Proszę obudzić męża. I dowód pani poproszę.

— Dowód? Ach, dowód, tak, naturalnie, już.

Nieporadnie sięgnęła po torebkę wiszącą na prostym metalowym wieszaku. W porównaniu ze starannym wyposażeniem wielu mieszkań, w których przedtem byli, u Ulińskich było pusto i niemal nędznie. Z wieszaka posypały się płaszcze, kurtki, czapki. Dziewczyna z trudem wygrzebała torebkę i podała dowód.

— Iwona Nagyel — przeczytał kapitan — z domu Petrys. Pani się nie nazywa Ulińska.

Przerażenie dziewczyny sięgnęło szczytu. Stała przed nimi, kurczowo ściskając torebkę, a wargi jej drżały, jak małemu dziecku. Kapitan dalej studiował dowód. Urodzona w roku 1963, dziewiętnaście lat. Zameldowana w Spławiu nad Wartą.

— Może pani obudzi męża — powiedział kapitan, oddając jej dowód.

Franek w tym czasie podnosił i odkładał porozrzucaną garderobę.

— Tak — szepnęła dziewczyna — tak, zaraz, tak.

Wydawało się, że nie umie ani jednego zdania powiedzieć poprawnie i że wszystko, co mówi, rozpada się na szereg oderwanych, nieskładnych wyrazów.

— Czy pani jest chora? — zapytał nagle kapitan.

— Nie, nie, nic mi nie jest, nie.

— Wejdzimy do kuchni — powiedział kapitan.

W kuchni wisały pieluszki. Pod ścianą stał stary kredens,

stół pokryty zniszczoną ceratą i dwa białe, łuszczące się taborety. Kapitan zajrzał do garnka stojącego na kuchence.

Makaron i nic więcej. Meble pozbierane po ludziach. Podniósł butelkę stojącą na stole. — Alusal, środek na bóle żołądka. To na pewno dla niej, typowy okaz nerwicowca.

Imre Nagyel był wysoki, czarnowłosy, śniady i przystojny, ale podobnie jak żona, chudy i znużony. Kapitan wziął od niego dowód osobisty.

— Pan jest Węgrem? Co pana tu przyniosło?

— Ona — Imre wskazał na żonę. Mówił dość dobrze po polsku; gdy nie potrafił dobrać słowa, żona podpowiadała mu cichym, niepewnym głosem. Był robotnikiem w Pescie i półtora roku temu przyjechał na wczasy wymienne do Kurortu. W kawiarni „Taras” poznał Iwonę, która pracowała tam jako pomoc kuchenna. Iwona miała siedemnaście lat wówczas. Rozmawiali trochę po rosyjsku, trochę na migi. Gdy zaczęły się strajki, Imre akurat wyjeżdżał. W październiku napisała, że jest w ciąży.

— Nie chciał pan zabrać żony do siebie?

— Kiedy indziej może tak, ale u was było inaczej, ciekawy byłam.

Imre przyjechał do Polski, wystąpili dla niego o obywatelstwo. Pracował w Stoczni, uczył się polskiego. Iwona póki mogła pracowała nadal w „Tarasie”. Wynajmowali pokój w Nowym Porcie za niedrogie pieniądze. Był jednak ciemny i wilgotny, z ubikacją na półpiętrze. Dziecko przyszło na świat w marcu zeszłego roku. Było trochę za wczesne, wątłe i chorowite. Zaczęli szukać jakiegoś lokum. Iwona i synek chorowali, Imre nie chciał już mieszkać w Nowym Porcie. Przez znajomych wynajęli mieszkanie od państwa Ulińskich.

— Płatne z góry, tak? — spytał kapitan.

— Pięć tysięcy miesięcznie — powiedział Imre — za cały rok. Początkowo Ulińska chciała w dolarach, bo ja jestem cudzoziemiec, ale dała się ubłagać. Ja jestem z biednej rodziny. Iwona też, nie mieliśmy nawet złotych. Trzeba było przecież kupić dla dziecka. Wyprzedaliśmy rzeczy, pożyczaliśmy, trochę niestety na procent.

Po odjęciu spłat pożyczek, na życie wychodziło im dwa tysiące dwieście, a jeszcze dochodziły świadczenia i raty na książeczkę mieszkaniową. Na rodzinę nie mogli liczyć, a gdy ktoś w pracy poradził Imremu, żeby poszedł po pomoc do kościoła, Imre z oburzeniem odpalił, że na żebry chodzić nie będzie. W końcu dobrze zarabia, prawie osiem tysięcy i trzynastka, biedny



nie jest, niech kościół pomaga tym, którzy są naprawdę w nędzy. Ale oni też byli biedni, po prostu i zwyczajnie biedni, nie wykupywali swoich kartek, sprzedawali je na hali. Imre niekiedy wynosił ze Stoczni a to śruby, a to mutry, a to panewki, tyle się tego walało wszędzie, nikt o to nie dbał, nikt nie pilnował, a tak czasem coś sprzedawał i skapnęło trochę grosza.

W sąsiednim pokoju zaczęło płakać dziecko. Iwona wstała, a po chwili wróciła do kuchni z ładnym, ciemnowłosym chłopczykiem na ręku. Dzieciak był blady i mizerny jak ona, ale wesoły.

— Pan — powiedziało dziecko. — I pan.

— Jak ma na imię? — spytał Franek.

— Lech — odpowiedział Imre. — Lech August Nagyel.

— Wyrzuci nas pan stąd? — spytała dziewczyna. — Mój Boże, po co ja panu utworzyłam. Ja nigdy nikomu nie otwieram, a otworzyłam, bo pan milicjant. Przestraszyłam się.

— Jak by trzeba było, to byśmy weszli nawet przez zamknięte drzwi — powiedział kapitan. — Ale niech się pani nie niepokoi. Nie będę was stąd wyrzucać. To nie moja sprawa.

Kapitan zadał rutynowe pytania i otrzymał równie rutynową odpowiedź — ani Imre, ani Iwona nie znali dziewczyny, a w nocy nie słyszeli nic, co by można uznać za ważne.

Przed drzwiami Sabitowiczów czekał na nich Janiak. Kapitan podał mu nazwisko Ulińskich i krótko zreferował sprawę. A nie mówiąc, pomyślał Janiak, z tego całego dochodzenia nie wynika, ale to, czego się można przy okazji dowiedzieć o ludziach i ich sprawach, to jest dopiero prawdziwy i sensowny efekt.

— Ja chyba znam to nazwisko — powiedział nagle Franek.

— Jakie? — spytali równocześnie Janiak i Kołacz.

— Ulińscy. Zygmunt Uliński, gdzie ja je spotkałem, gdzieś służbowo, zaraz, już wiem. To jest dyrektor ekonomiczny BZMPBR-u.

— Sprawdzimy — powiedział Janiak. Ha, dyrektor ekonomiczny, może okazać się całkiem sporą rybką, ale może też być nikim, nigdy nie wiadomo, jakiego człowieka wyniosła na górkę karuzela stanowisk, zwłaszcza ostatnio namnożyło się rozmaitych niepewnych ludzi na eksponowanych stanowiskach. Dobrze jest wiedzieć o nich coś, czego nie lubią ujawniać. W odpowiednim czasie drobna z pozoru sprawa drugiego miesz-

kania, odnajmowanego za pieniądze, może się przyczynić do potężnych wstrząsów.

Za drzwiami Sabitowiczów czekał pies. Słysząc też było głośne dziecięce wrzaski. Długo trwało, zanim nikły głos dzwonka przedarł się przez domowe hałasy i dotarł do uszu pana domu. Dzieci było czworo, wszystkie wyległy do przedpokoju zobaczyć jak Ramina, ogromna czarna dożyca, rzuca się na dzielną polską milicję. Sabitowicz przy pomocy smyczy i ryku doprowadził do porządku całe towarzystwo. Pies zamknięty w salonie, gdzie dziko wył, dzieci odesłano do małego pokoju. W średnim, jak się okazało, spała babcia, kompletnie głucha starszuszka, której po krótkiej naradzie postanowiono nie budzić. Dla potrzeby ekipy dochodzeniowej pozostawała kuchnia, ewentualnie łazienka. Wszędzie hałas był nie do zniesienia.

— Dzieci — powiedział tonem usprawiedliwienia Sabitowicz.

Kapitan słuchał tego z zadumą. Dzieci. Dzieci było ostatnio naprawdę dużo. Efekt propagandy sukcesu. Na dole, w Mieście, nie było tego widać, ale nowe osiedla kipiały wprost od dziecięcego żywiołu. Nawet dotkliwy kryzys ostatnich lat nie wpłynął na zmniejszenie ilości progenitury. W ten sposób naród walczy o biologiczne przetrwanie, oznajmił na szkoleniu o stosunkach społecznych docent z Uniwersytetu. Podobnie było podczas ostatniej wojny, gdy mimo terroru, obozów i głodu, mimo krwawych bitew, świat wyszedł z wojny ludniejszy niż wtedy, gdy ją zaczynał. Wobec wojny kryzys wydawał się błahostką, dzieci rodziły się nadal. Demografowie i spece od inżynierii społecznej zacierali ręce na widok wspaniale rosnących statystyk, płakali tylko ci, którzy na bieżąco byli odpowiedzialni za nakarmienie, przyodzianie i wyedukowanie tej ogromnej masy przychówku. Kapitan sądził, że również tajni fachowcy, zajmujący się analizą i przewidywaniem ruchów społecznych w kraju, nie są zadowoleni z tej ilości dzieci. W dobie kryzysu, gdy co pewien czas głośzono hasła o celowym wyniszczaniu narodu, rodzice niedożywionych i niedoubranych dzieci byli groźną siłą. Biologiczny instynkt zapewnienia potomstwu życia i przetrwania był kryminogenny, prowadził do egoizmu społecznego, a w efekcie — niezaspokojony — stawał się również potencjalnym źródłem rozruchów, buntów i protestów.

Sabitowicze ze swoją czwórką dzieci byli więc z gruntu podejrzani, gdyż albo żyli w dostatku, który przy tak licznej

rodzynie nie mógł być żadną miarą legalny, albo w biedzie, która w każdej chwili może ich sprowokować do protestu. Kończąc nie wątpił, że porucznik Janiak już zapisuje sobie w pamięci, że trzeba Sabitowiczów wziąć pod lupę. Wiedział też, że mimo wszystko Sabitowicze okażą się mniej podejrzani, a zarazem łatwiejsi do sterowania, jeśli żyją w dostatku. Bo raz, że na pewno można na nich znaleźć bez trudu tego przysłowiowego „haka”, a dwa, że ci, którzy coś posiadają, najczęściej nie są skłonni do buntów.

Sabitowicze żyli w dostatku. Mieszkanie mieli wprawdzie stanowczo za małe na swoje potrzeby i wyposażone bardzo skromnie, ale na osiedlu Modrzewiowym budowali dom, a mieszkanie na Wzgórzu było tylko punktem przesiadkowym na ruchliwej trasie do celu. Zarówno dzieci, jak i pies były już na miarę przyszłości. Na razie, w czasie teraźniejszym, trochę oczywiście przeszkadzały, ale nikt nie uskarża się zbyt na brak komfortu w poczekalni. W planach Zbigniewa Sabitowicza M4 na Wzgórzu miało się w niedalekiej przyszłości zamienić na skrzynkę do robienia pieniędzy, najlepiej zagranicznych. Obecna sytuacja popsuła wprawdzie szyki, ale Sabitowicz nie wątpił, że powoli wszystko wróci w wygodne koleiny, pozwalające, by biznes rozwijał się bez przeszkód. Bo Sabitowicz był urodzonym biznesmenem. Na Zachodzie stałby się z całą pewnością jednym z tych legendarnych młodych ludzi, którzy zaczynają jako czyścibuty, a kończą jako właściciele ogromnych koncertów. W Polsce, gdzie wszystko jest zaledwie średnie, Sabitowicz nie mógł nawet w pełni poznać swoich możliwości, był jednak kapitalistą, co się zowie. Zaczynał od mizernej schedy po ojcu, głupich kilkunastu tysięcy, które ulokował w jednej z pierwszych w Mieście prywatnych taksówek. Niezły dochód, jaki przyniosła taksówka, wystarczył na współnictwo w niewielkim straganie z gumą do żucia i cukierkami; następne pieniądze ulokowane zostały w przemyśle marynarskim oraz zakładzie krawieckim produkującym polskie Lewisy. Pieniądze, które z tych rozlicznych interesów płynęły, wystarczały na wszystko, na kochankę również.

Sabitowicz wydawał jednak te pieniądze z umiarem i bez ostentacji. Samochód zarejestrowany został na brata w zamian za pieniądze na wkład mieszkaniowy. Dewizą Sabitowicza było — nie za darmo, nawet wśród najbliższych — i Sabitowicz nigdy się nie zawiódł na swoim credo. Oficjalnie nowy dom budowała babcia, wdowa po przedwojennym urzędniku państwowym. Pies, dzieci i mieszkanie należały do Sabitowicza. Tyle —

po piętnastu latach — mógł z czystym sumieniem zdobyć własną ciężką pracą zdolny technik-introligator.

Zbigniew Sabitowicz nie bał się glin. Był czysty, jak łąza, miał świetną opinię w swoim zakładzie i standard życia zgodny z legalnym dochodem. Polityka go nie interesowała. Wiedział, że na interesach noga mu się nie powinie, ale za politykę wpaść bardzo łatwo, a zysku z tego nie ma.

Alina Sabitowicz również nie bała się glin, głównie dlatego, że nie miała pojęcia, co właściwie robi jej mąż. Miała czworo dzieci, psa i starą matkę do obrządzenia, to chyba wystarczy. No i oczywiście oboje nie znają tej dziewczyny, w nocy nic nie słyszeli, zresztą pozwolili dzieciom szaleć, więc po prostu nie byli w stanie usłyszeć niczego.

W M3 nr 31 na siódmym piętrze też było głośno i wesoło. Zza drzwi dobiegały donośne męskie głosy, piskliwy śmiech dzieci i wysoki kobiecy okrzyk — kto chce kawusi?

Przez chwilę stali na sznurkowej wycieracze, przysłuchując się odgłosom życia, których nie zakłóciła jeszcze wizyta milicji. U państwa Leduń było wesoło dla samej wesołości. Nie na pokaz, ale też nie do ukrycia. W stosunku do tego śmiechu, chichotu i radosnych okrzyków, dominujące ostatnio przygnębienie zdawało się jeszcze smutniejsze.

Porucznik Janiak zdecydowanym ruchem nacisnął dzwonek. Nikt jednak nie otwierał. Porucznik nacisnął jeszcze raz, i jeszcze, a potem walnął pięścią w drzwi.

— Kto tam do cholery?

— Cicho, Mietek — powiedziała osoba, do której ktoś zawołał Genucha. Rozległ się szurgot odsuwanych krzesel, jakieś dziecko pisnęło przeraźliwie.

Janiak ponownie walnął w drzwi.

— Kto tam? — spytała Genucha.

— Milicja.

— Kto? — wrzasnął z pokoju Mietek.

— Milicja! — odkrzyknęła Genucha.

W mieszkaniu zapanowała cisza.

— Nie otwieraj, Genucha — ryknął Mietek — czekaj, ja już idę. Będzie cicho, panie władzo — zapewnił przez łańcuch — tak cichutko, jak makiem posiał. Ot, imieninki i trochę za dużo hałasiku, ja wiem.

Głos był niepewny, schrypnięty, ale przymilny. Kapitan skrzywił się z niesmakiem. Nie pierwszy raz widział tych buń-

czucznych władców na zagrodzie, którzy na sam widok munduru stawali się mali i płacy. Wsiowe chamstwo... Janiak poczuł się od razu w swoim żywiole. Wieloletnia praktyka dzielnicowego przyzwyczaiła go do miazdzącej siły munduru, do groźby, którą kryje i do przewagi, jaką z punktu zapewnia. Lęk i przymilność wobec władzy były naturalną reakcją małych ludzkich płotek, z którymi zazwyczaj miał do czynienia. Wiedział, że słodycz zamieni się za chwilę w gniew i agresję, które trzeba będzie ukrócić.

— Otwierać — powiedział.

— Ale po co, słodziutki? My już cichutko, jak myszki pod miotłą.

— Otwierać.

Człowiek w szparze wyprostował się nagle.

— Po co? — zapytał twardo.

— Otwierać — powtórzył Janiak po raz trzeci. Z pijakami nie należy dyskutować ani tłumaczyć im niczego.

— Nakaz — wychrypiał Mietek — nakaz jest? Jak nie ma nakazu, nie wpuszczę.

— Musimy porozmawiać — wtrącił spokojnie kapitan.

— Porozmawiać możemy tak, jak teraz. No — powiedział zaczepnie — o co chodzi? Nie o hałasy, tak? To o co?

Głos był twardy, zniknęły gdzieś zdrobnienia.

— Byłoby jednak lepiej... — zaczął kapitan, ale Janiak przerwał mu bezpardonowo. Ten kapitan to mięczak, co on właściwie robi w milicji? Inteligencik.

— Teraz jest stan wojenny — oznajmił Janiak. — Została zniesiona nienaruszalność mieszkań. (Została wprawdzie tylko zawieszona, ale cóż to ma za znaczenie.) Albo obywatel otworzy, albo aresztujemy wszystkich obecnych pod zarzutem stawiania oporu władzy.

Janiak patrzył w szparę z tryumfem.

Twardziel, pomyślał Franek. No, otwieraj gnojku, zachęcał w duszy Ledunia. Podobnie jak Janiak lubił moment, w którym siła zwyciężała, czuł się wtedy lepszy.

— Odpierdol się — rzucił nagle Leduń i zatrzaskał drzwi.

— Jezus Maria, Mietek — usłyszeli rozpaczliwy głos Genuchy.

— Mogą mi naskoczyć — odburknął Leduń.

— Panie młodzik — powiedział Janiak — bierzemy się do roboty.

Franek posłusznie stanął obok Janiaka naprzeciw cienkich

drzwi mieszkania Leduniów. Jedno dobre uderzenie bykiem, no dwa i drzwi pójdą razem z framugą.

— Raz... — Janiak zaczął odliczanie.

— Nie — powiedział kapitan. — Sądzę, panie poruczniku, że nie należy stosować siły tam, gdzie nie jest ona koniecznie potrzebna. Nie zezwalam na forsowanie żadnego mieszkania siłą. Jesteśmy ekipą dochodzeniową, naszym zadaniem jest ustalenie tożsamości denatki, prawdopodobnych okoliczności zejścia i ewentualnych winnych. Narzucanie przemocy ludziom, których współpracę powinniśmy pozyskać, uważam za bezcelowe.

— Z nimi tylko tak można — wycodził dzielnicy przez zęby. — Po dobroci się nie da. No, panie młodszy... — Franek spojrzał niepewnie.

— Zabraniam — powiedział Kołacz. — To rozkaz.

Janiak wyprostował się.

— Tak jest.

Jeszcze się policzymy, maminsynku z łysą pałą, pomyślał ze złością.

Solenizant, być może na skutek namów małżonki, otworzył nagle drzwi, ale wyraźnie nie wyglądał na zachwyconego.

— Czego? — powiedział opryskliwie.

Wbrew dotychczasowym zwyczajom kapitan postanowił najpierw wyjaśnić przyczyny wizyty, a dopiero potem sprawdzić dokumenty. Leduniowa wprowadziła ich do pokoju. Było tam nieprawdopodobnie ciasno. Kilkoro ludzi w średnim wieku usiłowało poruszać się pomiędzy meblami. Jeden z panów podawał futro swej towarzysze, druga kobieta wkładała żółte botki małej, sennej dziewczynce.

— Imieniny — powiedziała Leduniowa.

Leduń oparty o drzwi patrzył ponuro na całe zgromadzenie. Źle się zaczął ten Nowy Rok, źle od samego początku, najpierw kłótnia z Genuchą, zupełnie niepotrzebna; żadna kłótnia nie jest potrzebna, a zwłaszcza o pieniądze. Jasne, że pieniędzy jest mało, że za chwilę, jak wprowadzą podwyżki, będzie jeszcze gorzej, i jak długo właściwie i on, i Genucha, i dzieciaki mają się żywić mielonymi z dużą ilością bułki i kaszanką. Jest to okropne i on, być może, faktycznie jest dupa, a nie chłop, ale imieniny ma w końcu tylko raz na rok, i żeby żałować tych paru złotych i gości nie przyjąć jak należy, tego — jak świat światem — jeszcze nie było i po jego trupie nie będzie. Pożarli się z Genuchą w środku nocy, bo Genucha jeszcze doprawiała

sałatkę, trzasnęła drzwiami i poszedł w cholere. Zimno było jak diabli, pusto; mimo że Sylwester, ponuro. Dobrze, że choć gdzieś świeczki się w oknach paliły, to przynajmniej był jakiś znak życia. No i na swoje nieszczęście widział tę dziewczynę ze zdjęcia, widział ją tak żywą, jak sam jest żywy. Sądził, że się spiła, szła nie po ulicy, tylko brnęła przez wysoki śnieg w rozpiętym futrze i w czymś różowym pod spodem. Spotkał ją na granicy lasu, przy ulicy wiodącej z dołu, ze Zbocza. Na jej widok zawrócił i poszedł z powrotem do domu, pojechał windą na górę, wypił z Genuchą kielicha na północ, na lepsze szczęście w ten pieski Nowy Rok, pogodzili się, poszli spać. A dziewczyna pewnie poszła za nim i jak on zasypiał w swoim łóżku, ona, biduła zmarznięta, poszukiwała schronienia w zsypie i zamrzła. Cholerny świat — i teraz powiedziec gliniarzom, żeby go później po sądach ciągnęli, kazali świadczyć, po co to wszystko. A nie powiedziec — też źle. Ale w końcu, jakie to ma dla nieboszczki znaczenie czy on powie, czy nie, że ją widział? I jakie to ma znaczenie dla całego śledztwa? Później tylko zwalniać się z pracy trzeba, szef krzywo patrzy na wezwanie z milicji i sądu, wszyscy teraz bardziej podejrzliwi niż dawniej; na wezwaniach od groma upomnień, że obowiązkowo, bo kara, pieniądze, areszt, diabli wiedzą co.

— A pan nie widział denatki? — spytał kapitan.

— Nie — powiedział Leduń — nie widziałem.

Tylko w nielicznych mieszkaniach zauważono odjazd milicyjnej nyski, odwożącej Smokowskiego do Komendy, więc za ledwie kilka osób odetchnęło z ulgą, sądząc, że wyprowadzenie winnego zamknęło sprawę. Anna Łakomny odeszła od okna i siadła na kanapie.

— I co teraz? — zapytała, ale jej mąż też nie miał odpowiedzi.

Na dworze było już zupełnie ciemno, z rzadka stojące latarnie nie rozpraszały gęstego mroku noworocznego wieczoru. Mróz, w dzień nieco lżejszy, teraz stężał znowu do dziesięciu stopni. Na uliczkach osiedla nie było nikogo, przemknął jedynie wychudzony pies, ciągnąc za sobą długi, pobrzękujący na grudach łańcuch. Dotarł do bloku, w którym umarła dziewczyna, zatrzymał się przy zsypie, aż nagle zawył rozpaczliwie.

— Straszliwa Hekate stąpa ulicami, a na jej widok psy

wyją i w ludziach mdleją serca — wyrecytował zamiast powitania wysoki, siwy mężczyzna. Nikt nie zrozumiał jego słów, kapitan również, ale kapitana to nie zdziwiło. Romuald Maria Malinowski był pisarzem. Tworzył dzieła hermetycznie zamknięte, aluzyjne i pełne niedomówień, ale zdarzyło mu się też wiele lat temu spędzić z braku pieniędzy niezbyt udany kryminał. Romuald Maria Malinowski zdążył posiwieć, zapuścić wąsa i nieco przytyć, ale kapitan poznał go natychmiast. Takich oryginałów nie spotyka się co dzień.

— Awansował pan, jak widzę — powiedział pisarz, pozwalwszy sobie przedtem na chwilę istotnego milczenia.

— Pan też, jak mi się wydaje — odparł kapitan.

— I czym mogę służyć? — spytał Romuald Maria. — Czasy się wprawdzie zmieniły, może to w znacznym stopniu utrudniło kontakt, ale ja nigdy nie zapominam o długach wdzięczności.

Kapitan pomyślał, że pisarz może mieć na myśli zarówno konsultacje, jakich mu w swoim czasie udzielił, a które miały tehać nieco autentyzmu w nieudaną powieść kryminalną, jak i zdarzenie sprzed kilku lat, gdy drogówka odebrała Malinowskiemu prawo jazdy za prowadzenie samochodu w stanie całkowitego upojenia alkoholowego i kapitan, wtedy jeszcze porucznik, odzyskał je ku obopólnemu zadowoleniu.

Pisarz wprowadził ich do dużego pokoju. Pod oknem stało wielkie biurko pełne papierów, książek i pudełek, spomiędzy których szczyrzyła zęby stara maszyna Continental. Janiak zerknął na nią podejrzliwie. Maszyna do pisania w prywatnych rękach, używana do czegokolwiek innego niż spisywanie protokołów i sprawozdań, wydawała mu się zawsze naganna. Kapitan zauważył to spojrzenie.

— Nasz gospodarz jest pisarzem — wyjaśnił.

Janiak wzruszył ramionami. Jego zdaniem pisarze byli równie podejrzani, jak maszyny i fakt, że ktoś był pisarzem, niczego nie usprawiedliwiał. Wręcz przeciwnie — ostrzegał w dwójnasób i wymagał wzmoczonej czujności. Przyjacielskie stosunki kapitana i obywatela Malinowskiego, pisarza, zasługiwały na bliższe skontrolowanie.

Kapitan domyślał się rozterek porucznika, nie zamierzał jednak rozpraszać żadnych wątpliwości. Przeczuiwał, że dzielnicowy skrzętnie notuje w myślach wszystkie minusy zachowania przełożonego. Parę informacji o Malinowskim na pewno uśmierzyłoby niepokoje Janiaka, kapitan jednak na razie zachowywał je dla siebie. Już widział skonsternowaną minę Janiaka, gdy dowie się, że przygotowywany w skrytości donos dotyczy



osoby tak zasłużonej dla władz, jak Romuald M. Malinowski, członek ORMÓ, czołowy felietonista organu KW PZPR, laureat licznych nagród wojewódzkich i krajowych. Gdy 14 grudnia ukazała się w kioskach pierwsza gazeta stanu wojennego, powszechnie zwana przez lud klepsydrą z powodu jednolicie czarno-białego kolorytu, właśnie Malinowski napisał tekst pierwszego komentarza społecznego. Przybrał wtedy pseudonim Marek Wigurski, dbając o poczytność swych książek, podobnie jak wiele lat temu, wydając kryminał, ukrył się — zgodnie z obowiązującą wówczas modą — za niejaką Mary Ashton. Kapitan wiedział też, że o ile przybranie pseudonimu w dziele literackim nie wadziło, o tyle użycie pseudonimu prasowego było obecnie kwestią drażliwą. Władze niewątpliwie wołałyby autentyczne nazwisko, musiały jednak ustąpić wobec nieugiętej postawy pisarza. Moje pióro jest do waszej dyspozycji, miał powiedzieć Malinowski, ale moje nazwisko należy do czytelników, a ci mogą tego nie pochwalać. Dziesiątki listów z inwektywami oraz przypadki masowego odnoszenia książek autorom, którzy nie wahali się wystąpić z pochwałą stanu wojennego, upewniły Malinowskiego, że postąpił słusznie, a i we władzach wojewódzkich zdecydowano, że ochrona „swojego” twórcy miała sens. Malinowski opluty od pierwszych dni stanu wojennego byłby społecznie mniej przydatny niż Malinowski pozorujący milczenie, który w przyszłości będzie się mógł wypowiadać publicznie jako neutralny, a może nawet niezależny pisarz. Jego osoba będzie rodzajem piorunochronu, pozorną reprezentacją milczącej mniejszości twórczej i dowodem liberalizmu kulturalnego.

Romuald Malinowski nie znał jednak ostatnich postanowień władz co do swej osoby. Od pierwszej rozmowy, którą 13 grudnia przeprowadził z nim niejaki Jan Rzeppek, miały nim wątpliwości. Podczas owej debaty wyraził w końcu zgodę na pisanie dla prasy i wiedział, że mu się to stokrotnie opłaci w przyszłości, przeżywał jednak wiele rozterek. Po pierwsze — panicznie się obawiał, że ktoś, kiedyś wypomni mu tę współpracę, a termin kolaboracja powrócił do słownictwa polskiego z niesłychaną żywotnością. Bał się więc oplucia, odesłania książek, znalezienia gówna pod własnymi drzwiami, a i to się zdarzało co poniektórym. Bał się też ostracyzmu i — jak powiedział Rzepkowi — straty czytelników. Wiedział, że tej krzywdy nie zrekompensują mu żadne pieniądze, był bowiem próżny i łasy na pochwały, lubił się pławić w atmosferze powszechnej sympatii i podziwu. I jak na początku uwierzył Rzepkowi, że

bez współpracy nigdy w życiu nie ujrzy własnej książki w księgniarni, tak już po kilku dniach zaczął trochę żałować swej decyzji. Pomyślał, że jego książki są dobre same z siebie, że może niepotrzebnie próbował im pomóc, skoro zapewne obroniłyby się same, że wydawnictwa i tak coś przecież w przyszłości będą drukowały, a o jego książki czytelnicy upomnieliby się z całą pewnością. Wiedział jednak, że z pułapki, w którą wszedł sam, z własnej, nieprzymuszonej woli, nie wyjdzie teraz tak łatwo. Łatwiej pewnie było wówczas trzynastego grudnia nie przyjąć uprzejmej propozycji, niż teraz odmówić współpracy. Wielokrotnie w ciągu ostatnich dni oskarżał sam siebie o zbytnią uległość, a jednocześnie, jak w schizofrenicznym śnie, obawiał się, że postąpił wówczas zbyt twardo, że bezsensownie się upierał przy pisaniu pod pseudonimem, i że kiedyś jeszcze za ten swój upór oberwie, bo władza, która nie wahała się złamać międzynarodowych paktów i konwencji, na pewno nie zawaha się złamać ustnej umowy pomiędzy jakimś pisarzem a towarzyszem Rzepkiem. I jak na huśtawce — raz bojąc się słusznego gniewu ludu, raz zaś nieuniknionej zemsty władzy, Romuald Maria Malinowski czuł tylko jedno, że jest mu źle, że nie umie sobie z tym poradzić i że musi koniecznie się czegoś napić, więc sięgał po butelkę i kieliszek i pił do lustra, bo dziwnie nie miał ochoty na kontakty ze znajomymi. A po kilku kieliszkach diablik, co był wódce na dnie, wystawiał rogaty łeb i kusił najprzeróżniejszymi wizjami sławy i chwały. Raz zatem widział się Malinowski jako Putramenta czy Iwaskiewiczza, szefa Związku Literatów, doradcę władzy, i to nie tej lokalnej, lecz widział się w Warszawie, na polerowanych posadzkach Urzędu Rady Ministrów, przyjaciela wicepremierów, z których jeden jest bądź co bądź też człowiekiem pióra. Widział ogrom dobra, jakie w tej przyjacielskiej komitywie mógłby zdziałać dla kraju. I już układał w myślach mądre i subtelne opinie na temat społeczeństwa, stawał się w pijackiej wyobraźni Katonem, jedynym sprawiedliwym, człowiekiem, który naprawił władzę... Albo też zapewniał sam siebie, że nikt się o jego współpracy nie dowie, że władza ukarze go za osli upór, ale on, Romuald Maria Malinowski, przetrwa dzielnie wszystkie szykany i stanie w szeregu twórców umiłowanych przez naród, którzy mieli odwagę powiedzieć „nie” i zyska popularność na miarę Wajdy albo Andrzejewskiego, bo przecież jego cierpienia równe są ich cierpieniom i...

Następnego dnia zazwyczaj bolała go głowa i jedynie kieliszek czegoś mocniejszego mógł mu przynieść ulgę. I tak z dnia

na dzień bał się i wzmacniał w sobie na przemian. W Nowy Rok rozliczył się sam ze sobą szczerze i uczciwie, podjął twardą decyzję, że skończy wreszcie z tym grzebaniem we własnych bebeczach, naszkicował w myśli plan nowej książki i od jutra postanowił zacząć całkiem nowe życie. Zadowolony z siebie zasiadł przed telewizorem, gdy niemal jednocześnie usłyszał wycie psa i dzwonek do drzwi. Zerknął przez wizjer, zobaczył dwóch milicjantów i jednego cywila. Pomyślał, że zawiódł się jednak na tej władzy, której oddał z siebie tyle dobrego, a która nawet tak drobnej formy sprzeciwu nie jest w stanie znieść i postanowił przyjąć swój los męczennika godnie i bez strachu. Od pierwszych słów postanowił zaabstrahować godnie i bez strachu. I dlatego powiedział o straszliwej Hekate, cytat wydał mu się stosowny, odpowiedni dla człowieka, którego przyszedł pojmać zbiry najęte przez reżim. Zdziwił się zrazu, gdy rozpoznał Kołacza, potem zaś uznał, że na tym między innymi polega perfidia tej władzy, że dla pognębienia przeciwnika używa wszelkich sposobów, w tym również niszcząc więzy przyjaźni bądź sympatii. Zastanowił się przez chwilę, czy poprosić o pozwolenie włożenia ciepłych gaci, w końcu jednak uznał, że nie będzie to wyglądało godnie i że da się zabrać tak, jak stoi, gdy kapitan wyjął zdjecie.

— Nie — powiedział Malinowski rozczarowany. — Nie znam.

Próbował wymyślić jeszcze jakąś mądrą sentencję, ale właściwie to mu się odechciało. Poczuł ulgę i żal zarazem, przez sekundę rozważał myśl, czy by nie zaprosić kapitana i jego kumpli na jednego, stwierdził jednak, że tak naprawdę — to nie ma ochoty, że w ogóle nie ma na nic ochoty, że natychmiast musi się czegoś napić, że musi pomyśleć o czymś bardzo ważnym i że cały Kołacz i jego totumfacycy powinni natychmiast wynieść się do wszystkich diabłów.

Zjechali na dół w milczeniu.

— Jutro o ósmej — powiedział kapitan, gdy wysiedli na trzecim piętrze. — Teraz pójdziemy jeszcze do Ireny Podlaskiej. Sprawdzimy, czy córka wróciła.

— Nie ma Eli — zaszlochała na ich widok Podlaska.

— A nie dostała pani żadnej wiadomości?

— Powiedzieli mi ci przysłani przez pana, że tam wszystko zasypane i nie można wyjechać, ale kto to wie, a może ją aresz-

towano, teraz za byle co aresztują — zamilkła nagle, przerażona własnymi słowami.

Kapitan pokiwał głową.

— Sprawdziliśmy — powiedział — w ciągu ostatnich 24 godzin nie zatrzymano w żadnej z komend dzielnicowych i miejskich pani córki.

Irena Podlaska wytarła twarz fartuchem. Słowa kapitana wcale jej nie uspokoiły. Słyszała o rodzinach, które przez trzy dni poszukiwały swoich bliskich. Słyszała o wywózkach młodych ludzi do Pruszcza, Starogardu lub Tzewa, o pobiciach, które trzeba było zatuszować, o tym wreszcie, że co noc dowożono do obozów dla internowanych nowych ludzi. To, co słyszała, być może nie było prawdą, a być może — było. Sama nigdy niczego podobnego nie doświadczyła, nie wiedziała więc niczego na pewno, ludzie mówią tyle rzeczy, a to, co mówią, może być równie dobrze prawdziwe. Na dworze było ciemno i zimno, za piętnaście minut zaczynała się godzina policyjna, a jej córka wciąż jeszcze nie wróciła do domu.

— Dobranoc — mruknął kapitan.

— Jakie to dziwne — powiedział Franek do Ani — wcale nie wiedziałem, że tytu jest w naszym bloku artystów. Jest jedna malarka czy graficzka, i pisarz, żebyś wiedziała, ile ma książek, i jeszcze poetka. Chcesz przeczytać jej wiersze? — wyjął spod swetra mały tomik w sztywnej okładce.

— Kolację byś lepiej zjadł — powiedziała Ania.

— Ale posłuchaj, to nawet ciekawe: Widzę ich twarze / ponure twarze przeznaczenia / tysiąc jeźdźców Apokalipsy przejechało przez nasze życie / a teraz we śnie / widzę ich twarze / ponure twarze przeznaczenia / i boję się / coraz bardziej się boję. / A jeśli kiedyś wyjdą ze snu / i zapukają do moich drzwi / a jeśli nie obroni mnie przed nimi / czerwona tasiemka / podkowa nad drzwiami / ani pęczek jemioly / jeśli nie pomoże pukanie / w niemalowane drzewo / i dziecinne zaciskanie kiuków / to co mnie uchroni / przed wtargnięciem przeznaczenia / w moje życie.

— No i co tu jest ciekawe?

— Czy ja wiem? Że ta babka umiała tak napisać.

— Nic z tego nie rozumiem.

— No, na tym właśnie polega sztuka, to nie jest do rozumienia — powiedział Franek i poczuł się nagle bardzo mądry.

2 stycznia 1982

Sobota była drugim dniem przedłużonego weekendu noworocznego, a dwudziestym pierwszym dniem stanu wojennego. Ani w kraju, ani w Mieście, ani na Osiedlu nikt jeszcze tego nie zdołał zaakceptować. Zbyt nagle to, co przed miesiącem było niezbywalnym prawem mieszkańca Europy w 40 lat po wojnie, przestało być tym prawem, a stało się owocem zakazanym i przestępstwem. Kraj, który z ducha i tradycji od tysiąca lat należał do kultury zachodniej i równie długo walczył z idącym od wschodu barbarzyństwem, poczuł że nieuchwytna granica między wschodem a zachodem przebiega nie na Bugu, nie na Odrze i nie na Łabie, lecz przez życie pojedynczych ludzi. Ci, których w środku nocy wyrwano ze snu i wywieziono do obozów, byli już na wschodzie, nawet jeśli fizycznie pozostawali w punkcie geograficznym, umownie zwanym Europą środkową. Ci, którzy uniknęli więzień i obozów, kurczowo trzymali się nadziei, że terror wschodu nie przeniesie ich ze stanu względnej wolności do stanu bezwzględnej niewoli. Kamień podniesiony przeciw władzy podczas demonstracji opadał bezwolnie na ziemię. Dla usprawiedliwienia nazwano polityczną roztropnością to, co — być może — było zwykłym tchórzostwem. Przygnębienie z powodu utraty wolności obywatelskich mieszało się ze wstydem narodu, który nie wiadomo dlaczego nie sprostał wymaganiom tradycji i wybrał uległość zamiast walki. Godność Polaka została ograniczona do zachowania własnych poglądów i wewnętrznej niezgody na przemoc. Intelktualna zdolność odróżnienia dobra od zła, uczciwości od nieuczciwości, racji słusznych od niesłusznych zyskała rangę podstawowego miernika godności. 35 milionów emigrantów wewnętrznych myślało co innego niż robiło. Była wprawdzie czynnie działająca opozycja, ale zwykły człowiek, który krzepił się faktem jej istnienia, niewiele miał z nią wspólnego. Albo zgola nic. Zwykły człowiek na własny użytek wybrał sobie jakiś sposób dokumentowania swojego sprzeciwu władzy, co dawało mu złudne poczucie solidarności narodowej oraz rozgrzeszało jego niespokojne sumienie. Zwykły człowiek płacił komuś jakieś pieniądze albo oddawał swoją kartkę na papierosy, albo szedł do kościoła...

Śnieg padał przez całą noc, usypując na uliczkach ogromne zasy. Kilku niemrawych ludzi w fufajkach odgarniało niespiesznie wąskie przejście wiodące do bloków. O ósmej rano większość głównych arterii przelotowych Osiedla wciąż jeszcze

pokrywał śnieg i milicyjna nysa z trudem dotarła na miejsce przeznaczenia.

— Siódme piętro, mieszkanie 27, Margarita Widram — powiedział kapitan. — Czy sprawdzono akta studentek Uniwersytetu, panie poruczniku?

— Były obiektywne trudności, dopiero dziś rano uzyskaliśmy dostęp do dokumentów. Sprawdzamy miejscowe.

— Hm, zapewne słusznie, ale jak w rejestrze studentek miejscowych nie będzie denatki, trzeba będzie sprawdzić całą listę.

Na drzwiach mieszkania 27 zamiast zwykłej wizytówki widniał zawikłany jak labirynt napis MOTI, wyryty na ośmio-kątnej płytce z mosiądzu.

Janiakowi nie spodobało się w mieszkaniu Margarity Widram od pierwszej chwili, gdy przywitała ich w progu stara i gruba kobieta w czarnej peruce i długiej bawełnianej koszuli nocnej.

— Dlaczego na drzwiach napisane jest MOTI zamiast Margarita?

— Moti to po hindusku perła.

— No to co? — spytał oburzony.

— Ach, Margarita to imię greckie i też oznacza perłę.

Kobieta wpuściła ich do pokoju. Było tam mroczno i dziwacznie. Z sufitu zwisały wypchane zwierzęta, sowa, kruk, wrona, krokodyl i wąż. Z wielkiego akwarium spoglądała na przybyłych upiorna ośmiornica.

— Siadajcie — powiedziała Moti — wiedziałam, że przyjdziecie.

— No cóż, dziś zapewne już każdy w bloku wie, że przyjdziemy.

Kobieta wzruszyła ramionami.

— Nie mówię o sąsiedzkich plotkach. Od wczoraj, od czwartej rano na was czekam. Przede wszystkim na ciebie — grubym palcem wskazała Franka.

Franek cofnął się przerażony. Podobnie jak Janiakowi nie podobało mu się u pani Widram. Kapitan uniósł brwi w wyrazie zaciekawienia.

— Była pani wczoraj o świcie w zsypie?

— Ja nie muszę chodzić, żeby wiedzieć. — Spojrzała na Franka. — Oddałeś serce śmierci, zniszczysz swoje życie, a raczej to, co do wczoraj uważałeś za życie. Nie kochasz żony,

ale będziesz kochał córkę i nazwiesz ją Maria Margarita. Wczoraj byłeś inny niż będziesz jutro i zdziwisz się sam sobą. Ale tak trzeba.

Franek z niepokojem spojrzął na kapitana.

— To jest karalne — powiedział oburzony Janiak.

— Co? — spytała Moti.

— Zarobkowanie wrózeniem. Ma pani licencję?

Kobieta spojrzała na niego pogardliwie.

— Jestem na rencie — zwróciła się do kapitana.

— Pani ma nielegalne dochody — nalegał uparcie porucznik.

— Słuchaj, kapitanie, powiedz mi, żeby się zamknął, dobrze? Niech mnie oskarża gdzie chce, ale niech tu będzie cicho. To jest mój dom i tu jestem wolnym człowiekiem. Nie boję się. Jestem już stara. Cóż to ma dla mnie za znaczenie, czy ten tu wpakuje mnie do pudła, czy nie. Mnie już nigdzie nie jest źle, nawet na wolności. A ty chcesz się czegoś dowiedzieć o tej martwicy, tak?

Kapitan skinął głową.

Moti podeszła do szafy i wyjęła z niej srebrną kulę.

— Zgaś światło i zasłoń okno — rozkazała.

Franek posłusznie wykonał polecenie. W ciemności kula połyskiwała niewyjaśnionym blaskiem. Milczenie przedłużało się w nieskończoność.

— Szukaj ciemnego człowieka, który będzie miał bliźnę na lewym ramieniu. On ją kochał i dlatego zabił.

— Zabił? — spytał kapitan cicho.

— Tak — powiedziała Moti.

— Gdzie mam go szukać?

— Znajdziesz go, stanie na twojej drodze i wtedy go zabijesz.

Moti podeszła do okna i odsunęła zasłony. Franek patrzył na nią z podziwem i lękiem zarazem.

— Ale jak mogę go zabić? — spytał kapitan. — Czy będzie wojna?

Moti wzruszyła ramionami.

— Któż może wiedzieć, jeśli wy nie wiecie, panowie władcy. A śmierć chodzi swoją własną ścieżką i nikogo nie pyta. Idźcie już, jestem zmęczona.

— Nie chce pani zobaczyć zdjęcia tej dziewczyny?

— Widziałam ją — pokazała kulę. — Jest młoda i jasna, jak wróżka z bajki. A ty nie płacz po niej — zwróciła się do

Franka — ciesz się, bo spotkała cię miłość niespełniona na wieczność, to odradza.

— Nie podobają się panu moje metody, panie poruczniku — powiedział raczej niż spytał kapitan, gdy opuścili mieszkanie Moti. Idziemy dalej. Balny. Eugenia i Witold. Nareszcie jakieś imiona. Z reguły idziemy do literek A.A., B.B., N.N. Ludzie stali się oszczędni w ujawnianiu prawdy o sobie, nawet jeśli jest to tylko prawda o imieniu.

Wizytówka czarna, prosta. Wycieraczka szalowa, wizjer zasłonięty. Typowy zewnętrzny wystrój. Indywidualność zaczyna się za progiem. I za progiem ten sam lęk, pomyślał kapitan, patrząc na Witolda Balnego. Był to mężczyzna koło czterdziestki, łyślał, nosił okulary. Wyglądał jak uosobienie przeciętności, chude owłosione nogi wystawały spod krótkiego szlafroka.

— Dzień dobry — powiedział kapitan. — Chcielibyśmy porozmawiać.

Balny milczał, patrząc tępo przed siebie. Nie miał pojęcia, co mówi kapitan, po prostu się bał, nie tyle enigmatycznej miłości i władzy, ile konkretnego i namacalnego porucznika Janiaka. Witold Balny w otchłani swego lęku nie zauważył nawet, że porucznik Janiak na jego widok nie zareagował w żaden sposób, ani słowem, ani gestem nie dając poznać, że już się kiedyś spotkali. Witold Balny nie oczekiwał zresztą niczego takiego. Porucznik Janiak przyszedł po niego, dopadł go i nie było w tym nic dziwnego. Nierychliwie, jak to sprawiedliwość, przyszedł po dziesięciu latach i teraz odpłaci mu za całe bursztynowe tango.

Dziesięć lat temu w Mieście buchnęła wieść, że będą budować Port. Inwestycje, perspektywy, potęga i nowoczesność, cały pie reporterzki, wizytówki i ukoronowanie najsmiglejszych marzeń o nowoczesności. Przysłowiowe wręcz doganianie, które nie ma kresu. A na terenach przyszłego Portu rozpętało się piekło. Na odległych peryferiach porośniętych ostrą wydmową trawą Tolo „Karawan”, Andzio „Łopatką”, Józio „Pompka” i inni prowadzili szaleńczy wyścig z czasem. Trzydzieści oficjalnie zarejestrowanych pomp i drugie tyle niekoncesjonowanych tryskało w niebo strugami piaszczystego szlamu, patyków i bursztynu.

To było życie! London, Klondike, gorączka złota, wyścigi do kruszcodajnych działek! Miasto żyło spokojnie, młodzi chłopcy nadal z wypiekami czytali o przygodach Bellewa Zawieruchy,



a tymczasem już za progiem gromada bursztyniarzy przeżywała polską gorączkę złota. Tolo „Karawan” trafił na bursztynowe „oko”, pompował osiemnaście godzin bez przerwy, bursztyn walił kawałami wielkimi jak śliwki, pot lał się strugami z sześciu umęczonych ludzi, ładujących urobek do worków, a wokół stał milczący tłum od innych pomp, obserwatorzy, którzy nie mogli się oderwać od widoku wielkiej wygranej. Tolo „Karawan” postawił wszystkim wódkę i powiedział: „pijcie chłopaki, bo ostatni raz widzicie 'Karawana', od dziś jestem pan Anatol”. Rozbił butelkę o pompę, odszedł chwiejnym krokiem i nigdy więcej nie wrócił na dzikie pola.

Tolo „Karawan” porzucił swoją pompę. Następnego dnia, gdy wszyscy wytrzeźwieli, pompa Tola należała już do „Profesora”, który w ten sposób z pięćdziesiątka kibica awansował na pełnoprawnego, acz nielegalnego, prospektora. Nigdy wprawdzie nie pobił rekordu Tola, ale zyski i tak sięgały wieluset tysięcy.

„Profesor” zabłąkał się na dzikie pola przypadkiem. Był urzędnikiem w firmie budowlanej, żonatym i statecznym mężczyzną. Mieszkali z żoną w wynajętym pokoju w Nowym Porcie. Było to pomieszczenie duże, wilgotne i smutne. Gdy żona pojechała rodzić, smutny facet w okularach pomyślał, że prędzej da się pokroić niż wróci sam do tego pokoju. Wyszedł z kliniki, usiadł na schodkach pobliskiego sklepu i smętnie sączył piwo. I wtedy zdarzył się cud, niebo zesłało radość i ducha przygody w postaci Józia „Pompki”, który też pił piwo na schodkach.

— Coś taki smutny, ty, „Profesor” — spytał Józio, chrzcząc w ten sposób Witolda Balnego, nadając mu wymiar i rangę.

Balny wyjaśnił, a Józio „Pompka” zabrał go za Miasto.

— To jest „Profesor” — oznajmił — będzie u mnie za kibica.

Następnego dnia Balny wziął urlop, a w dwa dni później został ojcem i stoczył pierwszą w swym życiu walkę z kibicem od Andrzeja „Łopatki”, który twierdził, że córka to główny interes i najlepiej ścierwo utopić od razu, bo inaczej wyrośnie i będzie się puszcząć. Ku swemu własnemu zdziwieniu „Profesor” zwyciężył. Żona z dzieckiem wyszła z kliniki, a Balny zmęczony i szczęśliwy walczył o łup. Co dzień rano odstawiał towar, resztki wypluwane naokoło przez pompę Józia, a i tak było tego dość i jeszcze więcej. Po kolacji jechał znowu na swoje miejsce między łądem a morzem.

Co kilka dni, a właściwie nocy, cichcem i bez świateł zajeżdżała milicja na połów niekoncesjonowanych pomp. Dzikie

poła nagle pustoszały, tylko gwałtowne rozbryzgi piany znaczyły miejsca, gdzie w pośpiechu wrzucano sprzęt do wody. Pompierze, tyczkarze, ładowacze i kibice sadowali się w pobliżu swych zatopionych pomp, a na pytania władzy odpowiadali, że wyszli odetchnąć świeżym, morskim powietrzem, co nie jest przecież zakazane. Obie strony wiedziały, że jest to gra, ale póki nie było dowodów, nie było i winnych. Dowodem zaś mogła być tylko pompa, bo bursztyn każdy może znaleźć i „tak, panie władzo, przyfarcilo, że dziś morze dużo rzuca”. Niekiedy co ładniejsze kawałki znikały w kieszeniach niebieskich mundurów. Ale bywało i tak, że się nie zdążyło utopić pompy, albo że władza nie chciała grać w grę zwaną „Spacer po nocy”. Wtedy jedno z dwojga — albo można było uciec, albo zwyciężyć. „Profesor” nie chciał uciec. Nie po to cztery dni wcześniej zdobył pompę po Tolu „Karawanie”. Mundurowych było tylko trzech, „Profesor” załatwił jednego z nich, kibice — pozostałych. Związano im ręce własnymi krawatami, a głowy omotano workami. Następnie ukryto starannie pompy, w milicyjnym samochodzie siadły przypadkiem trzy gumy jednocześnie, a nad dzikimi polami zapanowała głucha cisza, która trwała przez tydzień. Poturbowani nieco milicjanci próbowali znaleźć swoich zwycięzców, bez skutku jednak.

Po miesiącu urlopu Witold Balny przykładowie wrócił do pracy. Dzikie pola nie powtórzyły się już nigdy. Był z powrotem spokojnym, nijakim urzędnikiem. Pieniądzy zdobytych przez ten miesiąc, gdy był bohaterem opowieści Londona, używał rozważnie i skromnie, ale efektywnie. Po dziś dzień, choć minęły lata, oceniając z zadowoleniem swój umiarkowany dobrobyt, dziękował w duchu niebiosom, że kazały Józiovi „Pompce” kupować piwo wtedy i tam, gdzie to było naprawdę potrzebne.

Witold Balny był zadowolony z siebie i ze swojego życia. Aż do dnia 2 stycznia 1982 r., kiedy u progu nowego mieszkania pojawił się jak upiór z przeszłości porucznik, ongiś sierżant, Stanisław Janiak, ten sam, któremu Witold Balny, „Profesor”, przyłał bez zastanowienia w obronie drogocennej pompy.

Witold Balny westchnął ciężko.

— Czy możemy porozmawiać? — ponowił pytanie kapitan.

— Tak — ocknął się Balny — proszę do kuchni, żona i córka śpią, dopiero co wróciliśmy. Byliśmy u mojej matki w Poznaniu, o, proszę — pogrzebał w kieszeni kożuska — tu są bilety. Nie było nas od Wigilii. Moja matka jest chora, mu-

sieliśmy ją odwiedzić. Za zgodą, oczywiście, mogę pokazać zezwolenie.

— Ach tak — powiedział kapitan, wyjmując zdjęcie — w takim razie to tylko formalność. Czy pan zna tę osobę?

— Nie — powiedział Balny — nigdy w życiu jej nie widziałem.

Na drzwiach mieszkania 26 widniał wyraźny ślad po odkręconej wizytówce. Gorzej niż sama wizytówka, pomyślał kapitan, tylko ci, którzy czują się aktualnie zagrożeni, pozdejmowali wizytówki. Instrukcja, którą ongiś wydali szefowie związku o zdejmowaniu wizytówek, list lokatorów, nazw ulic na wypadek zagrożenia, jak wiele innych instrukcji, utonęła w powszechnej narodowej niemożności. Takie zalecenia miałyby sens tylko wtedy, gdyby spotkały się z powszechną realizacją, w przeciwnym wypadku odosobnione gesty były jeszcze bardziej znaczące i podkreślały znaczenie, zamiast je tuszować.

— Zdun — powiedział kapitan, zerkając na listę.

Nikt nie otwierał. Porucznik Janiak kilkakrotnie nacisnął dzwonek i jednocześnie uderzył pięścią w drzwi. Nadal nikt nie otwierał, aczkolwiek wyraźnie słychać było, że ktoś chodzi po przedpokoju. Minęła minuta, dwie, Janiak dzwonił, już nie odrywając palca od dzwonka. Drzwi wreszcie otworzyły się i stanęła w nich wysoka tęga dziewczyna w grubym swetrze, spodniach, kożuszkowej kurtce i wełnianej czapce. W rękę trzymała torbę i siatkę. W głębi korytarza wysoki mężczyzna wkładał buty.

— Wzięła pani szczoteczkę do zębów? — spytał kapitan ironicznie.

Franek przysłuchiwał się ze zdumieniem. Skąd ten facet wie, co oni mają w siatce. Już kto jak kto, ale kapitan na pewno znajdzie mordercę dziewczyny-elfa. W miarę upływu godzin smutek Franka przerodził się w pewność, że dziewczyna ze zsyppu została zamordowana. Obok żalu i nieokreślonej tęsknoty zaczęła w nim narastać głucha nienawiść do mężczyzny, który to zrobił.

— My w innej sprawie — powiedział kapitan. — Niech państwo będą uprzejmi zdjąć płaszcze, a pani niech odstawi siatkę.

— Rewizja, tak? — spytała dziewczyna. — W takim razie pozwolę sobie poprosić sąsiadów na świadków.

— To wiedza czy praktyka? — spytał kapitan.

Zdaniem Franka było to pytanie niezrozumiałe. Zupełnie jakby mówili szyfrem, pomysłał.

— I to, i to — odpowiedziała dziewczyna, odwieszając kurtkę.

— Nie trzeba iść po sąsiadów. Państwo nie macie z nimi zbyt zażyłych kontaktów, prawda?

Było to nie tyle pytanie, ile stwierdzenie. Tych dwoje żyło własnym, intensywnym życiem i z całą pewnością nie tracili czasu na jałowe pogaduszki z sąsiadami. Nieunikniony izolacjonizm inteligentów, który w sytuacjach podbramkowych zostawia ich bezbronnych. Kumoszkowate kobiety w całym bloku wiedziały już, po co w okolicy kręci się milicja, a ta dziewczyna, która przez ostatnie miesiące zajmowała się prawdopodobnie tylko i wyłącznie tak zwaną pracą dla społeczeństwa, w chwili kryzysu nie uzyskała od najbliższych reprezentantów tego społeczeństwa ani ostrzeżenia, ani pomocy psychicznej.

— Więc co? — spytał mężczyzna. Odezwał się pierwszy raz. Był wysoki, chudy, krótko ostrzyżony.

— Wczoraj rano w zsypie na dole zmarła dziewczyna — powiedział kapitan, wyjmując zdjęcie. — Czy możemy wejść i porozmawiać chwilę?

W pokoju na ścianie przy drzwiach wisiał zielony plakat z fotografią małego dziecka w trykotowej koszulce. Na koszulce czerwone litery: „Solidarność”. Był to plakat I Zjazdu Krajowego.

— Które z państwa pracowało w Zarządzie? — spytał kapitan. Janiak powoli i systematycznie przeglądał książki na półce, mężczyzna stak obok, patrząc mu na ręce.

— Ja — powiedziała dziewczyna — w dziale interwencji, świetnie to wiecie.

— Możliwe — wrzuszył ramionami kapitan. — Można usiąść? Kapral Handa jest sąsiadem państwa i wczoraj rano znalazł ciało tej właśnie osoby.

— To tym razem nie będzie rewizji, tak? — spytała dziewczyna.

Kapitan wyjaśniał okoliczności wypadku, ale Franek nie słuchał. Myślał o historycznych obawach żony. Ci Zdunowie są niewątpliwie z „Solidarności”. Patrzył na nich i zastanawiał się, czy tacy ludzie, jak oni, potrafiliby wejść nocą do mieszkania i z zimną krwią zamordować człowieka. A Ewaryst? A pan Koliński? Franek nie znał ich wielu, ale ci, których znał, nie pasowali mu do wizji krwawych morderców. Był skłonny

dać głowę za tych, których znał. A może naprawdę „Solidarność” szkoliła gdzieś jakieś bojowe oddziały, jakichś terrorystów, którzy umieliby zamordować bez zmruzenia powieki? Czy Ewaryst wiedział o tym albo ci Zdunowie?

— Panie Franku, może pan odpowie — powiedział kapitan.

— Co, co?

— Pan Franek wciąż jeszcze jest pod wrażeniem wizyty u pani Widram, wróżki — wyjaśnił konwersacyjnym tonem kapitan.

Do pokoju wszedł wielki beżowy wilczur.

— Ten pies w ogóle nie zaszczekał — zdziwił się Franek.

— Jest dobrze wytresowany. Dziwne, w noc sylwestrową szalał w mieszkaniu, więc wyprowadziłam go na spacer. Obeszłam dom szerokim łukiem... — Zdunowa kichnęła i nerwowo zaczęła szukać chusteczki po kieszeniach spodni.

— Pani jest przeziębiona — powiedział kapitan.

— To przez okna — powiedział mężczyzna — nocą nie można odciągnąć jej od okna. Stoi i patrzy w dół, na Miasto i morze.

— Niewiele stąd widać.

— Ale daleko — odpowiedziała Zdunowa, wycierając nos.

— No cóż, wracajmy jednak do psa.

— Urban wyrwał się okropnie...

— Urban? Dawno państwo macie tego psa?

— Niestety, dawno, trzy lata — westchnęła dziewczyna — wyrwał się i ciągnął wyraźnie w stronę zsyków. Pomyślałam, że ktoś się tam kręci, a to w końcu była noc; nie sprawdziłam, co się dzieje, tylko wróciłam do domu.

— O której to było?

— Koło drugiej chyba. — Dziewczyna spojrzała na kapitana podejrzliwie. — Po godzinie milicyjnej, rzecz jasna.

— Pani nie czyta prasy, nie słucha radia albo telewizji? — zdziwił się kapitan. — W Sylwestra nie było godziny milicyjnej.

Janiak oderwał się gwałtownie od półek i podszedł do kapitana.

— Niejaka Zdun Wanda była prawniczką w „Solidarności”. To pani — powiedział ostro.

— Tak.

— I co? — spytał Janiak.

— I żyję — mruknęła.

— Co robimy, bo ta obywatelka...

— Ta obywatelka to nie nasze zmartwienie, poruczniku.

Franek Handa niezbyt znał życie i bardzo wierzył pozorom oraz temu, co ludzie sami mówią o sobie. Zakładał więc, że znaczna część społeczeństwa jest ogólnie zadowolona. Oczywiście, narzekały kobiety w kolejkach, ale kobiety wciąż o coś marudzą; narzekali chorzy i bądź co bądź mieli prawo; narzekali starzy, a prawdziwym powodem ich narzekań była utraczona młodość. Narzekali też inteligenci, którym się w głowach przewracało. Tak więc w niewykrystalizowanym świecie pojęć Franek wyszukał instynktownie grupę, do której chciał się przypisać wraz ze swoim zadowoleniem. Grupę zdrowych, ciężko pracujących mężczyzn w wieku produkcyjnym, niewątpliwie najważniejszą grupę społeczną. Kiedy ta właśnie grupa okazała niezadowolenie z sytuacji i warunków swego życia, Franek odczuł zdziwienie. Instynktowny wybór zbioru zawęził natychmiast do ludzi umiarkowanego sukcesu. Stale żył więc w sztucznej aurze zadowolenia, która jednak nie raziła w jego środowisku. Natomiast od wczorajszego poranka jednolity świat zadowolenia rozbił się w drobiazgi. Ludzie nie byli zadowoleni i Franek odczuwał to nieomal fizycznie. Poprzez kontakt ze śmiercią stał się bardziej wyczulony na to, co kryje milczenie. Ponadto nigdy nie spotkał jednocześnie tylu różnych, odmiennych ludzi. Dość że czuł, jak narasta w nim przygnębienie. Ni stąd ni zowąd, zdaniem Franka, ludzie przestali promieniować zadowoleniem, emanowali lęk, niepokój i strach. W nim samym zaczął się zagnieźdzać ten strach nie wiadomo skąd.

— Zasnął pan, panie Franku?

— Nie, nie. Nie mam zwyczaju sypiać na stojąco. — Franek znowu jest dziarskim, silnym i zdrowym mężczyzną. — Pomyślałem sobie po prostu, że tak wielu ludzi się czegoś boi.

— Wszyscy — powiedział kapitan. — Obawiam się, że sytuacja tego bloku odpowiada stanowi ducha całego społeczeństwa.

— Mój przyjaciel jest filozofem (czyżby błysk zdumienia w oczach kapitana) i twierdzi, że wszyscy jesteśmy przestępcami.

— A więc następny przestępca — powiedział kapitan — pan lub państwo Tantrowicz. Dziwne nazwisko, nie nie znaczy.

Tantrowicz otworzył od razu. Był niewysoki, tęgi i rumiany. Wyglądał spokojnie, chociaż zapewne powody do strachu miał znacznie poważniejsze niż większość mieszkańców bloku. Życie w stałym poczuciu zagrożenia nauczyło go jednak

opanowania i flegmatycznej łagodności. Wiedział, że kiedyś jego wolność się skończy, a wikt i opierunek zapewni mu państwo. Wkalkulował tę pewność w swój styl życia; potrzeby miał niewygórowane, ambicje też i cieszył się każdym drobiazgiem, choć ani przez chwilę nie zapominał o sprawie, którą na siebie przyjął. Niekiedy łapał się na tym, że kumuluje okruczności radości, gromadzi je, jak żelazny zapas na czarną godzinę. Był dość wysoko postawionym urzędnikiem w firmie handlu zagranicznego, znał biegle cztery języki europejskie i jeszcze na dodatek japoński, był więc na swój sposób niezastąpiony. Przekonał się o tym najlepiej, gdy po marcu 1981, po pobiciu Rulewskiego, oddał legitymację partyjną. Egzekutywa przeprowadziła z nim szereg rozmów, sprawa oparła się nawet o województwo, ale stanowiska służbowego nie stracił. Nie był nigdy czynnym działaczem „Solidarności”, ale już na kilka lat przed strajkami, korzystając ze swych służbowych kontaktów, od czasu do czasu przekazywał za granicę materiały Wolnych Związków Zawodowych. Po Sierpniu, w przeciwieństwie do wielu innych sympatyków opozycji, nie przeniósł się do MKZ i nie objął żadnego oficjalnego stanowiska, chociaż mógłby to zrobić z łatwością. Cenił swoją pracę i swoją pozycję sympatyka. Przez półtora roku legalnego istnienia Związku jego kontakty były oczywiście mniej potrzebne niż przedtem, okazały się natomiast niezastąpione natychmiast po wprowadzeniu stanu wojennego. To on, jako pierwszy, przekazał zagranicznym rozgłośniom informację o śmierci młodego Antoniego G., zastrzelonego podczas walk 16 grudnia 1981. Jednocześnie, ku jego lekkiemu zdziwieniu, koledzy z pracy zdecydowali, że po aresztowaniu członków KZ, on właśnie ma objąć funkcję nowego, utajnionego przewodniczącego. Nie odmówił, ponieważ nie miał zwyczaju odmawiać przyjmowania zadań, do których się nadawał. A na tę funkcję się nadawał. Wraz z dwoma współpracownikami od pierwszego tygodnia stanu wojennego rozpoczęli wydawanie prymitywną techniką malutkiej gazetki zakładowej o nazwie „Byłe do wiosny” i swoje szanse przetrwania na wolności określał na adekwatne do tego tytułu. Gdy 2 stycznia po śniadaniu otworzył drzwi milicjantom, pomyślał, że jednak rachuby go zawiodły, ale rachunek prawdopodobieństwa ma to do siebie, że nie sprawdza się w szczegółach.

Uprzejmie powiedział dzień dobry. Z pokoju wyszła jego żona, Alina, uśmiechnął się do niej raźnie, a Alina odpowiedziała podobnym uśmiechem pełnym otuchy. Jak i mąż wiedziała, że są zadania, które trzeba przyjąć i cena, którą przy-

chodzi za to płacić. Na żądanie kapitana bez sprzeciwu podała dokumenty i również na żądanie wprowadziła ekipę do pokoju.

— Czy państwo już wiecie, co nas sprowadza? — spytał kapitan.

— Zapewne jakieś wysoce słuszne racje — powiedział Tantrowicz. Zgodnie z zaleceniami — nie zamierzał odpowiadać na żadne pytania, udzielać żadnych odpowiedzi ani wyjaśnień.

— Pan pracuje w CeHaZie, czy tak? A pani? — spytał kapitan.

— Prowadzę prywatny gabinet kosmetyczny na Kamienistej.

— To jest na Zboczcu?

— Tak.

— Być może miała więc pani kontakt z tą osobą. Miała ładny manikiur i wypielęgnowane brwi.

Ze też ja tego nie zauważyłem, pomyślał Franek. Kapitan wyjął zdjęcie. Tantrowiczowa oglądała je długo i bardzo uważnie. Do pokoju wpadł mały, może siedmioletni chłopczyk. Rzucił okiem na fotografię i powiedział tonem pełnym wyższości:

— To ta co umarła w zsypie.

Rodzice przyjrzeni mu się z zaciekawieniem.

— Tak to jest — powiedział Tantrowicz. — My nie wiemy, a dziecię niewinne już wszystko wywęszyło.

— Ty ją znasz, mama, robiłaś jej takie straszne czarne brwi.

— Tak — skinęła głową Tantrowiczowa — mam wrażenie, że to ona. Przychodziła robić hennę na brwi i rzęsy. Była bardzo jasną naturalną blondynką i miała brwi koloru powietrza.

— Czy do pani zakładu przychodzi kobiety z Miasta?

— Raczej nie, głównie ze Zbocza, no i ostatnio z Osiedla. To mały gabinet, na lokalne potrzeby.

— Prowadzi pani jakiś rejestr klientów?

— Tylko finansowy, sumy pobrane od klientek, ale oczywiście bez nazwisk. Niewątpliwie stałe klientki znam i z nazwisk, ale ta dziewczyna nigdy nic nie mówiła. Szkoda dziewczyny, szkoda.

— Świat jest jednak mały — zauważył niezbyt filozoficznie kapitan. — Żyjemy osobno i anonimowo, a potem jednak stwierdzamy, że znamy tyle osób i pamiętamy je. To na przy-



kład wydawało mi się znamienne, gdy studiowałem akta z Sierpnia. Do Stoczni ściągali, niezależnie od siebie, ludzie, którzy się świetnie znali. Pan to na pewno też zaobserwował, poruczniku.

— Zmawiali się — orzekł Janiak. — Długo naprzód się zmawiali.

— Być może — powiedział kapitan. — W którą stronę?

— W lewo — ochoczo podsunął Franek.

— Samoswój, mieszkanie 21, M3, o ile się dobrze orientuję.

Obok drzwi półeczki z paprotkami w doniczkach i obrazek. Ładnie, pomyślał Franek, muszę namówić Anię, żeby koło naszych drzwi też jakoś ozdobiła, od razu przyjemniej wygląda.

Drzwi otworzył mężczyzna w podkoszulku i garniturowych spodniach. Patrzył na nich ponuro.

— Można? — zapytał kapitan, powtarzając utartą formułkę. — Chcielibyśmy porozmawiać. Pan Samoswój, tak? A imię?

— Henryk — burknął mężczyzna.

W drzwiach kuchni stanęła kobieta ubrana w niebieską kremplinową sukienkę. Patrzyła na nich równie ponuro jak mąż. Podeszła energicznie i obronnym ruchem wzięła go za ramię.

— On nigdzie nie pójdzie, choćbym miała was wszystkich, dranie, zatłuc wałkiem. To jest porządny i uczciwy człowiek.

— Ale — zaczął kapitan i przerwał. Janiak podszedł do kobiety i popatrzył na nią surowo.

— Dokumenty proszę.

— Idź, Heniusz — powiedziała — ja tu popilnuję.

Henryk Samoswój wrócił po chwili z dowodami osobistymi.

— Stoczniowiec? — spytał Janiak.

— Napisane — mruknął mężczyzna.

— Wydział?

— K 2.

— Zawód?

— Spawacz.

— Braliście udział w strajku, tak?

— Nie odpowiadaj, Heniusz! — wtrąciła szybko kobieta.

— Cóż — powiedział kapitan, odbierając dokumenty od Janiaka — udział w strajku jest z całą pewnością odnotowany w naszych aktach. Sprawdzimy. Odnowiono panu przepustkę?

— Odnowiono, odnowiono. Fachowców im trza.  
— Nie zabieriecie go? — spytała Helena Samoswój.  
— W tych sprawach toczy się odrębne dochodzenie. Proszę nas zaprowadzić do pokoju.

Franek zatrzymał się przez chwilę w przedpokoju. Bardzo mu się podobała zabudowa — jasne szafy na wysoki połysk, półka na buty, wieszak.

— Gdzie pan to załatwił? — spytał.

— Samo przyszło.

— Jak to?

— Normalnie, jak wszystko. Wycieraczka, karnisze do okien, wizytówka, obudowa przedpokoju, obrazek z papieżem, nawet półeczka pod kwiaty. Jak się mieszka w nowym bloku, panie, to wszystko samo do domu przychodzi. Domokrądcy co raz to chodzą i nagabują, a kup to, a kup tamto, zamów to, zamów tamto.

— Nie rozumiem. Ja przecież mieszkam tutaj na parterze i do mnie nikt nie przychodzi. Zamówiłbym taki komplet.

— Pan mundurowy?

— A bo co?

— Pytam. Chodzi pan z glin... z milicją, więc pewnikiem mundurowy, nawet jeśli po cywilu.

— Na ogół jestem mundurowy. Ale z wojska — zastrzegł szybko — z milicją nie mam nic wspólnego, to tylko teraz w sprawie tej dziewczyny.

— Jakiej...

W drzwiach pokoju stanął Janiak.

— Pan kapitan chce z wami porozmawiać, a wy na korytarzu.

— Już idę — powiedział Samoswój. — A do pana nie przyjdą, panie sąsiedzie, boją się mundurów.

Weszli do pokoju.

— Kto? — spytał kapitan.

— Domokrądcy. Tłumaczę żołnierzycy, dlaczego nie ma takiej szafy, jak my mamy.

— Co pan powie — zainteresował się kapitan. — A skąd domokrądcy mogą wiedzieć, kto jest mundurowy, a kto nie? Zanim im ktoś nie otworzy, nie wiedzą przecież, kto tam mieszka.

No właśnie — przytaknął Franek.

— A bo ja wiem — Samoswój wzruszył ramionami. — Skądciś wiedzą. To są spryciarze, ci domokrądcy.

— W mojej okolicy, jak byłem mała — odezwała się jego

żona — włóczyli się Cyganie i zawsze wiedzieli, gdzie warto iść, a gdzie ich psami poszczują. Ludzie mówili, że oni sobie zostawiają znaki...

Zostawiają znaki, zastanowił się Franek.

— ...na domach czy płotach — mówiła dalej Helena Samowój — i nawet jak całkiem nowa banda przychodziła, od razu wiedzieli.

— Sprzedaż po domach to nielegalny proceder — zauważył oschle Janiak.

— Eh, kto się tam teraz rozezna, co legalne, a co nie. Może oni są i nielegalni, ale za to wszystko można załatwić, w domu, bez kolejek, bez biegania po sklepach.

Kapitan wyjął zdjęcie.

— Biedactwo, taka młoda i śliczna — westchnęła kobieta — że też jej się zmarło. Boże, Boże, jaki ten świat niesprawiedliwy, na innego to pomsty nie ma za niegodziwości, a ona...

Maja Komarnicka leżała w wannie i patrzyła w sufit. Woda robiła się coraz chłodniejsza, a poza tym Nina od dłuższej chwili czeka na śniadanie, trzeba wychodzić, tylko że tak się nie chce. Co dzień rano, podczas kąpieli, Maja miała wrażenie, które z minuty na minutę zmieniało się w dławiącą pewność, że jest to jej ostatnia kąpiel we własnej wannie, a następna łazienka, którą zobaczy, będzie szara i betonowa, z długimi blaszanymi zlewami i zimną wodą. Łazienka TAM. Maja wzdrygnęła się, wstała powoli i owinęła w ogromne prześcieradło. Nie miała siły się wytrzeć. Siadła na brzegu wanny i czekała.

— Maja, chodź na śniadanie — powiedziała łagodnie Nina zza drzwi.

Maja nadal siedziała na wannie. Już zaraz, już dosłownie moment i Maja znajdzie w sobie dość siły, żeby wstać i pójść na śniadanie, ale zaraz, to jeszcze nie może być ta sekunda i ta następna też jeszcze nie. Jeszcze przez chwilę trzeba wrócić myślą TAM. Bo może TAM jest jednak ciepła woda, raz na miesiąc na przykład. Maja widzi długą i wąską łazienkę pełną pary, w której jak zjawy kręcą się i wyciągają ręce ku gorze nagie postaci.

— Maja, kochanie, śniadanie.

Nina nigdy nie traci cierpliwości. Cały czas jest spokojna. A może tylko udaje, może też jest myślami TAM. Ale czego miałyby się bać Nina? Niczego. Trudno jest wstać. Maja siedzi na wannie, z głową opartą o umywalkę. Może zasnąć na chwili-

leczkę, tylko na sekundę, myśli Maja i wtedy słyszy dzwonek do drzwi. Czy to już oni? Nina otworzy. A jeżeli to oni? Jak to dobrze, że jest Nina. Nina uprzejmie przeprosi każdego, kto przychodzi, powie, że Maja nie chce nikogo widzieć. Nie chce, tak, trzeba to zrozumieć, prawda? spyta Nina, znowu będzie cisza i spokój. Chyba, że to oni.

Maja wkłada szlafrok. Czemu Nina nie wyprosiła jeszcze tych ludzi? Kiedy w domu są ludzie, Maja czuje się zagubiona. Nina coś tłumaczy, a ci ludzie wciąż są. Sama im powiem, decyduje Maja, byle by zaraz sobie poszli. Otwiera drzwi łazienki.

Milicja! Maja patrzy na trzy postacie. To oni. A więc już. Machinalnie zaciska pasek przy szlafroku.

— Bo ja, to już nie ja przecież, mój dom nie jest moim domem — mówi Maja i przytula się do Niny. Ostatni raz, teraz nawet, Nina jej nie obroni, tak jak nie obroniła Jurka.

— Chodź, odprowadzę cię do pokoju — mówi Nina — a panowie tu poczekają.

Tak, do pokoju. Trzeba się ubrać, myśli Maja, bo TAM na pewno jest zimno.

— Czy ta kobieta jest chora? — pyta kapitan.

— Proszę chwilę poczekać, zaraz porozmawiamy — i wyprowadza Maję do pokoju.

— Połóż się i przykryj.

— To oni nie przyszli po mnie?

— Nie, kochanie — mówi Nina. Trzeba przecież jakoś pomóc Mai i chociaż Nina nie wie naprawdę, czy oni jednak nie przyszli po Maję, otula ją kocem i gładzi po policzku.

— Nie martw się, oni nie mają powodu, żeby cię zabrać. Jesteś... — chce powiedzieć niewinna, ale Jurek przecież też był niewinny i Maja to wie.

— Postaram się zaraz ich spławić — mówi Nina i wychodzi.

— To pani córka? — pyta kapitan.

— Nie, synowa — odpowiada Nina i gestem wskazuje drzwi dużego pokoju. — Wejźmy, nie będziemy jej przeszkadzać.

— Co to jest? — pyta kapitan prawie pewien, że nie dostanie odpowiedzi. Dziewczyna jest nieprzytomna, to mogą być narkotyki.

Ale, o dziwo, Janina Komarnicka udziela wyjaśnień.

— Co ona mówiła? — pyta Janiak.

— To był fragment wiersza hiszpańskiego poety — mówi Nina. — Moja synowa recytowała go podczas spektaklu studenckiego teatru „Trójka”.

— Ale dlaczego powiedziała to teraz? — nalega Janiak.

Nina wzrusza ramionami.

— Być może wydał się jej stosowny.

— Pytał pan, czy synowa jest chora? Doprawdy nie wiem. Fizycznie jest zdrowa, a psychicznie...

— Jest diagnoza? — pyta kapitan. Stara się nadać swemu głosowi jak najbardziej łagodne brzmienie. Choroba psychiczna jest sprawą delikatną. Kto wie, ile katuszy cierpi ta kobieta przez chorobę synowej.

Nina wzrusza ramionami.

— Nie chciałam, żeby ją ktoś badał, byłby to dla niej kolejny szok. A to zbyt świeże, żeby tykać.

— Więc to się objawiło niedawno, tak?

— Niedawno, oczywiście, że niedawno — Nina patrzy twardo na kapitana. — Trzynastego grudnia dokładnie, jeśli chce pan wiedzieć. W ogóle dziwię się, że pan pyta. Myślałam, że macie u siebie dokładne raporty. Czy wy przyszlście po nią?

— Nie sądzę — kręci głową kapitan. — Niech mi pani powie prawdę, to bardzo ważne. Czy myśli pani, że synowa zażywa narkotyki?

— Wykluczone. Ona w ogóle nie wychodzi z domu i nikogo nie widuje. Odcięła się od świata i czeka. Czeką na męża i na to, że ją zabierze.

Kapitan unosi brwi w górę.

— Mój syn, Jerzy Komarnicki, został internowany. Był członkiem Zarządu NZS. Maja — Nina waha się i poprawia — Maria dostała gwałtownego ataku. Płakała, krzyczała, rzucała się z pięściami na jednego z waszych. Gdy już Jurka zabrali, synowa rozszlochała się, płakała długo, aż wreszcie zasnęła. Spała bardzo długo, a po przebudzeniu była zupełnie odmieniona. Apatyczna i bezwolna. To była taka miła, wesoła dziewczyna, przyjacielska, towarzyska.

Nina patrzy na trzech mężczyzn, którzy milczą. Straszne, myśli Franek, to zrobiło z niej wariatkę. Próbuje przypomnieć sobie słowa majora Kukuły o konieczności, o słuszności, o racji stanu i o tym, że bezwzględnie najwyższą była pora, by ukrócić rozpasaną anarchię i warcholstwo, wziąć w karby całą tę bandę, która musi ponieść słuszną karę za nieposzanowanie władzy... I nagle wydaje się Frankowi, że to może nie zawsze było słuszne, że ta dziewczyna, wariatka, chyba nie była aż tak straszna, żeby teraz tak cierpieć. Franek przecież od dzieciństwa wie, że wariat jest może święty, ale to taki umęczony, udrażniony święty.

— Bardzo ją odmieniliście, bardzo — mówi Nina, a potem poprawia się w fotelu. — Rozumiem, że udzieliłam już wystarczających wyjaśnień. Więc do rzeczy, czy to w sprawie syna?

— Nie — odpowiada kapitan. — Dziękuję za wyjaśnienia, chciałbym jednak porozmawiać chwilę z synową.

— Czy to konieczne?

— Nie wiem, chciałbym jednak zobaczyć jej ręce. To się może okazać istotne, ale niech nam pani najpierw powie, jak spędziłyście Sylwestra.

— Jak każdy, zwykły dzień. Nie jestem pewna, czy synowa w ogóle wie, że minął Sylwester i zaczął się Nowy Rok. Ostatnio żyje poza czasem.

— Nie zorientowała się z gazet, z telewizji?

— Maja nie ogląda telewizji i nie czyta gazet. Pan tego nie rozumie, ona żyje, ona trwa jak roślina, a jedynym jej uczuciem jest strach.

Czy o to właśnie chodziło, żeby tak połamać ludzi? — zastanawia się Franek, może o to, może to potrzebne, ale... Trzeba będzie spytać Ewarysta. O tyle już rzeczy i spraw trzeba spytać Ewarysta.

— Wracając do Sylwestra, chodzi nam o wieczór.

— Maja koło siódmej poszła się kąpać. Masę czasu spędza w wannie. Być może jest to instynktowne. (Tak jakby uciekała do łona matki, myśli Nina). O ósmej zjadłyśmy kolację. Potem czytałam Mai wiersze. Przed dziesiątą Maja położyła się do łóżka. Ja pozmywałam, przygotowałam obiad. Chwilę poczytałam w łóżku i zasnąłam przed północą.

— Nic pani nie słyszała?

— Zwykłe hałasy, nic szczególnego.

— W noc sylwestrową...

Który to raz kapitan o tym mówi, myśli Franek. To już nie jest prawdziwe, to tylko słowa. One oczywiście nic nie będą wiedziały.

Kapitan wstał.

— I dlatego chciałbym zobaczyć ręce synowej. Dla spokoju sumienia, rozumie pani?

— Trudno. Chodźmy.

Internowany, pomyślał Franek, gdy stali w przedpokoju i czekali na kapitana. Co to właściwie znaczy? Internowano paru ludzi. Franek przyjął tę informację spokojnie i naturalnie. Raz są żniwa, raz wykopki, a raz internuje się kilku ludzi, kilkudziesięciu, może nawet kilkuset. Pozostały ich rodziny. Fra-

nek nie zastanawiał się nigdy przedtem, jak przyjęły ten fakt rodziny. Wydawało mu się, że po prostu rozumiały słuszność tego działania. Internowany Jerzy Komarnicki, niebezpieczny człowiek. Przestępca. Niby tak, przestępca. Ale gdyby się odwróciło, gdyby to „Solidarność” aresztowała mundurowych, czy wtedy on, Franciszek Handa, kapral Wojska Polskiego, byłby przestępcą? Nie, on, Franciszek Handa, nie będzie się czuł przestępcą, nawet jeżeli sytuacja się zmieni. To niemożliwe, oczywiście, ale pomyśleć tak dla próby można. Na pewno nie. Franek nie jest przestępcą. A Jerzy Komarnicki...? Jednak to zbyt trudne. Nie na moją głowę — mruczy Franek do siebie.

— Co? — pyta Janiak.

— Nic — odpowiada zawstydzony Franek.

— Co drugi w „Solidarności” — kwaśno zauważył Janiak, gdy wyszli od Komarnickich.

— Czy nam się to podoba, czy nie, było ich 10 milionów.

— Dziewięć, obywatelu kapitanie.

— Ale była też „Solidarność Wiejska”, pięć milionów, taksówkarze, rzemieślnicy, twórcy, nie licząc oczywiście rodzin i sympatyków. To są liczby nie do pominięcia; trudno się dziwić, że w takim bloku co drugi, jak pan mówi, reprezentuje były ruch związkowy.

— Opozycję — poprawia Janiak dobitnym głosem. — Ale sobie z tym poradzimy.

I tego oni się boją, pomyślał kapitan. Ale gdy potrzeba, przecież przestają się bać. Zastraszona społeczność pełna odważnych ludzi. Nie, na odwrót, odważne społeczeństwo pełne ludzi, którzy się boją. Trudno takimi rządzić.

Z szóstego piętra wbiegł chłopak w mundurze.

— Szukam wszędzie pana kapitana — zaszalutował. — Jakaś rodzina z mieszkania numer 8 wybiera się na cały dzień na narty. Kazałem im poczekać. Melduję, że pan Kaczmarek nie był z tego zadowolony

Zjechali windą na pierwsze piętro. Milicjant ponownie zaszalutował i wrócił na posterunek przy drzwiach wyjściowych.

Kaczmarek rzeczywiście był zły.

— Jest weekend, mam chyba prawo pojechać na narty.

— Niezaprzeczalnie — zgodził się kapitan.

— Ale pan mi zabrania.

— Skądże, został pan poproszony o chwilowe pozostanie w mieszkaniu.

— Ale dlaczego? Wypraszam sobie. Jakaś dziewczucha popełnia samobójstwo albo diabli wiedzą co, ja nie mam z tym nic wspólnego, chcę wyjechać z ro...

— A skąd pan wie, że pan jej nie zna, co? Różne przypadki się zdarzają, a jeśli to na przykład pana sekretarka? A tak *à propos*, samochodem się pan na te narty wybiera?

— A bo co?

— A skąd wziął pan benzynę?

Od dnia, czy ściślej nocy wprowadzenia stanu wojennego na terenie całego kraju obowiązywał zakaz zakupu paliwa przez właścicieli samochodów prywatnych. Po trzech tygodniach ruch samochodów osobowych powinien niemal zaniknąć. Tymczasem samochody jeździły. Zagadnienie, skąd pochodziła benzyna, wydawałoby się nierozwiązywalną zagadką dla każdego przybysza z tak zwanego normalnego kraju. W Polsce jednak fakt ten nikogo nie dziwił. Zakazów nie wprowadzono po to, by obowiązywały, zakazy traktowane były jako utrudnienie życia; jeszcze jedna, kolejna niedogodność. Wielu ludzi już wcześniej gromadziło benzynę w karnistrach, beczkach, a nawet w słojach i butelkach. To zresztą też było zakazane, z uwagi na zagrożenie pożarowe; wiele osób zaopatrywało się u kierowców samochodów wojskowych. Zwłaszcza w pierwszych dniach, gdy żołnierze niedożywieni i przemarnięci sami szukali okazji, by za opchniętą na lewo benzynę kupić dodatkową żywność lub papierosy i alkohol na czarnym rynku. Gdy sytuacja w kraju nieco się wyklarowała i wojsko nie chodziło już głodne i zmarznęte, proceder osłabł, nie na tyle jednak, by przedsiębiorczy człowiek nie był w stanie napoić swego samochodu. A dyrektor Zbigniew Kaczmarek był człowiekiem przedsiębiorczym.

— Oszczędzałem — powiedział — po to właśnie, by w Nowy Rok móc zabrać rodzinę na narty.

— Nowy Rok był wczoraj — z przekąsem zauważył kapitan.

Kończąc znał ten typ ludzi, dyrektorów z zawodu, zadowolonych z siebie, dobrze ustawionych w życiu, wygodnie usadowionych na krzesłkach karuzeli, jaką była partyjna nomenklatura. Wiedział z doświadczenia, że takim jak Kaczmarek, w każdej sytuacji wszystko uchodzi na sucho — mandaty za przekroczenie szybkości, domiary i podatki od wzbogacenia, nadmetraż, hulaszczy tryb życia. Wiedział, że Kaczmarek czuje się mocny i naprawdę jest mocny.

Jeszcze jeden bogacz, pomyślał Franek, oglądając mieszka-



nie Kaczmarków, które powstało z połączenia dwóch sąsiednich emek. Ze też o tym nie wiedziałem, toż to niemal pod samym nosem.

Tęga tleniona blondynka, uczesana w wysoki loczkowaty kok, wstała na widok kapitana i jego ekipy.

— Czy już się wyjaśniło to nieporozumienie? — zaszczębiotała.

— Dokumenty proszę — powiedział Janiak urzędowym tonem. Bogactwo i ważność nie robiły na nim najmniejszego wrażenia. Nie z takimi chojrakami, jak ten grubas, można sobie dać radę, gdy zajdzie potrzeba.

— Skąd się państwo dowiedzieliście o wczorajszych wydarzeniach?

— Kiedy? Zaraz, zaraz — powiedziała niepewnie Kaczmarkowa.

— Jak to kiedy — wtrącił gwałtownie Kaczmarek — wczoraj, oczywiście, że wczoraj. Nie pamiętasz, przyszła Andzicowa...

— Kto to?

— Sąsiadka — odpowiedziała tym razem bez wahań Kaczmarkowa. — Przyszła mnie uczesać. To taka sąsiedzka przysługa, oczywiście.

— Uczesać? Aha, wczoraj? — spytał kapitan. — A dziś rano pani sama poprawiała fryzurę, czy pani Andzie znowu przyszła?

Kaczmarkowa niepewnie dotknęła dłonią sztywny lok nad czołem.

— Ja... właściwie...

— Niech się pani nie męczy — powiedział kapitan. — Pani Andzie przyszła dziś rano, a nie wczoraj, co widać po fryzurze i jak sądzę — dziś a nie wczoraj dowiedzieliście się państwo o wypadku. Wtedy pan — kapitan spojrzął na Kaczmarka — zdecydował o wyjeździe na narty. Pani, jak można wnioskować z fryzury, przewidywała inne rozrywki na dziś, czy tak?

— Nnnno... Mieliśmy... to znaczy... no tak... mieliśmy zagrać w brydża.

— A co pani Andzie powiedziała o zmarłej?

— Co ona tam wie — wzruszyła ramionami Kaczmarkowa — że jakaś dziewczyna zamarła i tyle. Tak powiedziała. Młoda blondynka, z krótkimi włosami, a panowie wypytujecie o nią we wszystkich mieszkaniach.

— A pan ją znał — powiedział kapitan — albo też obawiał się pan, że być może jest to pańska znajoma, tak?

Kaczmarek nie odpowiedział, natomiast Kaczmarkowa doskoczyła do męża jak ranna i niebezpieczna rysica.

— Ty łajdaku — syknęła cienko — ty, ty... Jeszcze mnie w to wciągasz, jakieś bujdy mi opowiadasz i mnie każesz kłamać. Dla dobra rodziny, tak mówięś, ty draniu!

Kapitan wstał, odczepił Kaczmarkową od męża i usadził na kanapie. Syn Kaczmarków, młody, wyrośnięty dryblas w najmodniejszych ciuchach, usiadł obok matki i obojętnie obgryzał paznokcie. Awantury między ojcem i matką nie obchodziły go w najmniejszym stopniu.

— Podczas wizyty Andzicowej przestraszył się pan, że zmarła jest pana znajomą, powiedzmy. Może pan obiecał jej coś i nie dotrzymał. Może zaszła w ciążę i groziła, że pomówi z żoną. Przestraszył się pan i stąd pomysł ucieczki. Myślał pan, że pojedziecie na narty do Wieżycy, a gdy wróciecie, będzie już po sprawie. Jak się nazywa pańska przyjaciółka?

— Mieszka na ulicy Stoczniowców 7a mieszkanie jedenaście.

— Nazwisko — warknął Janiak.

— Ewa...

— Nazwisko — powtórzył Janiak.

— Kalinowska.

Dopiero w tym momencie młody Kaczmarek stracił swoją obojętną pozę. Skoczył na równe nogi i chwycił ojca za lasek narciarskiego kombinezonu.

— Ty, ty... — wycharczał. — Ty świniu, ty dyrektorska świniu!

Kapitan skinął głową w stronę Janiaka. Porucznik wstał i wyszedł bez pożegnania.

— Poczekamy na informację z Oruni — powiedział kapitan.

W pokoju zapadło głucho milczenie, przerywane tylko pochlipywaniem Kaczmarkowej. Ktoś zapukał. Kapitan otworzył i wpuścił Szebla.

— Posiedzicie tu, aż wróci Janiak. Potem obaj sporządźcie protokół przesłuchania i wyjaśnicie wszystkie dodatkowe szczegóły. Porucznik będzie wiedział. Zdjęcia na razie nie pokazywać. Pilnować starego, żeby nie prysnął, i młodego, żeby nie zatłukł ojca. A potem przyjdźcie do mnie, będę gdzieś na piętym.

— Czy to on? — spytał Franek, gdy wyszli na korytarz.

— Wątpię. Na pewno zaraz się okaże, że Ewa Kalinowska

żyje, cieszy się dobrym zdrowiem i chętnie opowie o łajdactwach Kaczmarka.

Mieszkanie 24 należało do A.Z. Bruzdów. Obecny był jednak tylko syn, niewysoki, szczupły chłopak, przystrzyżony niemal przy skórze, ubrany w dżinsy i trykotową koszulkę.

— Rodziców nie ma — powiedział, naśladowując głos małego dziecka. — Tatusz jest za granicą.

— Matka?

— Mamusia też wyjechała razem z tatusiem.

— Proszę się przestać wygłupiać — powiedział surowo kapitan — i dowodzik proszę.

— Ależ oczywiście, panie władzo, już się robi, panie władzo — ton głosu chłopaka był nadal ironiczny.

— Nie umiecie mówić normalnie? — spytał kapitan.

— My? — spytał chłopak, rozglądając się błazeńsko po przedpokojku. — Czy my umiemy mówić normalnie? — zwrócił się do lustra.

Franek uśmiechnął się nieznacznie. Śmieszny kłown. Może on naprawdę pracuje w cyrku.

Chłopak wyjął dowód z kieszeni kurtki.

— Jakub Bruzda, lat dwadzieścia jeden — przeczytał kapitan — czym się zajmujecie?

Chłopak wzruszył ramionami. Pracował jako as pokerowy w melinie karciano-alkoholowej w jednej z willi na Zboczu.

— Co pan robi? — powoził pytanie kapitan, zmieniając jednak formę zwracania się do Bruzdy.

— Żyję. Żyję pełnią życia, panie władzo — chłopak przy-mrużył oczy. Nagle chwycił kapitana za rękę i zaczął nią gwałtownie potrząsać. — Jestem wam wdzięczny, panowie, wam i wojsku. Ja się tak bałem, nie mogłem pracować, tak się bałem. Tyle było tego chuligaństwa. A teraz nareszcie czuję się bezpieczny. Ja wam bardzo, bardzo dziękuję.

Kpi, pomyślał Franek. Przecież nikt normalny tak nie mówi. Tylko jeden profesor w telewizji zasuwał coś podobnego i wręczał wojsku na ulicy kwiatki i czekoladki. Frankowi natomiast nikt nigdy nie wręczył żadnych kwiatków i za nie nie dziękował. Nie umiając tego sprecyzować, Franek czuł, że takie rzeczy dzieją się jakby na niby i nie są tak naprawdę rzeczywiste. Nie uważał ich wcale za oszustwo, tak jak nie było oszu-

stwem na przykład odbicie w lustrze, choć za lustrem jest tylko pusta ściana.

Bruzda jednak patrzył poważnie w oczy kapitana i nadal ścisnął jego rękę. Kto go tam wie, cyrkowca, kiedy on jest naprawdę poważny, a kiedy nie.

Chłopak wyprostował się.

— Ładnie? — zapytał.

— Mógłby pan za to dostać kolegium — powiedział kapitan.

— Za co? — zdziwił się.

— Za szydzenie z władzy.

— Innymi słowy za ton, co? Dokładnie tak samo z milicją, jak z moją kochaną mamusią. Czepia się tonu.

— Ja tylko ostrzegam, uważajcie, bo przeholujecie.

— Zaraz, zaraz, panie władzo, nic nie przeholuję. O proszę — Bruzda znowu pogrzebał w kieszeni kurtki i podał kapitanowi jakiś świstek. — Skierowanie do pracy z pośredniaka. No i co? Jak pan widzi — wszystko w porządeczku. Jest od wczoraj ustawa o nakazie pracy? Jest. Jest praca? Jest. Gra i buczy. No i czy ja szyszyłem? Przedtem się bałem chodzić do pracy, a teraz się już nie boję, bo teraz panuje spokój, ład, porządek, praca, z pracy, do pracy, po pracy... Wystarczy?

— Nie.

— Ach nie — chłopak udał zmartwionego. — Nie wystarczy. To szkoda, więc... — Bruzda nagle spowaźniał. — To w sprawie świeczek, szybko działacie, moje gratulacje.

Wyciągnął ręce przed siebie, skrzyżował je w nadgarstkach i podsunął kapitanowi pod nos.

— Jestem gotowy. Możemy iść. Ten młody pan weźmie moją kurtkę i suniemy. Tęgo, zamaszycie.

— Spokój — powiedział złym głosem kapitan. — Wejdziemy do pokoju i porozmawiamy.

Chłopak wprowadził ich do pokoju, w którym panował nieopisany wręcz bałagan.

— Co się tu dzieje? — zapytał kapitan, zatrzymując się w progu.

— Mamusia wyjechała — ironicznie oznajmił Bruzda — a ja, biedny, sam, co mogę z tym zrobić? No co? Nic. Ale, proszę, rozgośćcie się panowie. Czujcie się jak u siebie w domu.

Bruzda wytwornym gestem wziął w dwa palce slipy leżące na podniszczonym fotelu i rzucił je na podłogę.

— Proszę miejsce dla naczelnika. Dla pana z tajnej też się znajdzie.

— Jestem wojskowym i pana sąsiadem — wyjaśnił niepewnie Franek.

— Ach tak — powiedział Bruzda i gwizdnął — dobrze wiedzieć.

Zabrzmiało to jak groźba. Franek usiadł w milczeniu.

Kapitan wyjął notes.

— Proszę powiedzieć, co pan robił w Sylwestra wieczorem?

Jeszcze czego, pomyślał Bruzda, ograłem trzech jeleni, przerznąłem jedną dziwkę i schlałem się jak świnia. I wcale nie zamierzam was o tym informować.

— Byłem u znajomych.

— Adres.

— Do diabła!

— No, nie wiecie, gdzieście byli?

Kapitan wyglądał jak burza gradowa, gdy Kuba nagle wpadł na pomysł genialny w swej prostocie.

— Osiedle Wydma 17 m 121 — oznajmił.

— Nazwisko?

— Bruzda, co pan — wzruszył ramionami.

— Nazwisko osoby, którą pan odwiedził.

— Po-la-no-wicz — wycedził Bruzda — Polanowicz Joanna, córka Stanisława. (Na pewno nie popuścisz okazji, żeby ją zobaczyć, dodał w duchu, żeby obejrzeć to dziwo, co kapitanu?) Bruzda popatrzył wyzywająco w stronę kapitana.

Stanisław Polanowicz był komendantem Komendy Wojewódzkiej. Jego córka, znikowana i zbuntowana, była istotą amoralną i słynną. Kuba był pewien, że na widok podwładnych ojca Aśka będzie kłamać dla samej zasady, dla przyjemności napsucia i nakręcenia. No a w końcu Aśce na pewno nikt nie zrobi.

Kapitan pomyślał, że Bruzda dobrze wie, o kim mówi. Kiedyś jakiś najgorliwszy zupak złapał Aşkę z chłopakiem na ławce w parku w sytuacji absolutnie jednoznacznej i zabrał ich oboje na posterunek... Od tamtej chwili wszyscy wiedzą, że panny P. nie należy ruszać i we własnym, dobrze pojętym interesie warto wiedzieć, jak ona wygląda i co zwykła porabiać.

Kapitan wyjął zdjęcie.

— Nie znam — powiedział Bruzda — nigdy jej nie widziałem.

Była to prawda, ale kapitan nie uwierzył Bruzdzie. Bruzda po prostu tak się zachowywał, że aż się prosiło, żeby mu nie wierzyć.

Z tej niewiary i tak zresztą nic nie wynikało.

W M3 naprzeciwko nikogo nie było. Kapitan wysłał Franka na dół, by dowiedział się, czy ktoś z mieszkania 23 opuszczał budynek; okazało się jednak, że ani wczoraj, ani dziś pani Rokniewicz nie wychodziła.

— Wyjechała — powiedział kapitan z widoczną ulgą. Męczące było to chodzenie po mieszkaniach.

— A może pójdziemy do mnie na obiad lub przynajmniej na kawę — zaproponował nieśmiało Franek.

Dzisiaj Ania przynajmniej spokojna i opanowana, pomyślał, gdy weszli do mieszkania. Kapitan poprosił o szklankę wody, zasiadł w fotelu i wyjął z kieszeni płaskie pudełeczko z aspirynami Bayera. Milczał, a Franek nie wiedział, jak mógłby przerwać to milczenie. W głowie miał dziwną pustkę, wypełnioną natłokiem spraw i wrażeń, agresją, strachem, lękiem wszystkich ludzi, których od wczorajszego poranka spotkał. Dziesiątki oczu wpatrywały się w niego oskarżycielsko i lękliwie zarazem.

Kawa była mocna i gorąca, pokój miły, schłodny i przytulny, z ogromną choinką w rogu. Pozornie nie istniało nic oprócz wszechogarniającego spokoju.

Janiak spotkał kapitana i Franka przed drzwiami windy.

— Byłem u Podlaskiej — zameldował — jej córka wróciła dziś rano, przeprowadziłem przesłuchanie, nie zna denatki i nigdy jej nie widziała.

— A Ewa Kalinowska?

— Pracuje jako recepcjonistka w Novotelu. Podjęła pracę po wakacjach.

— A przedtem?

— Uczyła się w Jedyńce. Chodziła do klasy razem z Krzysztofem Kaczmarkiem i przez dłuższy czas sympatyzowała z nim. Odwiedzała go w domu, więc ojciec znał ją dość dobrze. Latem przypadkiem spotkał Kalinowską na deptaku, zaprosił do kawiarni. Tak to się zaczęło. Stary i Kalinowska ukrywali wszystko przed Krzysztofem, no i przed jego matką, oczywiście. Dzięki tej znajomości Kalinowska, która nie dostała się na studia, mogła podjąć pracę w Novotelu.

— A o co jej teraz chodzi? Jest w ciąży?

— Nie, ale Kaczmarek na samym początku obiecał jej małżeństwo. Przed samymi świętami Kalinowska zażądała dotrzymania obietnicy. Kaczmarek stchórzył i zerwał znajomość. A dziś przestraszył się, że go odnalazła.

— A ona nie zna jego adresu? — zdziwił się kapitan. — Przecież odwiedzała młodego Kaczmarka w domu.

— Ale oni tu mieszkają dopiero od końca listopada, wprowadzili się później niż inni lokatorzy, bo zakładali te swoje glazury, tapety i wykładziny. Przedtem mieli małe mieszkanie na Wydmie i ten adres znała Kalinowska. A Kaczmarek widać musiał już czuć pismo nosem i nie podał jej nowego adresu. Spotykali się zawsze na mieście i jeździli do motelu.

— W każdym razie ona żyje? — spytał Franek.

Pojechali windą na czwarte piętro. Żarówka była już wkręcona. Na lustrze ktoś napisał szminką — „Oddajcie Lecha, zabierzcie Wojciecha”.

— Przed chwilą tego nie było — powiedział Janiak i wytarł napis chusteczką do nosa.

Jolanta Jaskółka — powiedział Franek przed drzwiami mieszkania 17 — to ta roztargniona, która zapomniała zamknąć kran. — Franek zniżył głos do szeptu. — Mówią o niej, że jest dewizową dziwką. Ale ja nic nie wiem — zastrzegł się natychmiast.

Jaskółka była wysoką blondynką, bardzo chudą, wyglądającą jak papierowa wycinanka pozbawiona trzeciego wymiaru.

Wcale po niej nie widać, że jest dziwką, pomyślał Franek. Wydawało mu się, nie wiadomo właściwie dlaczego, że po twarzy takiej dziewczyny każdy powinien od razu poznać jej profesję. Jakoś przecież w portowej knajpie wiadomo było, że dziwki to dziwki.

— Z czego się pani utrzymuje? — spytał kapitan, przeglądając jej dowód.

Pokój był wspaniale urządony, tak przynajmniej sądził Franek, dla którego Pewex był szczytem elegancji.

— Mam matkę w Stanach Zjednoczonych — powiedziała Jaskółka tonem, który zdawał się mówić — „i nie ci do tego, chamie”.

— Mniejsza o to — powiedział kapitan. — I tak wiemy, co mamy wiedzieć, a pani niech nam tylko odpowie, czy ona — podał Jaskółce zdjęcie — była z branży, czy nie?

— Oszalał chyba, pomyślał Franek. Skąd mu w ogóle przyszło do głowy, że dziewczyna z zsypu mogłaby być dziwką. Baran.

— Nie, nigdy jej nie widziałam. Jeżeli z branży, to musiałyby być zupełnie nowa. Ma klasę, więc nie szlajałyby się po Porcie, bo tamtych nie znam, sam pan rozumie.

Popatrzyła jeszcze raz na zdjęcie.

— Myślę, że nie była z branży — oznajmiła ponownie. Franek odetchnął z ulgą.

— Mam tego dość — powiedziała Halina Czabańska. — Rysiek, dlaczego nie chcesz tego zrozumieć? Mam dość tego wszystkiego. Chciałam ukroić bułkę, a w środku były mrówki.

Usiadła na tapczanie obok męża, który leżał pod kołdrą i czytał „Siostrzenicę lunatyka” Gardnera. Nie zwracał uwagi na narzekanie żony i nie umiałby odpowiedzieć na pytanie, czego ma dość Halina tak dalece, że siedzi na tapczanie i płacze. Płacz jednak usłyszał, niechętnie ruszył się i poklepał żonę po plecach.

— No, no — mruknął — nie bezcz.

— Nie płacz, nie płacz — chlipnęła Halina, szczelniej zatając się w grubym sweter — to jedyne, na co cię stać. Boże, dlaczego my musimy tak żyć? Te piekielne mrówki wlażyły we wszystko.

Rysiek pomacał dłonią pod poduszką, wyszukał wielką chustkę do nosa i podał Halinie.

— I przez mrówki tak płaczesz? Nie szkoda ci oczu? I tak nie nie poradzisz.

Halina wytarła nos i zapatrzyła się w choinkę.

— Pamiętasz Rysiek, jakie mieliśmy plany? Zawsze uśmiechnięci do siebie i do dzieci, zawsze pogodni, nigdy nie znudzeni, jak tyle innych małżeństw. Mieliśmy być wzorem rodziny. I co? Zimne mieszkanie, szpary w ścianach na wylot, dzieci chore, mrówki w chlebie i ręce zniszczone przez proszek „Popularny”.

Wyciągnęła dłonie na kolanach i przyjrzała się chropowatej, czerwonej skórze.

— Ty harujesz jak wół, a potem gniesz w łóżku i czytasz kryminały albo śpisz, a ja gonię jak durna od garów do prania, od prania do podłóg, od podłóg do kolejek. Na kolację kaszanka, na obiad mielone, na śniadanie salceson. Papierosy na kartki, proszek na kartki, mydło na kartki, żarcia nie ma, a milicji do cholery i trochę. U fryzjera nie byłam od roku, nowej kiecki nie mam od trzech lat, buty mi się rozwały i ani jednej pary całych rajstop.



Rysiek dyskretnie odwrócił stronę książki.

— Powiedz, Rysiek, dlaczego myśmy nie wyjechali? Dlaczego? Nawet moja głupia siostra żyje lepiej od nas, a zawsze była taka durna, że aż przykro. A teraz jest panią, choć żyje z zasiłku. Kaziczek opycha się salami i nutellą. Basia też sobie pewnie nie żałuje, zawsze lubiła zreć jak świnia, grubaśnica. Rysiek, powiedz mi, dlaczego tak jest? Czy ja jestem gorsza od Baśki? Jestem od niej mądrzejsza, a kiedyś byłam i ładniejsza. Pan Bóg nie jest specjalnie sprawiedliwy...

Rysiek ziewnął, przysłaniając dłonią usta.

— Panna z dzieckiem. Pan Bóg powinien ją wykląć. Uciekła z kraju, poszła do Niemców, ja sama powinnam ją wykląć. Rysiek — rozszlochała się Halina — Rysiek, powiedz, dlaczego myśmy nie wyjechali? A teraz siedzimy tu jak w więzieniu i jedyne na co nas stać, to palenie świeczki w oknie. Żeby pokazać nasz patriotyczny protest. Bohaterowie z Bożej łaski. Nawet nas nie stać na uczciwą konspirację, na coś zdecydowanego, w te albo wewte. Nie. Tylko tkwimy jak takie larwy, biedne, głodne, zmarznięte i zawistne. Na nic nas nie stać, ani na prawdziwy patriotyzm, ani na zaprzędanie. Jesteśmy skończonymi głupcami.

— No to działaj, rób coś, jak cię to tak męczy! Ja nie mam czasu na głupstwa.

— Jakie głupstwa, Rysiek, co ty mówisz? Jak w ogóle możesz tak mówić. Oni tam za nas marzną, głodują, może ich biją, a ty mówisz, że to głupstwa.

— Pewnie. Przede wszystkim trzeba żyć. Powiem ci coś, ty zapłakana patriotko, jak mi się każą wypisać, to się wypiszę, jak każą podpisywać — podpiszę. Najpierw trzeba patrzeć, za co się chleb zjada, a dopiero potem można bujać w obłokach.

— Rysiek...

— Co Rysiek, co Rysiek? Siedzisz w chałupie i żyjesz z tego, co ja przyniosę, więc przynajmniej bądź cicho. Chcesz zdechnąć z głodu, ty i dzieciaki? Chcesz? Ty mnie tu nie krytykuj.

— Ale „Solidarność”... Tam też podpisywałeś.

— I co z tego? „Solidarność” była, ale się zmyła. Nie ma „Solidarności” i nie będzie, bądź rozsądna.

— Jest tylko zawieszona...

— Tereferę, zawieszona. A potem ktoś ją odwiesi, tak? Bzdura. Daj mi papierosa i popielniczkę. Boże, nawet w święto nie można spokojnie poczytać. Ty jesteś stuknięta, sama nie wiesz, czego chcesz. Chciałabyś tu zgrywać matkę-Polkę-boha-

terkę i zająć nutellę w Erefenie. Może byś się przynajmniej zdecydowała, co wolisz.

— Nie krzycz na mnie, Rysiek, proszę. Może masz rację, ale ja wiem, czego chcę. Chciałabym tu żyć normalnie. Przyzwyczajenie i spokojnie. Bez tej całej udręki, ale tu. Może być nawet bez nutelli i bez pomarańczy. Chcę tu żyć jak normalny człowiek. To jest środek Europy, cywilizacja, prawa człowieka. To jest Polska, a nie Wietnam czy Salwador. Dlaczego my nie możemy żyć, jak inni w Europie? No powiedz. Niemcy, najgorsi bandyci Europy, żyją sobie dostatnio. Francuzi, którzy nawet przegrać nie umieli z honorem, Włosi, tacy marni żołnierze, chwiejni jak chorągiewki na dachu, zawsze mili dla zwycięzców i żyją, Rysiek, żyją. A my? Za co to wszystko? Ta nędza, szarość i więzienie?

— W więzieniu jeszcze nie siedzisz.

— Co za różnica! Tak jest strasznie ciężko, Rysiek, dla czego?

— Nie mam pojęcia i wiesz, co ci powiem, nawet mi się nie chce zastanawiać. Już mi nosem wychodzą dyskusje o polityce. I tak nic z nich nie wynika. My jesteśmy mali ludzie, może nie przeżyjemy życia jak bohaterowie, ale historia o to nas nie prosi. Tacy, jak my, dostają historię na tacy, gotową, przykrojoną na miarę. Nikt nas nie słucha i nie będzie słuchał. Tylko Lechowi się wydawało, że jak nas jest tyle milionów, to możemy mówić. No i pogadał sobie jak Polak z Polakiem.

— To co mamy robić?

— Nic. Żyć i czekać. Zwykły pragmatyzm trwania. A co byś chciała? Wyjść z karabinem? Przecież nawet nie ma karabinów.

— Podczas wojny też nie było, a jednak je zrobili czy zdobyli.

— Było łatwiej, to była wojna, za konspirację wzięli się ludzie z armii i to oni wszystko ustawili, a nie tak jak teraz, kiedy za grę polityczną biorą się pisarczyki i inteligenci. Zagryzą się między sobą i zadyskutują na śmierć, a nic nie zrobią, bo nawet nie wiedzą jak. Ta cała gra polityczna jest na niby, walka na niby i ofiary na niby. Prawdziwa walka jest tylko wtedy, gdy płaci się za nią najwyższą cenę, czyli ludzkie życie. Powstanie warszawskie to była prawdziwa walka polityczna, niestety przegrana. I dlatego historia i tak przyszła z zewnątrz. Oni dostali, a my mamy.

— Może byśmy nie mieli, gdyby nie oni. Może by nas już

w ogóle nie było jako Polski? No, Rysiek, może to się jednak przydało?

— Bzdura! Czesi nic nie robili, palcem nie kiwnęli...

— Czesi... oni zawsze leżą plackiem przed każdym, kto ich depcze.

— No sama widzisz, a są, istnieją i żyją, może lepiej niż my. Pragmatyzm przetrwania, mówię ci, a nie jakieś romantyczne mrzonki. Dość tego, dałabyś lepiej coś przekąsić. Jest jeszcze kapusta?

— Jest. Pewnie mrówki do niej wlażyły.

— Ot i koło życia, od mrówek się zaczyna i na mrówkach kończy. A ty sobie głowy nie truj, jakoś to będzie.

— Nie wiem. Dla nas może tak, ale dla tych w więzieniach... Choćby dla nich powinniśmy coś zrobić.

— Daj mi spokój, to nie na moją głowę. Ja nie wiem, jak ich z tego więzienia odbić. Jeśli ktoś wymyśli, a ja się przydam, to może i pójdę, ale nie słyszałem, żeby ktoś coś wymyślił.

— A jakbyś to ty był w więzieniu, co? Też byś to tak gładko odpuścił? Oni na pewno liczą na... Co to?

— Ktoś przyszedł. Otwórz.

— Dzisiaj? Kto to? Rysiek, zaprosiłeś kogoś i zapomniałeś?

— Może telegram.

— Telegramów nie wolno wysyłać, zapomniałeś? Kto to może być?

— Otwórz i zobacz.

Halina podeszła do drzwi.

— Proszę — powiedziała, wpuszczając milicjanta i cywila.

Weszła do pokoju i spojrzała na męża ze zgrozą, ale i dumą.

— Milicja — szepnęła — ubieraj się. Wyciągnę cię stamtąd, choćbym miała sama zrobić bombę.

— Po mnie? Za co? — spytał, wciągając spodnie.

— Włóż kalessony. Za co? Pewnie sam wiesz.

Podeszła do męża i pocałowała go w policzek.

— Ja wiedziałam, że ty pyskujesz dla zasady, ale w głębi duszy... No chodźmy.

Kapitan obojętnie postukiwał długopisem w notes. Franek przyglądał się przedpokojowi. Znowu taki komplet, jak u stocznio-wca.

— Jestem gotowy — powiedział Rysiek i Halina znowu spojrzała na niego z dumą. Jak trzeba, to wszyscy potrafimy być dzielni, pomyślała.

— Jak państwu zapewne wiadomo, ubiegłej nocy w zsypie...

— Nic nam nie wiadomo — przerwał Rysiek.

— A co państwo robili w Sylwestra?

— Nic — powiedziała Halina bezbarwnie. — Po prostu nic. Więc nic nie robimy i nigdy nic nie wiemy.

Janiak ponownie dołączył do ekipy.

— Mieszkanie 13, Podlaska, omijamy. Czternaście — A. Mucha.

Andrzej Mucha miał około czterdziestki, był niewysoki i kulał nieznacznie. Jasne rzednące włosy odsłaniały wysokie czoło. Szczupła twarz o wyrazistych rysach i wydatnym nosie, gładko wygolone policzki, okulary w cienkiej oprawie.

— Zawód?

— Socjolog.

I na tym się dochodzi do bogactwa? — Zdziwił się Franek, lustrując pokój wspaniale urządzone antykami.

— To z socjologii? — spytał kapitan, któremu widać też nasunęły się podobne wątpliwości.

— W głównej mierze z dziedzictwa.

Popatrzył na portret młodej kobiety w błękitnych tiulach.

— To moja matka — pokazał — jako panna. Była wybitną pięknością. W tej sukni występowała na balu u Śmigłego Rydza. A potem wyszła za mąż za rotmistrza Muchę.

Mucha zmęczonym gestem przeciągnął dłoń po czole. Jego twarz była niezwykle blada, nawet jak na zimową porę.

— Pan jest chory? — spytał kapitan, siadając w fotelu empire.

— Raczej przygnębiony. Nie jest to moment łatwy dla nas, sam pan rozumie. My, intelektualiści, na każdym zakręcie historii stajemy wobec problemów, które wydają się nam nie do przezwyciężenia. A potem jakoś się same rozwiązują — dodał z ironicznym półśmiechem — co nas jednak nie zwalnia z obowiązku myślenia i podejmowania decyzji za każdym razem od nowa. Teraz subtelny problem sprowadza się do pojęcia zdrady. Sytuacja nie jest jednoznaczna, stąd potrzeba głębokiej analizy. Chyba nie zdziwię pana specjalnie, mówiąc, że obecny reżim...

— Panie kapitanie... — przerwał gwałtownie Janiak.

Mucha przyjrzał mu się uważnie.

— Proszę pana — powiedział — wyjaśnijmy sobie. To, co teraz mówię, to są moje poglądy. Sumienie nie pozwala mi milczeć, nie mam więc powodów do obaw, skoro postępuję w zgodzie z sumieniem. Chciałbym teraz zwrócić uwagę pana, że

ucinając każdą wolną myśl jako nielegalną już w zarodku, nie niszczy pan przecież tej myśli a co najwyżej jej werbalny wyraz. Myśl tak czy owak pozostanie. Wróćmy jednak do kwestii zdrady. Jak już mówiłem, obecny reżim nie będzie się cieszył poparciem inteligencji. Panowie to zapewne przewidzieli i na tę okoliczność jakaś grupka intelektualistów została już niewątpliwie kupiona bądź zastraszona po to, by przydali obecnej sytuacji walorów duchowych. Pozostali odetną się od nich i okrzyczą sprzedawczykami. To jest nieuniknione, czy się to panu podoba, czy nie.

Janiak kręcił się na krześle wyraźnie zdenerwowany.

— Ale to tylko początek — mówił dalej Mucha. — Powiedziałbym łatwy początek. Pod wrażeniem grozy sytuacji zewnętrznej dziewięćdziesiąt procent inteligencji opowie się przeciw. Powiem więcej — inteligencja już to zrobiła. Sprzeciw, panowie, jest powszechny. Ale ta powszechność z czasem ulegnie rozmyciu. Poczną się targi o zdradę. Dziś zdradą jest wszystko, każdy gest współpracy jest zdradą, ale za parę miesięcy...

Przerwał i popatrzył znowu na Janiaka.

— Przypominam — to, o czym mówię, dotyczy świata myśli i jest, proszę pana, z natury swojej niekaralne. Rozumiem, że panowie obliczają sytuację na czas dłuższy, bo inaczej nie warto by było puszczać w ruch całej tej maszyny, jaką było wprowadzenie stanu wojennego. Za kilka miesięcy sytuacja ulegnie zmianie. I to na waszą korzyść, panowie. Inteligencja też ma brzuchy i dzieci, nie mówiąc o potrzebach wyższego rządu. Trzeba będzie z czegoś żyć, a co gorsza — czymś karmić ambicje. Niewielu będzie takich, którzy początkowy gest sprzeciwu potrafią utrzymać w czasie, którzy zrezygnują z ambicji i zaczną pracować w fabryce lub na roli. Na pewno będą tacy, ale ilu? Reszta zacznie szukać tłumaczeń, usprawiedliwień, racjonalnych uzasadnień. Pierwsi padną dziennikarze. Dziś panowie macie do dyspozycji same miernoty dziennikarskie, ale prędkiej czy później różni bojowi, lubiani i cieni poddadzą się i...

Kapitan wyjął papierosy, podsunął gospodarzowi, który przecząco pokręcił głową, ale jednocześnie wskazał popielniczkę, zapalili więc obaj — kapitan i Franek.

— Tak, to co mówię, tylko z pozoru jest przykre dla panów, a inteligencji daje dziś moralną satysfakcję. Za kilka miesięcy sytuacja się obróci, kolejne intelektualne trybiki wsoczą w maszynę sławy, zysku, popularności i istnienia. To jest najważniejsze — istnienie. Robotnik, żeby istnieć, musi produkować, dostawać pensję i ją wydawać. Może być zupełnie nie-

znany, wystarczy, żeby dobrze produkował. Natomiast produkt intelektu musi być znany, bo inaczej skazuje autora na nieistnienie, na śmierć za życia. Początkowy gest protestu — zważcie panowie — nie wyrażony nigdzie, podjęty indywidualnie, co czyni nas odpowiedzialnymi głównie przed własnym sumieniem, ten gest daje dziś moralną satysfakcję, która krzepi. Jednakże za parę miesięcy ów gest pozostawi nas w niebycie. W niebycie ogromnie ciężkim, bo przez ogół społeczeństwa niezauważonym. Bo owszem, społeczeństwo zauważy milczenie Wajdy. Zauważy nieobecność Olbrychskiego. Ale czy zauważy milczenie nieznanego socjologa? Dla kogo będziemy milczeć? Dla tych, co o nas zapomnieli lub nigdy nie znali. Natomiast równie łatwo to tak zwane społeczeństwo zauważy, jeśli się odezwiemy, i wtedy — być może — nas napiętnuje. Co więc wybrać, niesławę czy niebyt? Na razie stoi przed nami tylko taki wybór, bardzo dramatyczny. Sądzę więc, że krok po kroku inteligencja wyjdzie z milczenia. Pierwsi będą się czuli nieswojo, będą niepewnie spoglądać w tył, na tych, co jeszcze wciąż milczą. Potem będzie coraz mniej milczących, pozostaną pojedyncze jednostki, twardzi i szlachetni zapomniani. A w życiu rozpocznie się nowy wyścig ku pełnemu istnieniu, podbudowany teoretycznie słuszną racjonalizacją. Aż kiedyś kartka znowu się obróci i po raz kolejny robotnicy naplują nam w twarz i powiedzą, że zdradziliśmy, znowu zdradziliśmy.

— Co więc? — spytał kapitan.

— Nic — odpowiedział Mucha. — Nic. I to jest najsmutniejsze.

— Czy dlatego tyłu ucieka za granicę?

— Na pewno dlatego tyłu o tym marzy, bo ucieczka daje pozór przejścia w życie bez dramatycznych wyborów. Aczkolwiek sama jest wyborem najbardziej dramatycznym.

Pani Dyk, przyglądając się nieufnie legitymacji kapitana, wpuściła ich do pokoju. Była ubrana jak mniszka, w ogromną brązową suknię z kapturem.

— Przepraszam — powiedział kapitan — chcieliśmy z panią...

To tylko rutyna, pomyślał, najzwyczajniejsza rutyna. To już nie da, ślady prowadzą gdzie indziej. Muszę szukać gdzie indziej, w domkach na Zboczu, na Uniwersytecie; tu trafiliśmy przez przypadek, bo i ona trafiła tu tylko przez przypadek.

Franek rozglądał się po mieszkaniu. Było zupełnie inne niż wszystkie — ściany wyburzone sprawiały wrażenie dużej przestroni. W prawdziwym kominku płonął prawdziwy ogień. Dwoje dzieci w sztruksowych kombinezonach grało na dywanie w Chińczyka.

— Zezwolenie na kominek jest? — spytał Janiak.

Rany boskie, pomyślał Franek, ta piła Janiak nikomu nie przepuści. On by chyba najchętniej po prostu wszystkich zamknął. Franek uświadomił sobie nagle, że nie lubi Janiaka. Było to dziwne wrażenie. Franek bowiem rzadko kiedy w ogóle zastanawiał się nad problemem, czy kogoś lubi, czy nie. Wokół niego byli różni ludzie. Mówił im najpierw dzień dobry, potem do widzenia, przychodzili, odchodzili, przychodzili znowu, ale działo się to poza jakimkolwiek świadomym wyborem. Znajomi jakoś stawali się znajomymi, nie było ich zresztą tak wielu. Nieudacznikami gardził, rodzinę kochał, no bo jak, znajomych uważał za fakt zastany, nieuchronny jak pogoda. Niesposób obrazić się na nią, że marna, trzeba żyć w tej co jest, najwyżej wtulić głowę głębiej w kołnierz, iść dalej swoją ścieżką. Ale teraz było inaczej.

— Pytam się — wrzasnął Janiak. — Zezwolenie?! No i te ściany!

— Poruczniku... — powiedział kapitan zmęczonym głosem.

Janiak omiótł wszystkich spojrzeniem drapieżcy, któremu wymyka się zdobycz. Teraz Franek rozumiał: u niego w jednostce był kiedyś sierżant, który uważał dzień za nieudany dopóki nie przyłał szeregowcowi po pysku, a przynajmniej nie wymyślał paru od matki. Handa był też jedną z jego ofiar. Ale po pewnym czasie żołnierzyki tak podszykowały sierżantowi służbowy samochód, że rozbił się na najbliższym zakręcie a wysłana komisja nie potrafiła dojść powodu. Połamaniec poszedł na zasłużoną rentę inwalidzką i w koszarach zapanował spokój. A tutaj? Przecież mija już drugi dzień a Janiak dopiero jednego lokatora posadził za kratki.

— Chciałam zrobić sobie wygodniej... — wybąkała pani Dyk. — Przecież w tym bloku wilgoć i mróz. Co z tego, że sobie napalę? Prawo nie zabrania...

— Ale nie zezwala. A jak nie zezwala, to znaczy, że nie wolno. Ma być jak u wszystkich!

Dzieci rzuciły grę i zaczęły płakać.

— A płytki PCW gdzie — warknął Janiak. — Tu położona jest bez zezwolenia podłoga z desek.

— Płytki PCW są rakotwórcze — powiedziała pani Dyk.

— Ale państwowe!

— Wokół kominka wybetonowane — Handa wtrącił się sam nie wiedząc dlaczego akurat teraz i zaraz przeląkł się swego głosu. Ale zaczął już mówić, a może coś w nim zaczęło i z rosnącym przerażeniem kapral obserwował swoje mówienie. — Przecież ogień jest z daleka od desek, beton go oddziela, w bloku ziab, więc o co chodzi.

Otworzyły się drzwi, wszedł cywil z komisariatu.

— Obywatelu kapitanie — zameldował. — Zamknęliśmy jednego gościa od narkotyków. Ale nie wiem...

— A co?

Cywil skrzywił się i zaczął szeptać w ucho przełożonego: — No bo wie pan... On jest od tego... Wie pan... Może być chryja.

— Pójdziecie z nami na przesłuchanie — warknął Janiak do pani Dyk. — Dzieci płakały.

— To co, puścić tego od narkotyków? — spytał cywil.

Franek wiedział, że te przeróbki zaczął jeszcze pan Dyk. Ale inżynier Dyk, powszechnie szanowany, choć nie mieszający się do żadnej polityki, spadł pewnego dnia z rusztowania w stoczni i nie podniósł się więcej. Odtąd pani Dyk trwała z dziećmi w mieszkaniu zbyt dużym i zbyt pięknym jak tamto życie, które już nie wróci. Żeby teraz reprezentant władzy występował przeciw niej — to naprawdę skandaliczne.

— Beton jest ciężko palny — wruszył ramionami Franek.

Kapitan przyglądał im się ze znużeniem.

— Pani wybaczy — powiedział nagle — pan porucznik Janiak poprowadzi dalej dochodzenie. Do widzenia. Zostawiam pana z resztą bloku — zwrócił się do Janiaka — może pan liczyć na pomoc kaprala Handy. (Franek instynktownie wyprostował się i stanął na baczność). Ewentualnie może pan ściągnąć Szębla. Dziś powinniście skończyć, jeszcze tylko dziesięć mieszkań. Zwłaszcza, jeśli skoncentrujecie się na samej sprawie, nie wdając się w uboczne szczegóły.

Kapitan położył na stole listę lokatorów, kolorowe zdjęcie dziewczyny i szkic sytuacyjny.

— Tak jest — słuźbiście odpowiedział Janiak.

— Rozumiem — powiedziała Katarzyna Dyk po wyjściu kapitana — że mam być przesłuchana jako świadek.

— Tak — powiedział Franek, za co Janiak spiorunował go wzrokiem.



Odwal się ode mnie, powiedział w duchu Franek, ode mnie i od tych ludzi. Poczuci się nagle równy Janiakowi, równy nie stopniami, lecz prawami. W swoich prawach mieszkańca był równy Janiakowi, choć Janiak nigdy by mu tego nie przyznał. My wszyscy musimy się bronić, zdecydował w duchu. Nie miał pojęcia, dlaczego musi się bronić wraz z panią Dyk i jej kominkiem, z takim Muchą, Wróblem czy Łakomnym. A jednak nagle, przy błahej sprawie kominka, poczuł, że musi się bronić wraz z nimi, bo Janiak próbuje pozbawić go czegoś, co mu się prawnie należy. I choć faktycznie nie się przecież nie zmieniło i Franek wciąż jeszcze towarzyszył władzy, to jednak coś się zmieniło. Franek uśmiechnął się do pani Dyk.

— Bardzo ładny kominek — powiedział, po czym podniósł zdjęcie ze stołu. — Ta dziewczyna zmarła ubiegłej nocy w zsy-pie naszego bloku. Czy może nam pani pomóc? Może słyszała pani nocą jakieś hałasy?

Proszę się nie bać, powiedział w duchu.

Pani Dyk nic nie wiedziała. Janiak pożegnał ją zimno.

— Czy pani słyszała kiedyś o elfach? — zapytał Franek wychodząc.

Katarzyna Dyk skinęła głową.

— Irlandia nazywana jest do dziś szmaragdową wyspą elfów.

— Dziękuję — powiedział Franek.

Jeśli to możliwe, Janiak był jeszcze bardziej lodowaty niż przed chwilą. Coś mnie ugryzło, pomyślał Franek.

— Franuś, ty się boisz — powiedziała Ania. — Czego, Franuś?

Franek siedział przy stole i gniótł w palcach papierosa. Ania przed chwilą zebrała talerze i podała kawę z ciastem. Janiak wyszedł do radiowozu wydać dyspozycje Szablowi. Ciężka, przytłaczająca cisza, która niepodzielnie panowała nad obiadem, trwała jednak nadal.

— Nie boję się — mruknął wreszcie. — Niczego się nie boję.

Ale nie była to prawda. Tam na górze, w mieszkaniu pani Dyk wszystko wydawało mu się łatwe i nawet radosne, mimo że nikt się nie uśmiechał. Nagły przypływ zrozumienia, więcej nawet, łączność z ludźmi, z sąsiadami, wydawały się oczywiste. Wynikały ze wszystkich drobnych faktów, z owej nagłej śmier-

ci, ze spokojnej postawy kapitana, z przypomnienia tego, co mówiła kiedyś w Lipuszcze babcia Maria, że bajki są lepsze od życia, bo dobry głupi wygrywa, a silny i zły przegrywa; dobrego kochają, a złego się boją.

Gdy kapitan tak nagle odszedł, Franek poczuł, że kapitan zostawił mu tajną prośbę, ba, nawet rozkaz, przejęcia nieuchwytej opieki. Franek był bezwzględnie pewien, że takie właśnie były intencje kapitana. I Franek na górze nie bał się niczego. Był pewny siebie i swoich racji, a możliwość postawienia veta Janiakowi przyniosła mu niespodziewaną lekkość. Tak, jakby po długim borykaniu się z ciężarem, udało się go wreszcie zrzuć i odetchnąć spokojnie. Dopiero na dole, podczas tego nieszczęsnego obiadu, wrogie i zawzięte milczenie Janiaka objawiło mu konsekwencje nagłego porwywu sympatii. O Boże, jestem tylko kapralem, nikim, nic nie znacząc i nic nie mogąc. Nie mam prawa się stawiać, wyleją mnie, zdegradują, ukarzą. Janiak doniesie dowódcy, a major mi nie popuści. Teraz jest stan wojenny, czym grozi niesubordynacja w stanie wojennym? Mogą postawić nawet pod sąd wojenny. Jezu! Mogą, na pewno mogą! Czy to miało sens sprzeciwiać się Janiakowi? I po co? Czy to coś da? Innym nie pomogę, a sobie zaszkodzę. Żeby tylko sobie, a Ania, a dziecko, a ojciec... oni też mogą mieć przykrości. I po co to wszystko? Rany boskie! Co teraz? Przeprzyć Janiaka. Bzdura, to i tak już nic nie pomoże. Wtrąciłem się do śledztwa na przekór Janiakowi i już tego nie zmienię. A może to nie było takie straszne? No, bo co właściwie zaszło? Nic takiego. Może Janiak teraz milczy, bo go głowa boli, a ja w strachu. Ale nie patrzyłby tak, a patrzy jak wróg. Przyczepi się do mnie. A może nie. Matko Przenajświętsza! Może nie. Co ja takiego zrobiłem? Nic. Za co aż tak karać? Za takie głupstwo? Janiak jest miły, gdyby tak po prostu zachowywać się w stosunku do niego sympatycznie... W końcu przyszedł tu na obiad. Jakby coś miał przeciwko mnie, to by przecież nie przyszedł. Ale te dyspozycje. Jakie dyspozycje wydaje teraz Janiak? Przecież z dochodzenia nic nowego nie wynikło, nikogo nie trzeba śledzić, nie u tej Dykowej nie znalazł. W końcu ten kominek... Ale to żadna sprawa, kominek nie ucieknie, wystarczy go zapisać, a potem najwyżej łupną karę administracyjną. Jakie, do cholery, dyspozycje wydaje Janiak? Jezu! Muszę być dla niego miły, uśmiechać się, milczeć, może mi daruje. A w razie czego — to go na końcu przeproszę. Powiem, że zachowałem się jak szczeniak, że byłem zmęczony, żeby nie miał do mnie żalu; powiem, żona, dziecko, przyszłość... Tak, wszystko będzie do-

brze, jeżeli tylko Janiak już teraz nie wysłał raportu do majora. Jeżeli...

— Wszystko będzie dobrze, Aniu, nie martw się.

Janiak wrócił.

— Idziemy — powiedział krótko.

— Nie dopił pan kawy, panie poruczniku — powiedział grzecznie Franek.

— Nie szkodzi.

Na trzecie piętro poszli na piechotę. Windę zajął roznosiciel mleka.

Lucyna i Tomasz Krupa byli to ludzie starsi już, ale wytworni i elegancy.

— Nic państwo nie słyszeli?

— A powinniśmy? — spytał nieco nonszalancko Krupa, pocierając nerwowo siwą bródkę, przyciętą na sposób hiszpański.

— Bo dziewczynka od Andziów spotkała nas przed chwilą na korytarzu i opowiadała, że słyszała okropny krzyk, jakiegoś „ratunku, na pomoc” w noc sylwestrową.

— Raczej nie — powiedziała ostrożnie Lucyna. — Wydaje mi się, że ta mała z przeciwka to fantastka. Wczoraj opowiedziała mi, że z naszego bloku wywieziono trupa, a kilka dni przed świętami wpadła na mnie w windzie i poinformowała, że widziała nocą przez okno, jak patrol bił jakiegoś mężczyznę na parkingu przed domem. Ona jest najstarsza z dzieciaków, ich tam jest dziewięcioro, wie pan?

— I co?

— Więc ta mała, żeby sobie wywalczyć jakąś pozycję w rodzinie, stara się epatować wszystkich swoją wybujałą imaginacją.

Kto to wie, to wszystko może być albo jest prawdziwe, pomyślał Franek, ale nie powiedział tego głośno.

— Faktycznie znaleziono denatkę w bloku — powiedział sucho Janiak. Innych rewelacji jednak nie potwierdził.

— Czy zastanawiał się pan kiedyś — spytał w zamyśleniu Krupa — jak dziwnie kształtują się stosunki w wieżowcu takim, jak ten? Wieżowiec skupia wszystkich bez wyboru: biednych, bogatych, robotników, artystów, dziwki, inteligencję pracującą. Mieszkamy tak sobie razem, ale wcale nie jesteśmy

przez to zintegrowani. Spotykamy się czasami w windzie i nie ponadto. Nie mamy wspólnego barku albo restauracji, nie chodzimy na wspólny basen. Poza windą łączy nas tylko sklep i kolejka w sklepie, ale jest to raczej czynnik potęgujący dezintegrację, bo w obliczu towaru, którego jest wciąż za mało, stajemy się wrogami. Tak to ekonomia faktycznie, w zgodzie z klasykami doktryny, buduje społeczną świadomość, tyle że nieco opacznie i wbrew intencjom.

Janiak chrząknął i spojrzął na zegarek.

— Nudzę pana? — spytał Krupa. — A szkoda. Władza powinna uświadamiać sobie takie problemy, nawet w najniższych swoich agendach. Jest to paradoksalne, ale można by wręcz ukuć prawo, które głosiłoby, że im większa jest zewnętrzna, zapewne celowo narzucona dezintegracja, tym większą w efekcie zrodzi ona solidarność.

Janiak spojrzął ponuro na Krupę i wyjął zdjęcie. Pokazał dziewczynę Krupowej, która odsunęła zdjęcie nerwowym ruchem.

— Nie mam z tym nic wspólnego — oznajmiła, nie wykazując żadnego zainteresowania zmarłą ani okolicznościami jej śmierci.

Janiak i Franek wyszli.

— Ty głupcze — powiedziała płaczliwie Krupowa do męża — po co wdawałeś się w dyskusję. Twoje gadulstwo cię kiedyś zgubi. Ten w cywilu to na pewno tajniak, a ty mu wykładasz o solidarności społecznej.

— Oj, przestałabyś, Lucynka, głowę suszyć, nie wiadomo czemu. Powiedziałem to, co mi się akurat pomyślało. Nic w tym nie było zdroźnego. Na pewno gorsza była ta twoja obłuda. Dobrze wiesz, że ta mała nie kłamała. ZOMO pewnie złało tego mężczyznę na parking. Mała jest nerwowa i źle sypia. Ja też bym źle sypiał w takim tłoku.

Lucyna Krupowa nie słuchała go jednak, kontynuując dalej swoją myśl.

— A ty mu o tym, że solidarność jest w narodzie mimo wszystko, mimo zamierzonego przez władzę rozbicia. Zobacysz, że cię wsadzą. Teraz za mniejsze rzeczy można siedzieć.

— Zaraz wsadzą. A zresztą, niech wsadzają, przynajmniej będę w lepszym towarzystwie niż w domu.

Krupowa wzruszyła ramionami. Weszła do kuchni. Rozgrzała smalec na patelni i rzuciła na tłuszcz dwa ogromne plastry surowej szynki. Po chwili, zwabiony zapachem smażenia, wszedł do kuchni również Tomasz Krupa.

— Jak myślisz, Tomek, czy teraz wolno kupować świnie na lewo?

— Teraz nie nie wolno. A ponieważ nie nie wolno, szybko się okaże, że ludzie i tak robią wszystko.

— Znowu nie — Janiak frasobliwie potarł brodę wierzchem dłoni.

— Mogłoby się zdawać, że panienska tu nie mieszkała, ale przyszła w gości na Sylwestra. Ale w tym domu niewielu było gości, a zabaw jeszcze mniej. U Mołotowicza na samej górze, u Kaczmarka, no i u was, kapralu.

To mało, zdziwił się Franek, jakoś nie zauważyłem tego. Tylko ten hulaka, zarozumiały dyrektor i ja. A reszta? Kiedyś, jak był Sylwester, to całe osiedla huczały, niemal we wszystkich mieszkaniach rozbrzmiewała głośna muzyka. A w tym domu tak mało było prywatek, a bali wcale. Ludzie jakby nie mieli serca do zabawy. Może to taka nowa moda, pomyślał Franek i poczuł się nieswojo. Nowa moda, żeby nie urządzać zabaw, a ja o tym nie wiedziałem. Po raz kolejny Franek uświadomił sobie, jak bardzo nie znosi jakiegokolwiek odróżniania się w tłumie. Tymczasem zrobił w Sylwestra coś, co go zdecydowanie odróżniało od reszty sąsiadów. Dwa dni temu Franek oceniłby jako głupotę zerwanie z tradycją noworocznych zabaw. Po dwóch dniach peregrynacji w bloku czuł, że ta moda ma coś wspólnego ze stanem wojennym, tak jak czarne opaski na rękawach z żałobą. To chyba też jest rodzaj żałoby, widać ludzie czują, że ktoś umarł, ale kto? Może chodzi o tego chłopaka z przestreloną szyją, który zmarł po demonstracjach koło Pomnika? Ta żałoba jest wszędzie. Teściowa opowiadała przecież o szopce bożonarodzeniowej w kościele stoczniowym — polska flaga przewiązana czarną opaską. Do lęku i smutku, które umiał już odczytywać w twarzach rozmówców, doszła jeszcze żałoba. Może Ewaryst mi powie, po kim jest ta żałoba. Może umarł ktoś ważny, a ja tego nie zauważyłem.

Podeszli pod drzwi mieszkania numer dziesięć. „Sławomir i Maria Lamowie a także Alicja i pies w krainie czarów”. Dwa zielone pasikoniki, motyl, krasnoludek i smok.

Dzwonek zaczął dzwonić i drzwi uchyliły się na szerokość łańcucha. Na dole, pod klamką ukazał się pyszczek małej dziewczynki.

czynki z warkoczycami. Jeszcze niżej, tuż nad podłogą, czarny jamnik wytknął długi nos i zawzięcie węszył.

— Mamusia i tatuś śpią — powiedziała Alicja — a ja nie mogę otwierać.

— Obudź rodziców. Powiedz, że jesteśmy z milicji.

— Kra-kra — zawołała dziewczynka i zatrzasnęła drzwi.

— Dlaczego w krainie czarów? — spytał Franek.

— Są tacy — Janiak wzruszył ramionami. — Zawsze coś wymyślą.

Nacisnęła dzwonek.

— Kra-kra — odpowiedziała zza drzwi dziewczynka.

— Otwierać — Janiak huknął pięścią w drzwi.

— Zaraz, zaraz — odezwał się z dala mężczy, zaspány głos.

— Tatusiu, proszę, nie otwieraj, to przecież milicja.

— Spokój, córeczko, zaraz się dowiemy, o co chodzi. Obudź mamę.

Drzwi otworzyły się i Janiak wtargnął do mieszkania jak burza.

— Jak pan wychowuje dziecko? — huknął na mężczyznę.

— Odczep się pan — burknął Lam. — Dziećmi też się zajmujecie? Przedszkole nie wystarczy?

— No, no, grzeczniej proszę — powiedział Janiak i nie czekając na pozwolenie, wszedł do pokoju, szybkim rzutem oka omiatając półki, podłogi i biurko. Gdzieś mają bibułę, zdecydował w myślach. Tacy, jak on, zawsze mają jakieś wywrotowe pomysły. Na wierzchu jednak nie leżało. Pewnie sprzątnęli, od wczoraj była masa czasu.

— Co jest w tej szafie? — spytał.

— Sprawdź pan sobie — prychnął Lam, a tymczasem dziewczynka (miała pewnie z pięć lat, była ruda i piegowata) podśpiewywała.

— Jadą, jadą chłopcy, chłopcy radarowcy, niebieska czapeczka.

Janiak otworzył drzwiczki. Sterta gazet, pudełek herbaty i rolek papieru toaletowego zwała mu się na głowę.

— To bezczelność — powiedział wściekły, podczas gdy Franek pospiesznie zbierał rozsypane przedmioty.

Do pokoju weszła rudowłosa kobieta. Za nią z ochryplym wrzaskiem wleciała szara papuga z pomarańczowym czubem.

— Kra-kra — zaskrzyphiała, usiadła na białej papierowej lampie i wypluła na podłogę pestkę wiśni.

— Władza robi porządki? — spytała kobieta ironicznie. —

A tak, z ręką na sercu, to czego pan szuka w mojej szafie? Spekulacji, kontrrewolucji czy partyzantów?

— Dokumenty proszę — powiedział Janiak; ruszył w stronę stołu i pośliznął się na pestce.

— Mój Boże — powiedziała kobieta — jak w kiepskim filmie.

Sięgnęła po torebkę leżącą na tapczanie i wyjęła z niej dowód.

Dziwna facetka, pomyślał Franek, w ogóle nie można jej zrozumieć, ale piękna.

— Pani jest etnografem?

— Nie, ja jestem przy mężu — odpowiedziała, siadając naprzeciw Janiaka. — Sławek, siadaj — zwróciła się do męża — to jeszcze chwilę potrwa, pan ma zdaje się kłopoty z czytaniem.

— Proszę się nie zachowywać bezczelnie — warknął Janiak — to jest obraza władzy.

Ale on naprawdę ma kłopoty z czytaniem — pomyślał Franek — ona ma rację.

— *Dulce et decorum est pro patria mori* — powiedziała kobieta, zapalając papierosa w długiej drewnianej cygarniczce. — A zresztą ja wcale nie jestem bezczelna — przyjrzała się Janiakowi uważnie i zimno — na cóż się zda bezczelność w stosunku do pluskwy.

Janiak zerwał się gwałtownie z fotela, co jamnik poczytał za próbę ataku na swoją panią i rzucił się z dzikim ujadaniem.

— Ryjek, spokój — huknął gospodarz.

— Kra kra — z godnością potwierdziła z góry papuga.

— Alicja — Sławomir zdjął papugę i podał ją córce — zabierz Mimblę i Ryjka i siedź w swoim pokoju, póki cię nie zawołamy.

— Ale ja chcę zobaczyć, jak mama dostanie go w swoje ręce.

— Kogo? — Janiak niemal krzyknął.

— Pana — powiedziała mała. — Mama powiedziała, że jak kiedyś dostanie w ręce jakiegoś glinę, to się nie powstrzyma i da mu po twarzy. To ja chciałabym zobaczyć.

Ojciec chwycił dziewczynkę za kark i wypchnął ją z pokoju.

Dom wariatów, pomyślał Franek.

— Oskarżę was oboje — powiedział Janiak. — To skandal!!

— O co? — kobieta uniosła w górę cienkie brwi. — O

gadanie dziecka? To śmieszne. A może ją pan oskarży? Ma już sześć lat, czy to dość, by internować?

— Panią. Za wrogie wychowywanie młodego pokolenia.

— Niech pan nie żartuje. Czy rodzice wychowują dzieci? A przedszkole, a koledzy z podwórka, a przysłowiowa ulica, że nie wspomnę o bałamutnej telewizji.

W pokoju rośło mnóstwo kwiatów doniczkowych. Choinki nie było, tylko rośliny w doniczkach obwieszone lametą i czarnymi kokardkami. Jakby nosiły żałobę, pomyślał Franek. Starał się oderwać myśli od sporu między Janiakiem a kobietą. Jak ona ma na imię? Franek usiłował odtworzyć w pamięci wygląd wizytówki. Marzena, Mariola? Nie, Maria. No oczywiście, Maria, jak stara babcia Maria w Lipuszcze, pękata i pomarszczona, w białej wykrochmalonej chuście. Babcia Maria mieszkała osobno, w małym domku, tak zwanej letniej kuchni. Było tam tylko jedno pomieszczenie. Chodzili do niej razem, Wicek, Ewaryst i Franek, po części dlatego, że babcia miała w słoju cukierki, po części zaś dlatego, że po ciężkiej harówce, której im nikt nie żałował, po szkole, po dalekiej drodze, u babci Marii było dziwnie czysto, cicho i bajkowo (choć gdzieżby się tam chłopcy przyznali, że ich ta bajkowość pociąga). Babcia Maria nie żyje już prawie sześć lat. Franek dostał z wojska przepustkę na pogrzeb. Babcia Maria opowiadała bajki o smokach i cud-dziewicach, o koniku garbusku i dzielnym Iwanie.

— A teraz, babciu, są jeszcze te smoki? — spytał kiedyś Wicek.

— Eh, smoki, zły człowiek gorszy smoka. Ten ci jest dopiero na ludzką krzywdę łąsy.

— Pani pójdzie ze mną — powiedział Janiak.

Gdyby kapitan tu był, pomyślał Franek, nie pozwoliłby na to, ale ja nie mogę przecież nic zrobić, przecież nie mogę... Nie mogę. Nie mogę!... NIE!

— NIE! — krzyknął Franek, stając przed Janiakiem, tak jakby chciał sobą samym osłonić rudą Marię i było to tak, jakby w tym samym momencie udało się cofnąć czas o całe wieki, wrócić do babci Marii i jej bajek, a jednocześnie jakby czas cofnął się tylko do owej sylwestrowej nocy i pozwolił jemu, Frankowi Handzie, kapralowi Wojska Polskiego, stanąć oko



w oko z tym mężczyzną, który sprzedawał narkotyki, był zapewne kochankiem tamtej i zabił ją. A ona miała na imię Maria, pomyślał Franek, i uczepił się tej myśli o Marii w różowych spodniach, o Marii śpiącej na śmietniku, po to tylko, żeby nie myśleć o Janiaku ani o majorze, ani o tym, że on, Franciszek Handa, zrobił to, czego nie powinien był zrobić w żadnym wypadku, a przecież jednocześnie musiał to zrobić. Franek poczuł więc, jak narasta w nim głuchy gniew na los, który podstępnie zmusił go do tego kroku, do obrony dziewczyny z krainy czarów, nie wiadomo po co właściwie, skoro czary na pewno nie istnieją. Ale głuchy gniew trwał i narastał, gdy Franek tak stał przed Janiakiem, nie mówiąc już ani słowa, milcząc ponuro i wpatrując się uporczywie w rozmazaną twarz zbliżającą się powoli, nieuchronnie i złowrogo do jego twarzy.

Na dziewiątym piętrze, w mieszkaniu numer 37, po dwóch dniach czuwania, dziadek Griszner odszedł wreszcie od okna.

— No — powiedział z ulgą — odjechali. I kto by pomyślał, no, no, że to ten młodzik z dołu zabił. Wyprowadzili go w kajdankach, musiał się ostro stawiać. Patrzcie państwo, sąsiad, a kryminalista, kto by się spodziewał. Ale musi co na prawdę, jak go w obręczkach wyprowadzili, pierona...



## KATALOG KSIĄŻEK « BIBLIOTEKI KULTURY »

|   | Stron | F.     |
|---|-------|--------|
| Bieńkowska, D. I.: <i>Pieśń suchego języka</i> (Poezje) .....   | 64    | 9,00   |
| Bobkowski, A.: <i>Coco de Oro. Sakiце i opowiadania</i> .....   | 272   | 20,00  |
| Brandys, K.: <i>Miesiące</i> (1980-1981) .....  | 224   | 55,00  |
| Brandys, K.: <i>Miesiące</i> (1982-1984), T. III .....  | 256   | 80,00  |
| Broński, M.: <i>Teksty i preteksty</i> (eseje literackie) .....   | 272   | 75,00  |
| Bugajski, Ryszard: <i>Przestuchanie</i> (Scenariusz filmowy) ....   | 112   | 45,00  |
| Busza, A.: <i>Znaki wodne</i> (Poezje) .....  | 64    | 7,00   |
| Czapska, M.: <i>Czas odmieniony</i> .....   | 160   | 35,00  |
| Czapski, J.: <i>Tumult i widma</i> .....  | 352   | 85,00  |
| Czaykowski, B.: <i>Point-no-point</i> (Poezje) .....  | 96    | 10,00  |
| Czaykowski, B. i Sulik, B.: <i>Polacy w Wielkiej Brytanii</i> ..  | 581   | 30,00  |
| Czerniawski, A.: <i>Wiek złoty</i> (Poezje) .....   | 64    | 25,00  |
| Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia (Kultura 1958-1973),<br/>Zeszyty Historyczne (1962-1973), Działalność wydawnicza<br/>(1959-1973)</i> .....    | 432   | 75,00  |
| Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia. Kultura (1973-1980),<br/>Zeszyty Historyczne (1973-1980), Działalność Wydawni-<br/>cza (1973-1980)</i> ..... | 310   | 85,00  |
| Danilewicz Zielińska, M.: <i>Wspomnienia o Bibliotece Narodowej<br/>w Warszawie</i> .....   | 76    | 15,00  |
| Dobek, Cz.: <i>Drugi rzut i inne opowiadania</i> .....  | 288   | 17,00  |
| Gieżyński, W.: <i>Budowanie Niepodległej</i> .....  | 336   | 100,00 |
| Gombrowicz, W.: „ <i>Dzieła Zebrane</i> ” t. I, <i>Ferdydurke</i> .....   | 296   | 55,00  |

|   | Stron | F.     |
|---|-------|--------|
| Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. VI, <i>Dziennik</i> (1953-1956)                 | 304   | 55,00  |
| Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebr.” t. VII, <i>Dziennik</i> (1957-1961)                  | 256   | 50,00  |
| Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebr.” t. VIII, <i>Dziennik</i> (1961-1966)                 | 224   | 40,00  |
| Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. II, <i>Trans-Atlantyk</i> ..                    | 130   | 40,00  |
| <i>Głos</i> („Dokumenty” Nr 47) .....   | 272   | 75,00  |
| Grynberg, H.: <i>Zwycięstwo</i> .....   | 96    | 9,00   |
| Grynberg, H.: <i>Życie codzienne i artystyczne</i> .....                            | 180   | 50,00  |
| Guzy, P.: <i>Krótki żywot bohatera pozytywnego</i> .....                            | 160   | 40,00  |
| Haupt, Z.: <i>Pierścień z papieru</i> .....   | 245   | 13,50  |
| Heller, M.: <i>Polska w oczach Moskwy</i> .....                                     | 208   | 75,00  |
| Herbert, Z.: <i>Raport z oblężonego miasta</i> (Wiersze) .....                      | 88    | 40,00  |
| Herling-Grudziński, G.: <i>Dziennik pisany nocą</i> (1980-1983) ..                  | 346   | 95,00  |
| Herling-Grudziński, G.: <i>Inny świat</i> .....                                     | 256   | 60,00  |
| Hertz, Al.: <i>Refleksje amerykańskie</i> .....                                     | 260   | 16,50  |
| Holzer, J.: „ <i>Solidarność</i> ” 1980-1981 (Geneza i historia) ....               | 360   | 95,00  |
| Iwaniuk, W.: <i>Ciemny czas</i> (Poezje) .....                                      | 80    | 8,00   |
| Iwańska, A.: <i>Świat przetłumaczony</i> .....                                      | 240   | 15,00  |
| <i>Jak z tego wyjść?</i> (Seria „Dokumenty”) .....                                  | 80    | 25,00  |
| Januszkiewicz, Maria: <i>Kazachstan</i> .....                                       | 200   | 55,00  |
| Jeleński, K. A.: <i>Zbiegi okoliczności</i> .....                                   | 424   | 120,00 |
| Kaczmarek, J.: <i>Wiersze i piosenki</i> .....                                      | 140   | 45,00  |
| Karpiński, W.: <i>Amerykańskie cienie</i> .....                                     | 192   | 65,00  |
| Kisielewski, St.: <i>Podróż w czasie</i> .....                                      | 136   | 40,00  |
| Koestler, A.: <i>Ciemność w południe</i> .....                                      | 208   | 70,00  |
| Korybutowicz, Z.: <i>Grudzień 1970</i> .....  | 160   | 55,00  |
| Kot, St.: <i>Jerzy Niemirycz, inicjator Ugody Hadziackiej</i> ....                  | 80    | 7,00   |
| Kowalik, J.: „ <i>Kultura</i> ” 1947-1957. Bibliografia <i>Kultury</i> ..           | 392   | 15,00  |
| Kowalska, J.: <i>Pogranicze</i> .....   | 280   | 80,00  |
| Kraśniewska, W.: <i>Po wyzwoleniu...</i> (1944-1956) .....                          | 270   | 95,00  |
| Krynicky, R.: <i>Nasze życie rośnie</i> (Wiersze). (Seria „Bez Cen-<br>zury”) ..... | 104   | 25,00  |
| Kuśmierk, J.: <i>Stan Polski</i> .....  | 80    | 30,00  |
| Lipski, L.: <i>Piotrus</i> .....  | 80    | 7,00   |
| Łobodowski, J.: <i>Dwie książki</i> .....   | 108   | 45,00  |
| Madej, B.: <i>Maść na szczyry</i> (Seria „Bez Cenzury”) .....                       | 208   | 30,00  |
| Madej, B.: <i>Piękne katalie albo dojrzewanie miłości</i> .....                     | 168   | 24,00  |
| Mickiewicz, A.: <i>Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego</i> ..                   | 104   | 25,00  |
| Miorszewski, J.: <i>Materiały do refleksji i zadumy</i> .....                       | 256   | 40,00  |

|   | Stron | F.     |
|---|-------|--------|
| Michnik, A.: <i>Z dziejów honoru w Polsce</i> (wypisy więzienne)  | 286   | 95,00  |
| Miłosz, Cz.: <i>Dolina Issy</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 5)   | 196   | 60,00  |
| Miłosz, Cz.: <i>Nieobjęta ziemia</i>  | 148   | 55,00  |
| Miłosz, Cz.: <i>Ogród nauk</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 10)   | 256   | 65,00  |
| Miłosz, Cz.: <i>Poezje</i> , t. I („Dzieła Zbiorowe”, t. 1)   | 292   | 75,00  |
| Miłosz, Cz.: <i>Poezje</i> , t. II („Dzieła Zbiorowe”, t. 2)  | 240   | 70,00  |
| Miłosz, Cz.: <i>Poezje</i> , t. III („Dzieła Zbiorowe”, t. 11)  | 112   | 30,00  |
| Miłosz, Cz.: <i>Prywatne obowiązki</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 7)  | 256   | 60,00  |
| Miłosz, Cz.: <i>Rodzina Europa</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 6)  | 248   | 60,00  |
| Miłosz, Cz.: <i>Widzenia nad zatoką San Francisco</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 9)   | 174   | 40,00  |
| Miłosz, Cz.: <i>Zaczynając od moich ulic</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 12)   | 364   | 120,00 |
| Miłosz, Cz.: <i>Zdobycie władzy</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 4)   | 160   | 50,00  |
| Miłosz, Cz.: <i>Ziemia Ulro</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 8)   | 224   | 60,00  |
| Miłosz, Cz.: <i>Zniewolony umysł</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 3)  | 240   | 60,00  |
| Mostwin, D.: <i>Ja za wodą, ty za wodą...</i>   | 304   | 30,00  |
| Mostwin, D.: <i>Olivia</i>  | 288   | 15,00  |
| Mrozek, Sł.: <i>Alfa</i> (sztuka sceniczna)   | 84    | 40,00  |
| Mur, J.: <i>Dziennik internowanego</i>  | 200   | 85,00  |
| Nowakowski, M.: <i>Dwa dni z Aniołem</i>  | 154   | 55,00  |
| Nowakowski, M.: <i>Notatki z codzienności</i>   | 160   | 50,00  |
| Nowakowski, T.: <i>Happy-End</i>  | 208   | 18,50  |
| Odojewski, Wł.: <i>Zabezpieczanie śladów</i>  | 128   | 45,00  |
| Orłoś, K.: <i>Trzecie kłamstwo</i>  | 240   | 65,00  |
| Pankowski, M.: <i>Smagła swoboda</i>  | 55    | 5,00   |
| Pawlikowski, M. K.: <i>Wojna i sezon</i>  | 308   | 15,00  |
| Pietrkiewicz, J.: <i>Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne</i>  | 200   | 13,50  |
| Pomian, G.: <i>Polska Solidarności</i>  | 464   | 120,00 |
| <i>Powszechna Deklaracja Praw Człowieka w językach: polskim, białoruskim, czeskim, litewskim, rosyjskim, słowackim i ukraińskim</i> (Seria „Dokumenty”)     | 64    | 10,00  |
| <i>Prawa człowieka i obywatela w PRL (13.12.1981 - 31.12.1982). Raport Komisji Helsińskiej w Polsce na Konferencję w Madrycie</i> (Seria „Dokumenty” Nr 49) | 224   | 75,00  |
| <i>Przeciw niewolnictwu</i> (Seria „Dokumenty”)   | 64    | 10,00  |
| <i>Raport o stanie narodu i PRL</i> (Seria „Dokumenty”)   | 224   | 65,00  |
| Reale, E.: <i>Raporty. Polska 1945-1946</i> (Seria „Dokumenty”)   | 288   | 18,50  |
| Rekulski, A. T.: <i>Czy drugi Katyń?</i>  | 46    | 20,00  |

|  | Stron | F.     |
|--|-------|--------|
| Romanowiczowa, Z.: <i>Na Wyspie</i> .....  | 168   | 65,00  |
| Romanowiczowa, Z.: <i>Skrytki</i> .....  | 200   | 55,00  |
| <i>Rozmowy niekontrolowane...</i> .....  | 246   | 75,00  |
| Rymkiewicz, J. M.: <i>Rozmowy polskie latem 1983</i> .....   | 160   | 60,00  |
| Scherer, O.: <i>W czas morowy</i> .....  | 208   | 13,50  |
| Siewierski, H.: <i>Spotkanie narodów</i> .....   | 144   | 55,00  |
| Solski, W.: <i>Moje wspomnienia</i> .....  | 384   | 55,00  |
| Staliński, T.: <i>Śledztwo</i> .....   | 224   | 25,00  |
| Stempowski, J. (Hostowiec, P.): <i>Od Berdyczowa do Rzymu</i> ..   | 416   | 35,00  |
| Sukiennicki, W.: <i>Legenda czy rzeczywistość (Seria „Dokumenty”)</i> .....  | 128   | 9,00   |
| Sułkowski, W.: <i>Szkoła zdobywców</i> .....   | 64    | 15,00  |
| Swianiewicz, St.: <i>W cieniu Katynia</i> .....  | 360   | 65,00  |
| Ślaska, E. M.: <i>Dochodzenie</i> .....  | 128   | 50,00  |
| Tarniewski, M.: <i>Płonie komitet</i> .....  | 196   | 65,00  |
| <i>Teksty cywilne przez Leopolię</i> .....   | 176   | 55,00  |
| Wierzyński, K.: <i>Sen mara (Poezje)</i> .....   | 128   | 11,00  |
| Winczakiewicz, J.: <i>Izrael w poezji polskiej (Antologia)</i> ....  | 354   | 25,00  |
| Witos, W.: <i>Moje wspomnienia, t. II/III</i> .....  | 968   | 66,00  |
| Włoszynowski, J.: <i>Było tak...</i> .....   | 200   | 45,00  |
| Worozyński, W.: <i>Literatura (Seria „Bez Cenzury”)</i> .....  | 180   | 45,00  |
| Zagajewski, A.: <i>List — Oda do wielości</i> .....  | 96    | 35,00  |
| Zaremba, P.: <i>Historia dwudziestolecia 1918-1939, t. I i II, str. 238 i 342</i> .....  | 670   | 170,00 |
| Zawadzka-Wetz, A.: <i>Refleksje pewnego życia (Seria „Dokumenty”)</i> .....  | 240   | 16,50  |
| <i>Znasz-li ten kraj? (Seria „Dokumenty”)</i> .....  | 348   | 24,00  |
| <i>Zeszyty Historyczne</i> poświęcone najnowszej historii Polski, ukazywały się od roku 1962 do 1972 włącznie dwa razy do roku. Od 1973 ukazują się co kwartał: w lutym, maju, sierpniu i listopadzie.<br>Każdy Zeszyt liczy 240 (lub 256) stron. <i>Zeszyty</i> Nry 2, 3, 4, 5, 6, 7, 11, 12, 13, 15, 16, 18, 19, 20, 40, 41, 42, 46, 47, 49, 50, 51, 52, 53, 55, 56, 57 są wyczerpane. Ukazał się Zeszyt 73 (sierpień 1985)<br>Cena pojedynczego Zeszytu ..... | 60,00 |        |

Prosimy Czytelników, by przy niewielkich zamówieniach dodawali 10 % ogólnej sumy na koszty przesyłki — przy większych 5 %. We Francji liczymy efektywne koszty porta (taryfa znacznie wyższa niż za granicę).

**A C H E V E D ' I M P R I M E R  
L E 3 0 S E P T E M B R E 1 9 8 5  
S U R L E S P R E S S E S D E  
L ' I M P R I M E R I E R I C H A R D  
2 4 , R U E S T E P H E N S O N ,  
P A R I S ( X V I I I <sup>e</sup> ).**

**Dépôt légal : 3<sup>e</sup> trim. 1985.**

**N° d'imprimeur 7285.**







